

**Robert Silverberg**

**Długa droga  
do domu**

2005

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

**Tytuł oryginału:**

The Longest Way Home

**Data wydania:**

2002

## **Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2005

## **Projekt i opracowanie graficzne okładki:**

Maciej „Monastyr” Błażejczyk

## **Wydawca:**

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn

tel/fax. (0-89) 541-31-17

e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)

[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

ISBN 83-88431-93-5

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

*Dla Marka i Janet*

*Wszystkie uważane za trwałe okoliczności z ich następstwami: szlachetnymi wyobrażeniami i poglądami zostały zniesione, wszystkie nowo utworzone zestarzały się, zanim mogły skostnieć. Wszystko co istniejące i stałe – znikło jak kamfora, wszystko co święte – zostało sekularyzowane, i wreszcie ludzie zostali zmuszeni do trzeźwego spojrzenia na swoją sytuację życiową, swoje wzajemne stosunki.*

# 1

Pierwsze wybuchy słycać było z daleka; seria oddalonych, stłumionych huków, uderzeń i łupnięć, które mogły być grzmotami rozbrzmiewającymi na horyzoncie. Joseph, pogrążony w półśnie w wygodnym łóżku gościnnych komnat Domu Getfen, poruszył się, poczuł się bardziej przytomny niż senny, nadstawił od niechcenia ucha i słucał przez chwilę, naprawdę nie słucając. Tak, pomyślał. Grzmoty. Zmartwiło go jedynie, że grzmot może zwiastować deszcz, a deszcz popsułby jutrzejsze polowanie. Tylko że w Górnej Manzie był przecież środek pory suchej, prawda? Skąd więc deszcz?

Nie będzie padać, Joseph zrozumiał więc, że to, co usłyszał, nie może być grzmotem – tak naprawdę nie mogło się w ogóle rozlegać. To tylko sen, powiedział sobie. Jutro będzie pięknie i słonecznie, a ja pojedę z moimi kuzynami z Górnej Manzy do rezerwatu dzikiej zwierzyny i będziemy się świetnie bawić.

Szybko zapadł z powrotem w sen. Aktywny piętnastolatek potrafi pod wieczór zasnąć bez trudu.

Wtedy jednak rozległy się kolejne dźwięki, tym razem wyraźniejsze, wbijające się w mózg, ostre puknięcia i trzaski, przyciągające uwagę. Usiadł, zamrugał i przetarł oczy pięściami. W ciemnościach za oknem rozbłysła plama światła, która nie miała ostrości ani liniowego kształtu błyskawicy. Przypominała raczej rozwijający się kwiat, kremowożółta w środku, ciemnoczerwona na brzegach. Joseph nadal mrugał ze zdziwienia, gdy rozległ się następny huk, tym razem wieloetapowy, niski, przetaczający się pomruk, po którym dało się słycać nagły, ostry trzask i stłumiony, długi, zamierający grzmot. Podszedł do okna, kucnął przy parapecie i wyjrzał.

Czerwone języki ognia unosiły się po drugiej stronie drogi, nad głównym skrzydłem Domu Getfen. Pelzające cienie wspinały się po imponujących, potężnych ścianach fasady; budynek płonął. Pożar w Domu Getfen – to było coś niewyobraźalnego. Zobaczył biegające tam i z powrotem postacie, przecinające gładką, spokojną powierzchnię głównego trawnika, całkowicie nie troszcząc się o delikatną, krótko przystrzyżoną murawę. Usłyszał krzyki i odgłosy, których teraz nie można już było pomylić z niczym: strzały. Zobaczył ognie podchodzące pod granicę majątku: cztery, pięć, może sześć. Gdy patrzył, wykwitł nowy płomień. Przybudówki po zachodniej stronie chyba też płonęły, podobnie jak rzędy stogów

siana na wschodzie, i pewnie kwatery robotników polowych koło drogi prowadzącej do rzeki.

Był to szokujący, niepojęty widok. Najwyraźniej ktoś zaatakował Dom Getfen. Ale kto i dlaczego?

Obserwował to z fascynacją, jakby nagle ożył jakiś rozdział z jego książki historycznej, jakby ktoś odgrywał sceny z Podboju, czy nawet z burzliwej, półmitycznej przeszłości samej Matki Ziemi, gdzie, jak mówiono, przez tysiące lat starożytne ulice tej dalekiej planety spływały purpurowymi strumieniami krwi z powodu zwalczających się imperiów.

Nauka historii sprawiała Josephowi dziwną przyjemność. Postrzegał ją jako coś w rodzaju poezji. Zawsze kochał te napuszone opowieści o dawnych walkach, pieczołowicie przekazywane legendy o baśniowych królach i królestwach Starej Ziemi. Dla niego były to jednak tylko opowieści, kiczowate mity, błyskotliwa, dramatyczna fikcja. Nie wierzył, że tacy ludzie, jak Agamemnon, Juliusz Cezar, Aleksander Wielki albo Dżyngis-chan naprawdę istnieli. Życie na Starej Ziemi było niewątpliwie niełatwe i okrutne, ale chyba nie aż tak krwawe, jak głosiły mity, które przetrwały od tych dawnych czasów. Wszyscy wszakże żywili głębokie przekonanie, że cechy, które umożliwiały taki rozlew krwi, zostały już dawno wypłenione przez ludzką rasę. A teraz Joseph rozumiał, że patrzy przez okno na prawdziwą walkę. Nie mógł oderwać oczu. Nie przyszło mu do głowy, że sam może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

W dole panował chaos. Na niebie nie było widać żadnych księżyców; jedyne światło pochodziło z płomieni omiatających granicę ogrodu i główne skrzydło domu. Joseph usilnie próbował złożyć w całość to, co widział. Grupy ludzi biegały tam i z powrotem po ogrodowych ścieżkach, wrzeszcząc, wymachując nerwowo rękami. Wyglądało na to, że mieli ze sobą broń: głównie strzelby, ale niektórzy nieśli widły albo kosy. Od czasu do czasu strzelcy zatrzymywali się, przyklękali, celowali i strzelali w ciemność.

Na wolności znalazły się także zwierzęta. Pół tuzina wielkich, długonogich i wysmukłych bandarów wyścigowych ze stajni podskakiwało dziko na samym środku trawnika, brykając i odskakując, oszalałych z przerażenia. Między nimi widać było niższe, nie tak szybkie, bardziej ociężałe ciemne kształty, które najprawdopodobniej były stadem mlecznych ganilów wypuszczonych z zagrody. Pasły się spokojnie, nieporuszone szalejącym wszędzie dookoła oblędem, obgryzając rzadkie kwiaty i krzewy z ogrodu. Na wolności były także domowe psy, które biegały ujadając; Joseph zobaczył, jak pies rzuca się do gardła jednego z biegnących, a ten, nie zwalniając kroku, odrzucił go potężnym ciosem kosy.

Joseph patrzył i zastanawiał się, co się dzieje, ale żadna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

Żaden z Wielkich Domów nie zaatakowałby drugiego. To było pewne. Panowie Ojczyzny byli połączeni silnymi więzami krwi. W całej długiej, liczącej setki lat historii Podboju, żaden Pan nie zwrócił się przeciwko innemu, ani z powodu gniewu, ani chciwości.

Nie było też możliwe, by któryś z Tubylców, zdegenerowanych po tysiącach lat okupacji

ich świata przez osadników ze Starej Ziemi, zdecydował się walczyć o odzyskanie swojej planety. Tubylcy byli absolutnie pozbawieni bojowego ducha: prędzej drzewa zaczęłyby śpiewać, a żaby układać słowniki, niż jakiś Tubylec dokonał aktu przemocy i podniósł na kogoś rękę.

Joseph wyeliminował równie szybko możliwość, że jakaś zabłąkana grupa podróżników w kosmosie wylądowała w nocy, by odebrać planetę jej obecnym właścicielom tak, jak własna rasa Josepha odebrała ją Ludowi całe wieki temu. Coś takiego mogło się stać dwa albo trzy tysiące lat temu, ale teraz światy Cesarstwa były ze sobą powiązane świętymi przymierzami i każdy ruch ze strony wrogich sił w przestrzeni międzygwiazdnej zostałby szybko wykryty i powstrzymany.

Uporządkowany umysł Josepha podsunął mu ostateczną hipotezę: oto wreszcie wybuchło powstanie Ludu przeciw Panom Domu Getfen. Była to najmniej nieprawdopodobna teoria z tych czterech, nie całkiem niemożliwa, tylko mało prawdopodobna. Przecież majątek wspaniale prosperował. Jakież oni mogli mieć pretensje? Relacje między Ludem a Panami były wszędzie ustabilizowane i obie grupy odnosiły z tego korzyści. Po co ktoś miałby podkopywać system, z którego wszyscy byli tak zadowoleni?

Tego nie był w stanie określić. A mimo to dziś w nocy płomienie ogarnęły skrzydło Domu Getfen, stajnie płonęły, zwierzęta biegały samopas, a rozzłoszczeni ludzie pędzili tam i z powrotem, strzelając do siebie. Odgłosy walki nie zamierały: ostre huki ostrzału, tępy pomruk wybuchów, nagle, pełne furii krzyki ofiar, których tożsamości nie znał.

Zaczął się ubierać. Życie jego rodziny w Domu Getfen było pewnie zagrożone, a jego obowiązkiem było przyjść im z pomocą. Nawet gdyby istotnie był to bunt Ludu przeciwko rodowi Getfen, nie sądził, żeby jego życie znajdowało się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Nie pochodził z rodu Getfen, więzy krwi, jakie go łączyły z tą rodziną, były bardzo odległe. Pochodził z rodu Keilloran. Był tu gościem, który przybył z Helikis, południowego kontynentu odległego o tysiące mil. Joseph nie przypominał nawet nikogo z rodu Getfen. Był wyższy i smuklejszy niż chłopcy Getfen w jego wieku, miał ciemniejszą skórę, jak to ludzie z południa, i ciemne oczy, gdy oni mieli błękitne, i ciemne włosy zamiast złocistych. Nikt go nie zaatakuje. Nie było ku temu żadnego powodu.

Zanim wyszedł z pokoju i wkroczył w otaczający go chaos, Joseph poczuł, że nawyki i wyszkolenie sugerują, by skontaktował się z ojcem w Domu Keilloran. W żółtym świetle kolejnego wybuchu bomby Joseph znalazł swój komunikator tam, gdzie go odłożył, obok łóżka, wcisnął przycisk rozkazu i czekał, aż w powietrzu przed nim zmaterializuje się błękitna scena, która oznaczała nawiązanie kontaktu.

Ciemność pozostała niezmacona. Błękitna sfera nie pojawiła się.

Dziwne. Może był jakiś problem z obwodem. Stuknął lekko przycisk „wyłączone” i znów wcisnął przycisk rozkazu. Wyobraził sobie impuls biegnący w górę, do stacji satelitarnej wysoko w górze, a potem natychmiast skierowany na południe. Nawiązanie połączenia

komunikatorem w dowolnym miejscu na planecie zajmowało zwykle kilka sekund. Ale nie tym razem.

– Ojczy? – rzekł z nadzieją, prosto w ciemność przed nim. – Ojczy, tu Joseph. Nie widzę twojej sfery, ale może mimo to połączenie działa. W Domu Getfen jest środek nocy, chciałem ci powiedzieć, że toczy się tu jakaś walka, coś wybucha, ktoś strzela...

Zamilkł. Usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

– Pan Joseph? – rozległ się cichy, stłumiony głos kobiety. – Nie śpicie, Panie Josephie? Proszę. Proszę otworzyć.

To chyba służąca. Mówiła językiem Ludu. Niech czeka. Patrząc w przestrzeń, tam, gdzie powinna być błękitna sfera, odezwał się:

– Ojczy, słyszysz mnie? Dasz mi jakiś znak?

– Panie Josephie, proszę... mamy mało czasu. Tu Thustin. Zabiorę was w bezpieczne miejsce.

Thustin. To imię coś mu mówiło. Ona chyba jest własnością rodu Getfen. Zastanawiał się, czemu jego ludzie po niego nie przyszli. Może to pułapka?

Nie chciała jednak odejść, a jego komunikator nie działał. Tajemnica, tajemnica za tajemnicą. Ostrożnie uchylił drzwi.

Patrzyła na niego prawie błagalnie.

– Panie Josephie – rzekła. – Proszę was...

Przypomniał sobie, że Thustin była jego pokojówką – niska, przysadzista kobieta, w zwykłych szatach służącej, luźnej płóciennej koszuli założonej na krótką tunikę z brązowej skóry. Josephowi wydawało się, że jest stara, ma jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. W przypadku kobiet z Ludu trudno było określić wiek. Była gruba we wszystkich płaszczyznach, przez co jej ciało miało prawie sześcienny kształt. Zwykle była cichą, spokojną kobietą, przychodziła i odchodziła nie zwracając na siebie uwagi, ale teraz drżała ze strachu. Jej twarz o grubych rysach pobladła i rozglądała się tak nerwowo, jakby jej gałki oczne poruszały się w oczodołach bez żadnego oporu. Jej cienkie, blade wargi drżały. Przez ramię przerzuciła szary płaszcz służby; teraz rzuciła go Josephowi i gestem dała mu do zrozumienia, żeby go włożył.

– Co się dzieje? – spytał Joseph w języku Ludu.

– Jakkirod i jego ludzie wyrzynają wszystkich. Zabiją was, jeśli ze mną nie pójdziecie. Szybko!

Jakkirod był rządcą majątku, wielkim, kordialnym, rudowłosym mężczyzną – służył rodowi Getfen od dziesięciu pokoleń, a przynajmniej tak mówił Gryilin Pan Getfen, drugi kuzyn Josepha, który tu władał. Gryilin Pan Getfen mówił, że Jakkirod to prawdziwy filar domowej służby. Joseph widział Jakkiroda zaledwie parę dni temu, jak podnosi wielką kłodę, która spadła na obramowanie studni, i odrzuca ją na bok jak słomkę. Jakkirod spojrział na Josepha i uśmiechnął się, radosnym, pełnym zadowolenia uśmiechem, po czym mrugnął.

Dziwne to było mrugnięcie.

Choć w głowie kłębiło mu się mnóstwo pytań, Joseph złapał niewielką sakwę i zaczął odruchowo wrzucać do niej wszystko, czego nie powinien zostawić w pokoju. Oczywiście komunikator, czytnik z podręcznikami, podręczny zestaw dla podróżnych z różnymi miniaturowymi urządzeniami, które rzadko oglądał, ale teraz mogły mu się przydać, wszystko jedno, gdzie by się znalazł. To ułatwiało najważniejszy problem. Próbował przypomnieć sobie, co jeszcze należałoby zabrać, ale – choć był stosunkowo spokojny i myśli miał niezmacone – nie miał pojęcia, gdzie się teraz uda, ile to potrwa, czego będzie potrzebował, a obecność niecierplivej Thustin nie ułatwiała rozsądnego myślenia. Służąca zaczęła szarpać go za rękaw.

– Co ty tu robisz? – spytał. – Gdzie są moi słudzy? Balbus, Anceph, Rollin...?

– Nie żyją – odparła stłumionym, prawie niesłyszalnym głosem. – Zobaczycie, jak leżą na dole. Wszystkich zabijają.

Powoli zaczynał rozumieć.

– A Pan Getfen i jego synowie? A córka?

– Nie żyją. Wszyscy nie żyją.

Myśl, że rodzina Getfen może nie żyć, poraziła go. Coś takiego było prawie nie do pomyślenia: Lud zaczął mordować członków jednego z Wielkich Rodów. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy, od Podboju. Czy rzeczywiście tak było? Czy ona naprawdę widziała zwłoki? Nie ulegało wątpliwości, że istotnie dzieje się coś niedobrego, ale może śmierć rodu Getfen to jakaś straszna plotka? Oby tak było, pomyślał, i wymruczał cicho modlitwę.

Spytał, czy ma coś na potwierdzenie swych słów, ale Thustin tylko prychnęła.

– Śmierć jest dziś wszędzie – odparła. – Do tego budynku jeszcze nie doszli, ale zaraz tu będą. Idziecie, Panie Joseph? Bo jeśli nie, zginiecie, a ja razem z wami.

Był uparty.

– Czy cały Lud rodu Getfen się zbuntował? Ty też, Thustin? Może próbujesz wydać mnie śmierci?

– Jestem za stara na bunt, Panie Joseph. Służę Rodowi Getfen. Wasze życie jest dla mnie święte.

Na zewnątrz rozległa się kolejna eksplozja; kątem oka Joseph dostrzegł nagły rozbłysk biało-niebieskiego płomienia na dachu. Skądś dobiegły okrzyki radości. Nie wrzaski, a radosne okrzyki. Chcą wysadzić cały dom, pomyślał. Thustin, dotąd niewzruszona jak drewniana kłoda, zaczęła nagle szlochać. W rozbłyskach światła rzuconych przez najnowszy płomień Joseph dostrzegł lśniące, srebrzyste strumyki łez płynące po jej poszarzałych, pobrużdżonych policzkach, i zrozumiał, że to nie zdrada skłoniła ją do przyjscia.

Joseph narzucił płaszcz, naciągnął kaptur na czoło i wyszedł za nią z komnaty.

Ceglany budynek, który służył za gościnną kwaterę Domu Getfen był pierwotną siedzibą rodu i liczył sobie jakieś tysiąc albo tysiąc pięćset lat. Kiedyś zapewne wyglądał imponująco,



ale teraz, obok gigantycznego dworzyszczca o kamiennych ścianach, które piętrzyło się po północnej i wschodniej stronie prostokąta, otaczając wielki środkowy trawnik posiadłości, wyglądał na niewielki. Ogromna zdobiona klatka schodowa w średniowiecznym stylu, ze stopniami z różowawego granitu i balustradą z czarnego drewna, zdobioną co stopę lub dwie gałkami, listkami i ozdobnymi guzami, prowadziła do wielkiej sali na parterze. Na drugim półpiętrze Thustin poprowadziła go do małych drzwi, które otwierały się na wielką klatkę schodową, i pociągnęła go w dół, nieozdobnymi schodami dla służby, których nie znał; opadały dwie kondygnacje w dół, do części budynku, która leżała gdzieś pod poziomem gruntu. Pachniało pleśnią i wilgocią. Znaleźli się w jakimś tunelu. Nigdzie nie było światła, ale Thustin знаła drogę.

– Teraz musimy wyjść na chwilę na zewnątrz – powiedziała. – To będzie niebezpieczne. Bądźcie cicho, gdyby nas zatrzymali.

Na końcu tunelu była mała kamienna klatka schodowa, którą dostali się z powrotem na poziom gruntu. Wyszli na porośnięty trawą dziedziniec, który rozpościerał się między tylną fasadą budynku a kwaterami dla gości.

Chłodne nocne powietrze wypełniały zapachy spalenizny. Wszędzie leżały ciała jak porzucone zabawki. Trzeba było nad nimi kroczyć. Joseph z trudem zmusił się, by spojrzeć na ich twarze; bał się, że zobaczy leżącego tam kuzyna Wykkina, Domiana, albo, co gorsza, ich piękną siostrę Kesti, która flirtowała z nim jeszcze wczoraj, a może nawet samego Pana Grylina, lorda rodu Getfen. Widział jednak tylko ciała Ludu, służby Domu. Joseph podejrzewał, że oskarżono ich o przesadną lojalność wobec Panów; może też zostali zabici w ramach jakichś starych domowych porachunków, gdy Jakkirod podniósł bunt.

Przez otwartą bramę w rogu dziedzińca Joseph dostrzegł ciała własnych służących, porzucane w kałużach krwi: Balbus, jego nauczyciel, Anceph, który uczył go polować, i serdeczny, jowialny woźnica Rollin. Dla Josepha było oczywiste, że nie żyją. Był zbyt dobrze wychowany, żeby zacząć płakać i zbyt zmęczony, by zacząć krzyczeć ze złości i rozpacz, ale widok tych trzech ciał wstrząsnął nim, jak nic dotąd, i tylko świadomość, że jest Panem, potomkiem wielu pokoleń Panów, pozwoliła mu utrzymać emocje na wodzy. Panowie nie mogą płakać w obecności sług. Panom nie wolno w ogóle płakać, jeśli tylko zdołają się opanować. Balbus nauczył go, że wszystkich spotka kiedyś tragiczny koniec, także Panów, że wszystko jest naturalne, normalne i uniwersalne, i nie należy się temu sprzeciwiać. Joseph pokiwał wtedy głową, jakby pojął tajemnicę swego istnienia, i w tym momencie wydawało mu się, że tak jest; teraz jednak Balbus leżał na stercie ciał z rozplatanym gardłem i nie miał na sumieniu żadnych grzechów poza byciem nauczycielem filozofii młodego Pana, a Joseph nie był w stanie przyjąć tego do wiadomości z filozoficznym spokojem.

Thustin poprowadziła go ukośną ścieżką biegnącą przez dziedziniec, w stronę budynku z podwójnymi drewnianymi drzwiami, równo na poziomie gruntu, na skraju posiadłości Getfen. Otworzyła prawe skrzydło drzwi i bezceremonialnie popchnęła Josepha. Zobaczył przejście i

kolejną klatkę schodową. Widział, jak gdzieś daleko, przed nimi, mruga świeca. Z tyłu doleciał do niego odgłos kolejnych eksplozji, niewyraźny i stłumiony przez wszystkie poziomy budynki, które ich oddzielały.

Joseph zatrzymał się na pierwszym półpiętrze i przepuścił Thustin przed siebie. We wszystkich kierunkach rozciągały się wąskie, słabo oświetlone tunele, zdumiewający labirynt. Doszedł do wniosku, że to piwnice głównego budynku, odwieczny, osnuty pleśnią świat pod światem, świat sług rodu Getfen, świat Ludu. Thustin przemykała pewnie od jednego przejścia do drugiego, aż doszli do chłodnej, oświetlonej świecami komnaty, nisko sklepionej, ale długiej, gdzie piętnascioro czy dwadzieścioro sług rodu Getfen siedziało przy długim stole z surowego drewna. Wszyscy wyglądali na zaskoczonych i przerażonych. Przeważnie były to kobiety, niektóre w wieku Thustin. Było też kilku starszych mężczyzn, jeden młodszy, oparty na kulach, i kilkoro dzieci. Joseph nie dostrzegł nikogo, kto byłby w stanie wziąć udział w buncie. To nie byli rewolucyjniści, ale kucharki, pokojówki i starsi kamerdynerzy, przerażeni uciekinierzy z krwawej zawieruchy na górze.

Obecność Josepha natychmiast wywołała poruszenie. Kilkoro z nich otoczyło go, mruczając coś niewyraźnie i gestykułując. Joseph z trudem rozumiał co mówią; jak każdy z Panów, doskonale władał mową Ludu, jak też językami Panów i Tubylców, ale dialekt ludzi z północy nie był mu znany, a oni mówili szybko i wszyscy naraz, więc szybko się pogubił. Ogólny sens wydawał się jednak zrozumiały. Byli źli na Thustin za to, że przyprowadziła Pana do ich kryjówki, obcego Pana, który nie pochodził z rodu Getfen, bo buntownicy mogli szukać i jego, a gdyby go znaleźli, prawdopodobnie zabiliby wszystkich za udzielenie mu schronienia.

– On tu nie zostanie – odpowiedziała wszystkim Thustin, gdy już uciszyli się na tyle, żeby mogła przemówić. – Wyprowadzę go poza majątek, jak tylko znajdę jakieś jedzenie i wino na drogę.

– Poza majątek? – spytał ktoś. – Oszalałaś, Thustin?

– Jego życie jest święte. Podwójnie, bo jest Panem i gościem Domu. Trzeba go wyprowadzić w bezpieczne miejsce.

– Niech go wyprowadzą jego słudzy – zaproponował inny z rozdrażnieniem. – Może mi powiesz, po co chcesz ryzykować dla niego życiem?

– Jego ludzie nie żyją – odparła Thustin, nie wyjaśniając motywów swojej decyzji. Powiedziała to głębokim, prawie męskim głosem. Stała niewzruszenie przed nimi, potężnie zbudowana, niepokonana postać.

– Daj mi tę sakwę – zwróciła się do kobiety, która siedziała przy stole trzymając przed sobą sakwę z tkaniny. Thustin wyrzuciła na stół jej zawartość: głównie ubrania i kilka tandetnych naszyjników z paciorków. – Kto ma chleb? Mięso? Kto ma wino? Dajcie.

Wobec stanowczego tonu tej niskiej, pękatej kobiety byli bezradni. Znalazła w sobie moc, o posiadanie której nawet się nie podejrzewała. Thustin obeszła pomieszczenie dookoła,

zabierając co tylko chciała, i machnęła ręką w stronę Josepha.

– Idziemy, Panie Joseph. Nie mamy czasu do stracenia.

– Ale dokąd idziemy?

– Do Parku Getfen, a potem do lasu. Tam będziecie bezpieczni. A potem musicie wyruszyć do domu.

– Wyruszyć do domu? – rzekł bezbarwnym tonem. – Ale mój dom jest tysiące mil stąd!

Miała to zabrzmieć tak, jakby było to gdzieś na którymś z księżyców. Liczba oczywiście nic jej nie powiedziała. Wzruszyła ramionami i uczyniła ponagląjący gest.

– Zabiją was tu, jeśli znajdą. Są jak wilki wypuszczone z klatki. Nie chcę mieć was na sumieniu. No, dalej! Idziemy!

Joseph zatrzymał się.

– Muszę powiedzieć ojcu, co się tutaj dzieje. Wyśle ludzi i uratuje Dom Getfen od zniszczenia.

Wyciągnął komunikator i nacisnął przycisk rozkazu, czekając, aż pojawi się błękitna sfera, a w niej surowa twarz ojca o wąskich ustach, ale znów nic się nie wydarzyło.

Thustin ściągnęła wargi i potrząsnęła głową w irytacji.

– Odłóżcie tę maszynkę, chłopcze. Już nie działa. Na pewno na samym początku rozwalili stacje przekaźnikowe.

Zauważył, że zaczęła się do niego inaczej zwracać, rezygnując z pełnego szacunku zwrotu „Pan Joseph”. Co ona powiedziała o wysadzeniu stacji przekaźnikowych? Nigdy nie przychodziło mu do głowy, że opasujące planetę sieci komunikacyjne mogą być aż tak nietrwałe. Przyciskałeś guzik, sygnał wędrował w kosmos, a potem trafiał do jakiegoś miejsca na Ojczyźnie i widziałeś twarz osoby, z którą chciałeś rozmawiać. To takie proste. Przyjmowałeś to za coś zupełnie naturalnego – obraz pojawi się, gdy tylko go wywołasz. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, że w pewnych okolicznościach może być zupełnie inaczej. Czy rzeczywiście unieszkodliwienie sieci komunikatorów było aż tak proste? Czy kilku malkontentów z Ludu mogło go odciąć od rodziny za pomocą paru bomb?

W tej chwili jednak nie było czasu na gdybanie. Był sam, daleko od domu i w niebezpieczeństwie; ta stara kobieta, wszystko jedno, z jakiego powodu, chciała go zaprowadzić w bezpieczne miejsce i ociąganie się byłoby głupotą.

Zarzuciła ciężką sakwę na plecy, odwróciła się i podreptała w stronę drugiego końca długiego pomieszczenia. Joseph szedł za nią. Wyszli tylnym wyjściem, korytarzami, w których hulały przeciągi, raz musieli się cofnąć, gdy skręciła w niewłaściwy, a w końcu dotarli do kolejnej klatki schodowej, gdzie szli cały czas w górę, aż dotarli do szerokiego podestu zakończonego masywnymi żelaznymi drzwiami, które były lekko uchylone. Thustin otworzyła je szerzej i wyjrzała. Prawie natychmiast cofnęła głowę, jak piaskowy baron chowający się do muszli, ale po chwili wyjrzała ponownie i nie oglądając się machnęła Josephowi ręką, żeby szedł za nią. Przeszli przez wrota i wkroczyli do brukowanej

kamieniami sali, która musiała się znajdować gdzieś w głównym budynku. W powietrzu czuło się zapach dymu, kwaśny odór, od którego Josepha zaczęły szczypać oczy, ale sam budynek był nietknięty: Dom Getfen był tak olbrzymi, że można było spalić całe skrzydła nie naruszając pozostałych części.

Thustin szybko przeprowadziła go przez salę, przez łukowate drzwi, pół piętra w górę – całkiem stracił już orientację – i nagle znaleźli się w na zewnątrz, w lesie otaczającym budynek.

Nie był to prawdziwy las. Wysokie i smukłe drzewa posadzono starannie rzędami, pozostawiając między nimi szerokie aleje. Posadzono je dawno temu, tworząc coś w rodzaju ozdobnego przejścia między posiadłością a lasem. Był to Park Getfen, rezerwat łowiecki rodu, gdzie dziś Joseph i jego koledzy, Wykkin i Dorian, mieli udać się na polowanie. Był środek ciemnej, bezksiężycowej nocy, ale w czerwonym świetle rzucanym przez płonący budynek Joseph dostrzegał po bokach wysokie drzewa, łączące się koronami w górze, i jasne, ostre punkty gwiazd między nimi; niedaleko widać było mroczną, tajemniczą ścianę prawdziwego lasu.

– Szybko, szybko – ponagliła go Thustin. – Jeśli na dachu jest jakiś strażnik, zobaczy nas.

Ledwo wypowiedziała te słowa, rozbrzmiały za nimi dwa szybkie strzały, a dwa kleksy ognia – a może to było złudzenie? – przemknęły w powietrzu obok niego. Zaczęli biec. Rozległ się trzeci strzał, a potem czwarty; przy czwartym Thustin jęknęła, potknęła się i o mało nie upadła, zatrzymując się i opadając na jedno kolano. Szybko jednak wstała i biegła dalej. Joseph biegł obok niej, zmuszając się, by dorównać jej kroku, choć miał o wiele dłuższe nogi niż ona.

– Nic ci nie jest? – spytał. – Trafili cię?

– Tylko mnie drasnęli – odparła. – Biegnij, chłopcze, biegnij!

Wyglądało na to, że nie wie, w którą stronę należy uciekać, i widać było, że jest coraz bardziej zmęczona; oddychała chrapliwie, a jej krok stał się niepewny. Przyszło mu do głowy, że może faktycznie jest ranna. Joseph zrozumiał też, że to on powinien nieść tę sakwę, ale nie chciał tego proponować, jako że Panowie nie nosili ciężarów w obecności służby, a ona pewnie i tak by na to nie pozwoliła. Teraz pewnie też się nie zgodzi. Dalsze strzały nie padły, a oni zagłębili się w rezerwat, i prawdopodobnie o tej porze nie spotkają tu nikogo.

Usłyszał gdzieś przed nimi szum wody, niewątpliwie dobiegający z jednego z małych strumyczków przecinających park. Dotarli do niego chwilę później. Thustin zdjęła sakwę, pomrukując z ulgą, i opadła na oba kolana nad wodą. Joseph obserwował z zaskoczeniem, jak zdejmuje koszulę spod tuniki i rzuca ją obok siebie, obnażając się od pasa w górę. Miała ciężkie, opadające piersi z wielkimi brodawkami. Joseph dotąd nie widywał raczej piersi. W świetle gwiazd dostrzegł krwawą kreskę biegnącą od górnego ramienia do miejsca poniżej piersi.

– Trafili cię – rzekł. – Obejrzę to.

– W ciemności nic nie widać.

– Obejrzę – odparł i przyklęknął koło niej, delikatnie przesuając czubkami palców wzdłuż ramienia i badając zranione miejsce tak lekko, jak tylko mógł. Krwi było dużo. Spływała mu po ręce. Mam na sobie krew Ludu, pomyślał. Dziwne uczucie. Przytknął palce do ust i poczuł słodki i słony smak.

– Czy to boli? – spytał.

Odpowiedziała coś niewyraźnie, więc przycisnął trochę mocniej.

– Trzeba to oczyścić – rzekł i zaczął szukać po omacku jej koszuli, aż znalazł, zmoczył brzeg w strumieniu i zaczął ostrożnie ścierać krew po obu stronach rany. Poczuł, że krew płynie jeszcze mocniej. Trzeba to jakoś opatrzyć, pomyślał, żeby się zasklepiło, a o świcie obejrzeć i zobaczyć, co jeszcze można zrobić...

– Tam jest południe – powiedziała. – Przejdziecie strumień i będziecie iść przez park, aż dojdziecie do lasu. Za lasem jest wioska Tubylców. Mówicie po ichniemu?

– Oczywiście. Ale...

– Oni wam pomogą. Powiedzcie, że jesteście obcym z daleka i chcecie tylko dostać się do domu. Powiedzcie, co się stało w Domu Getfen, gdzie byliście gościem. Nic więcej nie mówcie. To łagodne stworzenia. Nic wam nie zrobią. Nie obchodzi ich, czy jesteście z Ludu czy z Panów. Zaprowadzą was do najbliższego domu Panów na południu. To Dom Ludbrek.

– Dom Ludbrek. Jak daleko to jest?

– Nie mam pojęcia. Nigdy w życiu nie opuściłam majątku Getfen. Ale Ludbrekowie to krewni Panów Getfen. Pewnie tam jest bezpiecznie. Jak im powiecie, że jesteście Panem, pomogą wam dotrzeć do domu.

– Tak. Pewnie tak.

Nic nie wiedział o tych Ludbrekach, ale wszyscy Panowie byli spokrewnieni, więc był raczej pewien, że nikt nie odmówi pomocy wędrującemu najstarszemu synowi Martina Pana Keillorana Rodu Keilloran. To było całkowicie oczywiste. Nawet tutaj, w Górnej Manzie, tysiące mil na północ, każdy Pan słyszał o Martinie Panu Keilloranie z Rodu Keilloran i zrobiłby dla jego syna to, co uznałby za najwłaściwsze. Jego ciemne włosy i oczy powiedzą im, że jest z południa, a zachowanie będzie świadczyć, że jest Panem z krwi i kości.

– Zanim dotrzecie do Domu Ludbrek, nie mówcie nikomu, że sami jesteście Panem – niewielu to odgadnie, bo nie wyglądacie jak tutejsi Panowie, ale najlepiej będzie, jak zatrzymacie tę prawdę dla siebie – i podróżując trzymajcie się z dala od Ludu, bo bunt Jakkiroda mógł już dotrzeć na drugi koniec lasu. Taki miał plan, wiecie, żeby rozszerzyć ten bunt jak najdalej i zniszczyć Panów, przynajmniej tu, w Manzie. Idźcie już. Niedługo będzie świtać, a niedobrze, gdyby straże was tu znalazły.

– Mam cię tu zostawić?

– A co innego możecie zrobić, Panie Joseph? Na nic się wam nie przydam, a nawet gorzej. Jeśli pójdę z wami, będę tylko ciężarem, a pewnie za parę dni wykrwawię się na

śmierć, nawet jeśli nas nie złapią i co wtedy zrobicie z moim ciałem? Wrócę do Domu Getfen, powiem, że w zamieszaniu i ciemności mnie ranili, a jeśli nikt, kto nas widział razem, nic nie powie, Jakkirod mnie nie zabije. Ale wy musicie iść. Jeśli was tu znajdą rano, zabiją. Mówiłam, że jest plan, żeby zabić wszystkich Panów. Żeby odkupić Podbój, tak mówią, żeby uwolnić świat od was i waszego rodu. To straszne. Nie sądziłam, że oni serio o tym mówią. Idźcie już, chłopcze, idźcie!

Zawahał się. Porzucenie jej wydało mu się niehonorowe. Krwawiła i pewnie była w szoku, miała tu zostać, a on – odejść. Chciał zaaplikować jej coś na ranę. Posiadał trochę znachorskiej wiedzy; medycyna była jedną ze specjalności ojca, czymś w rodzaju rozrywki i Joseph często patrzył, jak ojciec leczy Lud Rodu Keilloran. Miała jednak rację; gdyby poszła z nim, opóźniłaby ucieczkę i pewnie wykrwawiłaby się za dzień czy dwa, ale jeśli zawróci i po cichu przemknie do Domu Getfen w ciemnościach, pewnie jej pomogą. Tak czy inaczej, Dom Getfen był jej domem. Kraina za lasem była dla niej równie obca, co dla niego.

Pochylił się więc i ze spontanicznością, która zdumiała jego, a ją zaskoczyła i wprawiła w zdumienie, pocałował ją w policzek, uścisnął jej dłoń, a potem wstał, zarzucił sobie sakwę na plecy i przekroczył wąski strumień, ruszając na południe, sam, w najdłuższą drogę do domu.

Uświadomił sobie, że pewnie sam jest w stanie szoku. Wybuchwały bomby, Dom Getfen płonął, jego kuzynów i służbę wymordowano we śnie, a on sam uszedł z życiem dzięki poczuciu obowiązku starej kobiety, a teraz, zaledwie godzinę czy dwie później, był sam w dziwnym lesie w środku nocy, a od Domu Keilloran dzieliło go półtora kontynentu: jakim cudem udało mu się tak szybko to wszystko wchłonąć? Wiedział, że po ojcu odziedziczył sprawność umysłu, że potrafi szybko i skutecznie myśleć, oraz radzić sobie w trudnych sytuacjach, był przecież godnym dziedzicem Wielkiego Rodu. Czy teraz myślę jasno, zadał sobie w duchu pytanie. Jego pierwszym odruchem, gdy obudziły go eksplozje w Domu Getfen, było biec na ratunek kuzynom. Gdyby tak zrobił, już by nie żył. Nawet gdy uświadomił sobie bezsens pierwszej reakcji, jakaś jego część nadał chciała uwierzyć, że byłby w stanie ująć bez szwanku z rebelii, skoro celem był Ród Getfen, a on był obcym, dalekim krewnym, członkiem Wielkiego Rodu, który żył tysiące kilometrów stąd, i z którym Jakkirod nie mógł mieć żadnych zatargów. Nawet nie wyglądał jak Getfen. Przynajmniej w jakimś stopniu miał wrażenie, jeszcze wśród huków bomb i świszczących kul, a nawet potem, że mógłby zwyczajnie siedzieć sobie pośrodku masakry i czekać, aż ktoś przybędzie i zabierze go, a atakujący mu na to pozwolą. Był to wszakże nonsens i Joseph to dostrzegał. W oczach buntowników każdy Pan musiał być wrogiem, czy to Getfen, czy Ludbrek, czy nieznany nikomu Keilloran albo Van Rhyn czy Martyll z Południowych Krain. To była wojna, pierwsza wojna na Ojczyźnie od Podboju, a cała okolica stanowiła teraz terytorium wroga, krainę, gdzie rządził nieprzyjaciel.

Jak daleko będzie musiał iść, zanim dotrze do przyjaznego miejsca?

Nie był nawet w stanie zgadywać. Rebelia może mieć charakter odizolowany,

ograniczony do posiadłości Rodu Getfen, albo może być starannie zaplanowaną akcją eksterminacyjną, która rozszerzyła się już na cały kontynent Manzy, albo nawet Helikis. Wiedział tylko, że może być jedynym Panem, jaki tej nocy pozostał przy życiu na Ojczyźnie, ale ta myśl była zbyt straszna, by ją ogarnąć. Nie mógł uwierzyć, że Lud Domu Keilloran mógłby podnieść rękę na jego ojca, ani by Lud Domu Helikis obrócił się przeciwko swoim Panom. Nie ulegało jednak wątpliwości, że tak samo myślał Gryilin Pan Getfen i jego synowie Wykkin i Dorian o swoim własnym Ludzie, a teraz nie żyli, a poza tym – przyszła mu do głowy nowa, przepełniająca go przerażeniem myśl – cudowna panna Kesti o długich, złotych włosach, także już nie żyła i nie wiadomo, jaka hańba spotkała ją przed śmiercią. Ilu jeszcze Panów zginęło tej nocy, zastanawiał się, jak Ojczyzna długa i szeroka?

Joseph szedł jak lunatyk, kierując się na południe, rozmyślając o zadaniu, które go czekało.

Miał piętnaście lat i był wysoki jak na swój wiek, dobrze zbudowany, ale nadal był chłopcem. Służba jego rodu dbała o niego przez całe jego dotychczasowe życie. Zawsze miał jedzenie, czyste łóżko, świeże ubranie. Teraz był sam, bez broni, pieszo, przedzierając się w ciemnościach przez tajemniczą okolicę, na kontynencie, o którym nie wiedział prawie nic. Chciał wierzyć, że gdzieś tam są przyjaźni Tubylcy, zaraz za tym lasem, i zaprowadzą go posłusznie do domu Ludbrek, gdzie powitają go jak dawno zaginionego brata, zaproszą, wykąpią, nakarmią i udzielą schronienia, a po jakimś czasie odeślą prywatnym statkiem powietrznym do domu w Helikis. Co się jednak stanie, jeśli ród Ludbreków także został wymordowany? Jeśli wymordowano wszystkich Panów, na całej Manzie?

Nie potrafił pozbyć się myśli, że Lud północy, uderzając w sposób zorganizowany, jednej nocy wymordował wszystkich należących do Wielkich Rodów Manzy.

A jeśli tak się stało? Jeśli nie ma już nikogo, kto by mu pomógł w podróży?

Może przyjdzie mu iść całą drogę do Przesmyku, pięć albo sześć tysięcy mil, i samemu zatroszczyć się o swoje potrzeby? Ile czasu zajmie mu przejście pięciu tysięcy mil? Dwadzieścia mil dziennie, dzień po dniu – czy takie tempo w ogóle jest możliwe? To przecież zajęłoby dwieście pięćdziesiąt dni. A z Przesmyku do Keilloran było kolejne pięć tysięcy mil. W domu od dawna uznają go za zmarłego, zanim pokona taką odległość. Ojciec pograży się w żałobie, tak samo siostry i bracia. Wywieszają żółte płótno na bramie Domu Keilloran, odczytają słowa przeznaczone dla zmarłych, położą jego kamień na rodzinnym cmentarzu. Pewnie powinni to zrobić; jak miałby przeżyć taką podróż? Był sprytny, szybki i silny, ale nie wyobrażał sobie, żeby miał przetrwać tyle miesięcy i wyżywić się w sercu tego dzikiego, mało zaludnionego kontynentu.

Te myśli były pozbawione sensu. Zmusił się, żeby nie zaprzętały mu głowy.

Utrzymywał równe tempo i tak mijała godzina za godziną. Las był gęsty, grunt nierówny, było bardzo ciemno i marsz był niełatwy, ale Joseph zmuszał się, by przeć do przodu, aż wpadł w jakiś automatyczny trans jak u robota, bezmyślny maszynowy ruch, który czynił jego

rosnące zmęczenie cnotą. Jego postępy wyznaczały chaotyczne ruchy, tajemnicze szmery i ćwierkania w leśnym poszyciu, a parę razy usłyszał jakieś duże zwierzę przedzierające się obok niego. Spośród wielu rzeczy, jakie miał w swoim podręcznym zestawie, Joseph wybrał przyrząd do cięcia, mały ale mocny, i uciął patyk z potężnego, rozgałęzionego krzewu, po czym przyciął go tak, że powstała laska, którą mógł podpierać się podczas marszu. Poczł się nieco bezpieczniej. Niebawem nad wierzchołkami drzew pojawiła się biała łuna świtu. Bardzo zmęczony, zatrzymał się pod wielkim drzewem o czerwonym pniu i zaczął przeszukiwać sakwę, którą wzięła dla niego Thustin, by zobaczyć, jakie zapasy zgromadziła w podziemnej sali.

Było to jedzenie Ludu, prymitywne i proste. Czego jednak mógł się spodziewać? Długi, ciężki bochen twardego, szarawego chleba, kawałek mięsa na zimno, jakieś twarde herbatniki, butelka ciemnego wina. Pamiętał, że o wino dopominała się szczególnie natarczywie. Dlaczego? Czy Lud uważał wino za najważniejszy napój w życiu? Joseph spróbował go: było ciemne i kwaśne, ostre, nie przypominało aksamitnego wina, jakie podawano przy stole ojca. Po pierwszym łyku uświadomił sobie, że go rozgrzało. Poranne powietrze było chłodne. Po lesie snuły się widmowe mgły. Pociągnął kolejny łyk i zastanowił się nad trzecim. Włożył korek z powrotem i zajął się chlebem i mięsem.

Wkrótce ruszył. Marzył o tym, żeby zwinąć się w kłębek pod drzewem i zamknąć oczy – spał tylko godzinę albo dwie, w jego wieku potrzebował znacznie więcej snu, a wysiłek i strach poprzedniej nocy także pozostawiły ślad – Joseph wiedział jednak, że najrozsądniejsze będzie oddalić się czym prędzej od Domu Getfen.

Nie orientował się za bardzo, dokąd idzie. W ciągu trzech tygodni, jakie spędził w Domu Getfen, kuzyni parę razy zabierali go do parku, a on wiedział, że rezerwat dzikiej zwierzyny, który patrolowały strażę walczące z kłusownikami, wtapiał się niezauważalnie w dziki las. Nie był jednak w stanie ustalić, czy jest nadal w parku, czy też już wszedł do lasu.

Bał się jednego: że w ciemnościach nieświadomie zatoczył pętlę i idzie z powrotem w stronę Domu. Wyglądało jednak na to, że tak nie jest. Słońce wzeszło i zobaczył je po lewej stronie, więc musiał iść na południe. Nawet na tym północnym kontynencie, gdzie wszystko było przewrócone do góry nogami, słońce nadal wschodziło na wschodzie. Rzut oka na kompas, który miał w swoim zestawie, upewnił go, że ma rację. Wiatr, który wiał mu w plecy, czasem przynosił woń gorzkiego dymu, która – jak sądził – była wonią płonącego Domu Getfen.

W lesie pojawiła się przecinka, która naprowadziła Josepha na myśl, że może zbliżyć się do końca lasu i wioski Tubylców, która, jak mówiła Thustin, miała leżeć za lasem.

Nie mówiła jednak nic o autostradzie. Była tam jednak, przecięła jego ścieżkę i wszedł na nią tak nagle, poruszając się rytmicznie, prawie mechanicznie, że o mało nie potknął się o szerokie trawiaste obramowanie, które znajdowało się na jej brzegu, zanim zrozumiał, że patrzy na szeroką drogę o czterech pasach ruchu, doskonale prostą, biegnącą ze wschodu i



znikającą gdzieś na zachodnim horyzoncie, szeroki pasek czarnego betonu, który oddzielał jego las od drugiej części przed nim, jak kreska narysowana linijką.

Przez chwilę, zaledwie przez chwilę, Joseph myślał, że na drodze nie odbywa się żaden ruch, więc będzie mógł przemknąć na drugą stronę i zniknąć między drzewami. Bardzo szybko zrozumiał jednak swój błąd. Cisza i pustka na autostradzie oznaczały jedynie chwilową przerwę w ruchu. Usłyszał z lewej strony szum, który szybko zmienił się w potężne, pulsujące buczenie i zobaczył przody pierwszych pojazdów nadciągającego w jego stronę potężnego konwoju, linii wielkich ciężarówek; niektóre z nich były szarozielone, inne czarne, otoczone uzbrojonymi forysiami na motocyklach. Joseph cofnął się głębiej w las, by go nie dostrzegli.

Rozciągnął się płasko na brzuchu między dwoma krzakami i obserwował przejeżdżający konwój: najpierw wielkie ciężarówki, potem lżejsze, furgonetki, pokryte płótnem wozy rolnicze, wszelkiego rodzaju pojazdy, wszystkie ciągnęły w stronę jakiegoś nieokreślonego miejsca na zachodzie. Pomyślał z nadzieją, że to siły zbrojne wysłane przez Wielkie Rody w celu poskromienia rebelii, która wybuchła w posiadłościach Getfen, zauważył jednak szybko, że forysie na motocyklach, choć nosili hełmy i mieli przy sobie strzelby, nie nosili mundurów żadnych oficjalnych sił pokojowych, ale ubrani byli zupełnie dowolnie w szaty Ludu, kaftany, kubraki, kombinezony, tuniki, odzienie rolników, którzy nagle przeobrazili się w zaimprovizowaną milicję ludową.

Dreszcz przebiegł mu od karku do nasady kręgosłupa. Teraz zrozumiał, że to, co stało się w Domu Getfen, nie było przypadkowym wybuchem gniewu grupy niezadowolonych przedstawicieli Ludu, skierowanym przeciwko jednej rodzinie Panów. Była to prawdziwa wojna, wojna totalna, starannie zaplanowana i zorganizowana z pieczołowitością, wojna Ludu Górnej Manzy przeciwko Panom Górnej Manzy, prawdopodobnie rozprzestrzeniająca się na wiele prowincji, być może już ogarniająca cały kontynent. Pierwszy cios zadał nocą Jakkirod i jego ludzie, posługujący się kosami, cepami, widłami, ale uzbrojone oddziały były już w drodze i szykowały się do dokończenia dzieła.

Joseph leżał jak zahipnotyzowany, ogarnięty przerażeniem. Nie mógł oderwać oczu od przejeżdżających oddziałów. Gdy procesja zbliżała się do końca, jeden z forysiów odwrócił się i spojrzał w kierunku skraju drogi, tuż za miejscem, gdzie leżał Joseph, i chłopiec był przekonany, że ten człowiek go dojrzał, przejeżdżając obdarzył chłodnym, obszukującym spojrzeniem, złowieszczym i złowróbnym, ciężkim od nienawiści. A może nie. Może tylko zadziałała wyobraźnia. Bał się jednak, że motocyklista zatrzyma się, zsiądzie z pojazdu i zacznie go gonić i zastanawiał się, czy warto ryzykować wstanie na równe nogi i odejście w głąb lasu.

Nic takiego nie nastąpiło – człowiek odjechał i już się nie pojawił, a chwilę później przetoczyła się ostatnia ciężarówka z otwartą platformą, wypchana ciasno żołnierzami Ludu i droga znów była pusta. Zapadła dziwna cisza, przerywana tylko szemraniem chóru

chrząszczy zwisających w zwartych pomarańczowych gronach z gałązek krzewu na skraju lasu.

Joseph odczekał dwie albo trzy minuty, po czym znów wypelzł na trawiaste pobocze. Spojrzał w lewo, nie dostrzegł żadnych pojazdów, spojrział w prawo by stwierdzić, że ostatni pojazd konwoju stał się zaledwie niewyraźną szarą kropką na horyzoncie. Przebiegł na drugą stronę i błyskawicznie schował się pośród drzew po południowej stronie.

Zbliżało się południe i nie widać było żadnych śladów obiecaney wioski Tubylców, ani żadnych innych siedzib. Wiedział, że musi się zatrzymać i trochę odpocząć. Chłodna mgła świtu ustąpiła łagodnemu ciepłu poranka i wreszcie suchemu żarowi letniego południa. Josephowi wydawało się, że idzie tak już parę dni, choć jego podróż nie mogła trwać dłużej niż dwanaście godzin od jego ucieczki z chaosu w Domu Getfen. Widać i młodość miała swoje ograniczenia. Poszycie było gęste i każdy krok był walką. Joseph był silnym, młody i zwinny, ale był Panem, wychowanym wśród przywilejów, nieprzyzwyczajonym do przedzierania się przez gęste, kłujące zarośla. Było gorąco, ale Joseph dygotał z wyczerpania. Czuł szarpanie w lewej nodze, od łydki po udo i ostry ból nieco niżej, jakby skręcił kostkę i nawet tego nie zauważył. Oczy go piekły i miał powieki ciężkie z niewyspania, ubranie poplamione i podarte, gardło mu wyschło, a żołądek niecierpliwie domagał się posiłku. Usiadł w zagłębieniu między dwoma kępami ukośnych, niechlujnych drzewek i zjadł posiłek składający się z reszty chleba, takiej ilości mięsa, jaką tylko zdołał przeżuć i połowy wina, jakie jeszcze mu zostało.

Kolejna próba skontaktowania się z Domem Keilloran spełzła na niczym. Komunikator nie działał.

Najważniejszym zadaniem było teraz zatrzymać się na chwilę i odzyskać siły. Był już zbyt zmęczony, by jasno myśleć, a to mogło mieć skutek śmiertelny. Ponury widok konwoju podsunął mu myśl, że w każdej chwili może nagle znaleźć się pośród wrogów i tylko szybkość reakcji może go ocalić. Miał szczęście, że nie wyszedł na drogę właśnie wtedy, gdy przejeżdżały oddziały Ludu, bo pewnie zastrzeliliby go natychmiast, gdy tylko by go dostrzegli. Zatrzymanie się na odpoczynek było zatem nie tylko upragnione, ale wręcz niezbędne. I tak pewnie lepiej iść nocą, a odpoczywać w dzień. W ciemności jest mniejsze prawdopodobieństwo, że go wypatrzą.

Oznaczało to oczywiście, że mogą go znaleźć podczas snu. Pomysł, żeby w świetle dnia, nie ukrywając się, wyciągnąć się po prostu pod drzewem, gdzie może się na niego natknąć jakiś przechodzący rolnik, kłusownik czy straż, podczas gdy on będzie spał, wydawał się za bardzo ryzykowny. Wolałby znaleźć jakąś jaskinię, gdzie mógłby wpełznąć na parę godzin. Nic takiego jednak nie pojawiło się w zasięgu wzroku, a on nie miał ochoty ani środków, żeby samemu wykopać jakąś dziurę. W końcu usypał stertę suchych liści i zerwał kilka gałęzi z drzewa, tworząc coś, co – a przynajmniej taką miał nadzieję – wyglądało na twór naturalny, zagrzebał się i zamknął oczy.

Grunt pod liśćmi był twardy i nierówny, ale Joseph natychmiast zapadł w sen i śnił o tym, że spaceruje po ogrodzie Domu Keilloran, jakiejś jego części, której nigdy dotąd nie widział, gdzie rosły dziwne paprocie o grubych łodygach, niesamowite paprocie o pierzastych, różowawo-zielonych liściach, które były zakończone kulistymi kształtami przypominającymi nieco ludzkie oczy. Ojciec był z nim, wspaniały, szlachetny człowiek, przystojny i wysoki, a także jeden z młodszych braci Josepha, nie był pewien, który, Ritan czy Eitan, bo obraz falował, a także jedna z sióstr; z jej wzrostu i kruczoczarnych włosów wnosił, że to Cailin, która z całej rodziny była mu najbliższa. Ze zdumieniem dostrzegł, że przed nimi przechadza się jego matka, piękna, dostojna Pani Wireille, choć w rzeczywistości od trzech lat nie żyła. Wszyscy podążali gdzieś miękką ścieżką wyłożoną pokruszoną korą czerwonodrzewu, która biegła przez sam środek paprociowego ogrodu, aż naprzeciwko nim wyszli przedstawiciele domowego Ludu, szambelani i inni słudzy wysokiej rangi, podeszli i uklonili im się nisko, o wiele bardziej formalnie i służalczo, niż ojciec w rzeczywistości wymagał, a gdy przechodzili, każdy z członków rodziny wystawił rękę do ucałowania, nie tylko Pan i Pani, ale także dzieci, wszystkie z wyjątkiem Josepha, który spostrzegł, że wrywa rękę za każdym razem, gdy ktoś chce ją ucałować. Nie wiedział, czemu tak jest, ale czuł, że nie może do tego dopuścić, choć w kontekście tej sceny ich zachowanie wydawało mu się całkiem naturalne. Ku jego zdumieniu ojciec bardzo się rozżłościł, gdy spostrzegł, że Joseph nie pozwala się w ten sposób pozdrowić, powiedział do niego coś ostro i spojrzał z ukosa. Nawet we śnie Joseph wiedział, że coś jest nie w porządku, bo ojciec nigdy tak do niego nie mówił.

Sen znikł, a po nim przyszły inne, mniej spójne i bardziej fragmentaryczne niż pierwszy, chaos niepokojących obrazów i bezsensownych rozmów, podróży długimi tunelami, aż nagle obudził się i z przerażeniem odkrył, że leży w stercie liści pod rozgwieżdżonym niebem, wyglądającym jak zwisające nisko ciężkie sklepienie. Minęła chwila zanim sobie przypomniał, gdzie jest i dlaczego. Przespał zachód słońca i spał aż do wieczora.

Długi sen najwyraźniej pozwolił Josephowi pozbyć się wielu strachów i wątpliwości. Był gotów ruszyć w drogę, zrobić wszystko, by dotrzeć do dalekiego domu, przebyć pieszo całą drogę do Helikis, gdyby musiał. Pewien był, że nic mu nie grozi – nie dlatego, że był Panem najwyższej rangi, bo w nieprzyjaznej puszczy nie miało to żadnego znaczenia, ale dlatego, że był inteligentny, sprytny i hojnie obdarzony przez naturę, wyszkolony, by stawić czoło przeciwnościom, które mogły stanąć na jego drodze.

Choć zapadła już noc, zaczął szeptać poranne modlitwy. To było przecież dozwolone? Wszak dopiero się obudził. Dzień i noc zamieniły się miejscami i teraz nastał dla niego nowy dzień. Znalazł w pobliżu staw, rozebrał się i solidnie umył w chłodnej wodzie, próbując zetrzeć z siebie sztywność, jakiej nabawił się przez kilka godzin leżenia na ziemi, wyprał też ubranie.

Czekając, aż odzież wyschnie, Joseph próbował ponownie użyć komunikatora, by połączyć się z ojcem, i znów mu się nie udało. Nie miał wątpliwości, że buntownikom udało

się w końcu uszkodzić system komunikacyjny i wysłanie wiadomości do kogokolwiek z Domu Keilloran czy kogokolwiek innego było niemożliwe. Równie dobrze mogę wyrzucić komunikator, pomyślał, choć nie mógł się do tego zmusić.

Pozbierał trochę grubszych gałązek z poszycia, ustawił je w trzy małe stosiki i ofiarował modlitwę duszom Balbusa, Ancepha i Rollina. To był jego obowiązek: nie mógł zapewnić ich ciałom właściwego pogrzebu, więc musiał przynajmniej wysłać ich dusze w drogę. Należeli do Panów, byli, niżsi rangą, ale przecież w pewnym sensie byli związani więzami krwi. A że byli dobrymi sługami, wiernymi i lojalnymi, miał obowiązek zatroszczyć się o ich wędrujące dusze. Powinien był to zrobić zanim udał się na spoczynek, wiedział o tym, ale był zbyt zmęczony i zdezorientowany, by o tym wtedy pomyśleć. Kiedy skończył trzecią serię modlitw za Balbusa, ogarnęło go poczucie samotności i straty. Balbus był wspaniałym człowiekiem i mądrym nauczycielem, i Joseph miał dawniej nadzieję, że doprowadzi go aż do przekroczenia progu dorosłości. To nie było zadanie ojca; należało do nauczyciela. A teraz Balbus nie żył, Joseph był sam, nie tylko w lesie, ale też na świecie. Nie było to dokładnie to samo, co stracić ojca czy matkę, ale i tak był to straszliwy cios.

Chwila ta minęła jednak szybko. Balbus nauczył go radzić sobie z wszelkiego rodzaju stratą, nawet stratą samego nauczyciela. Przez jakiś czas stał obok trzech stosików, przypominając sobie różne drobiazgi związane z Balbusem, Ancephem i Rollinem, jakieś powiedzenia czy uśmiezek, albo jak się poruszali wchodząc do pokoju, aż utrwalił ich w pamięci, pamiętając, jakimi byli za życia, a nie po śmierci, leżąc w kałużach krwi.

Joseph zjadł resztkę chleba i dopił wino, po czym upchał pękata fiaszkę do sakwy, by użyć jej jako naczynia na wodę i wyruszył prosto w ciemność, sprawdzając często na kompasie, czy podąża na południe. Wybierał ostrożnie drogę pośród mrocznej, pachnącej gliną puszczy, stąpając po nierównym gruncie, omijając wystające korzenie i strome pochyłości, nasłuchując, czy z sykiem i traskiem nie zbliża się jakieś groźne zwierzę, poszturchując laską miękkie, gnijące liście przed postawieniem na nich stopy. Noga, którą prawdopodobnie skręcił, nawet tego nie zauważywszy, zeszywniała podczas snu i sprawiała mu coraz więcej kłopotu: bał się, że nieostrożne stąpienie spowoduje jeszcze większy ból. Czasem widział płonące w ciemnościach żółte oczy, śledzące go z jakiejś gałęzi wysoko w górze, lub wpatrujące się w niego z za bezpiecznego schronienia za wielkim głazem; odwzajemniał spojrzenie, by pokazać, że się nie boi. Zastanawiał się jednak, czy powinien się bać. Nie miał pojęcia, jakie to mogą być zwierzęta.

Po północy usłyszał gdzieś z przodu odgłosy kolejnej drogi i zobaczył światła przejeżdżających pojazdów, znów przecinających jego szlak, tym razem jednak z zachodu na wschód, a nie odwrotnie, jak poprzednio. Wydawało mu się to dziwne, taki duży ruch o tej porze; doszedł do wniosku, że to kolejny z wojskowych konwojów, i zbliżył się do przecinki z wielką ostrożnością, nie chcąc wejść w czyjeś pole widzenia i przyciągnąć uwagę jakiegoś rewolucjonisty.

Gdy podszedł na tyle blisko, by zobaczyć drogę, odkrył, że nie był to ponury konwój zorganizowanych ciężarówek, ale powolna, beładna procesja chłopskich wozów, traktorów rolniczych, otwartych wózków ciągniętych przez zwierzęta, furmanek, wózków ręcznych, taczek. W tych pojazdach oraz obok nich płynęła obszarpana horda uciekinierów z Ludu, ludzi, którzy zapakowali domowe sprzęty i zwierzęta na wszystkie zaimprovizowane pojazdy, jakie tylko udało im się znaleźć, ludzi, którzy uciekali pośpiesznie przed jakąś przerażającą katastrofą, która zdarzyła się na zachodzie. Być może przyczyną tej katastrofy był ten sam konwój, który Joseph spotkał dzień wcześniej. Na przykładzie Thustin widać było, że nie cały Lud Domu Getfen sprzyjał rewolucji i Joseph zaczął podejrzewać, że w niektórych Wielkich Domach mogło być tyle samo ofiar powstania wśród Ludu, co wśród Panów – Lud mógł nawet uderzyć na swoich ludzi. Mieli więc do czynienia raczej z anarchią niż zorganizowaną rewolucją klasy niższej skierowaną przeciwko Panom. Przyszła mu też do głowy trzecia możliwość: Panowie na zachodzie krwawo stłumili powstanie i mścili się teraz, a Lud próbował ująć przed ich gniewem. Joseph nie wiedział, która z tych możliwości jest bardziej przerażająca.

Joseph czekał prawie godzinę, aż uciekinierzy przejechali. Gdy ostatni maruderzy znikli i droga była pusta, przebiegł na drugą stronę, nie zwracając uwagi na protesty bolącej nogi, i zaszył się w splątanych zaroślach po drugiej stronie.

Robiło się późno i pomyślał, że dobrze byłoby znaleźć jakieś schronienie, w którym można by przeczekać dzień, lecz nagle uświadomił sobie, że ktoś go śledzi.

Zauważył pozornie losowe trzaśnięcia gałązek rozlegające się na nim. Przypuszczał, że to jakieś zwierzę czy nawet kilka zwierząt na nocnym polowaniu. Przypuszczenie, że w lesie jest mnóstwo dzikich stworzeń, wydawało się całkiem uzasadnione, a ponieważ żadne nie wydawało się mu zagrażać, nie czuł niepokoju.

W chwili jednak, gdy zatrzymał się nad małym, ale mocno rwącym strumieniem, by napełnić butelkę wodą, zauważył, że trzaśnięcia ucichły. Podjął marsz i odgłosy się powtórzyły. Po dziesięciu minutach znów się zatrzymał – dźwięk zamarł. Ruszył – i znów go słyszał. Polujące zwierzę tak by się nie zachowało. Nie były to jednak dźwięki, jakie wydawałaby podążająca za nim istota ludzka, bo stworzenie nie podejmowało też poważnych prób ukrywania się. Coś – coś dużego, jak zaczęło się Josephowi wydawać, i pewnie niezbyt rozgarniętego, beztrasko przedzierało się za nim przez poszycie, podążając za nim krok w krok, zatrzymując się, gdy on się zatrzymał i ruszając, gdy szedł.

Nie miał niczego, co mogłoby posłużyć za broń: tylko niezgrabną laskę i jakieś narzędzia tnące w podręcznym zestawie, których tylko głupiec próbowałby użyć w walce wręcz. Może jednak nie będzie mu potrzebna żadna broń. Miarowy rytm kroków za nim – trzask, trzask, trzask, trzask, trzask, trzask – sugerował raczej, że śledzi go coś dwunożnego, a nie jakaś bezlitosna leśna bestia. Jeśli w opowieściach Thustin o wiosce Tubylców było ziarno prawdy, mogło się zdarzyć, że oto wkroczył na ich terytorium i śledzi go strażnik z wioski,

przyglądający się i próbujący wydedukować, kim też może być ten ludzki intruz.

Joseph odwrócił się i spojrzął za siebie, w stronę ciemnego lasu, który właśnie przeszedł. Był prawie pewien, że w pobliżu usłyszał oddech: spokojne, ciężkie posapywanie.

– Kto tam? – spytał Joseph w języku Tubylców.

Cisza.

– Odpowiedz – rzucił ostro Joseph w języku Tubylców. Przemawiał niedającym się z niczym pomylić tonem Panów. Pomyślał, że to może błąd, ale nic już nie mógł na to poradzić. Tubylcom i tak było wszystko jedno, czy jest z Panów czy z Ludu.

Odpowiedź jednak nie nadeszła. Nadal słyszał jednak chrapliwy oddech. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

– Wiem, że tam jesteś – rzekł Joseph. – Wzywam cię, żebyś powiedział kim jesteś.

Tak mógł przemawiać tylko Pan, więc – nadal nie słysząc odpowiedzi – powtórzył swoją przemowę w mowie Panów, by podkreślić swoją pozycję. Potem, na znak dobrej woli, przemówił znów w języku Ludu. Cisza. Równie dobrze mógł przemówić do tego stworzenia w języku Starej Ziemi, pomyślał. Joseph uczył się tego języka u Balbusa i nawet potrafił się w nim jako tako wysłować.

Wtedy przypomniał sobie, że w sakwie ma małą latarkę. Poszperał, wyjął ją i zapalił, ustawiając promień na najszerszy.

Potężny, zwalisty noktambulo stał przed nim, jakieś dwadzieścia stóp od niego, mrugając i gapiąc się w światło latarki.

– A więc to ty mnie śledziłeś – stwierdził Joseph. Wiedział, że w jego ojczystym regionie do noktambulów należy zwracać się w tym języku. – Witaj.

Noktambulów nie należało się obawiać – przynajmniej nie tych z Helikis. Były wielkie i mogły narobić szkód, kiedy niezgrabnie się poruszały, ale poza tym były całkowicie nieszkodliwe.

– Czego ode mnie chcesz, powiesz mi?

Noktambulo po prostu gapił się na niego, powoli otwierając i zamykając ogromny, jakby pokryty gumą dziób, w tak głupi sposób, jak to zwykle robiły noktambula. Stworzenie było olbrzymie, miało jakieś osiem stóp wzrostu, a może dziewięć, wąską wrzecionowatą głowę, grube, spadziste ramiona, bardzo długie ramiona, które kończyły się potężnymi dłońmi o kształcie wiosel, skierowanymi na zewnątrz. Blisko osadzone oczy, błyszczące jak wypolerowane granaty w rozproszonym świetle latarki Josepha, miały rozmiar spodków. Całe ciało było pokryte szeroką, skórzastą, różowawo-żółtą łuską. Noktambula na Helikis były ciemniejsze, prawie błękitne. Jakaś różnica regionalna, pomyślał Joseph. Może to nawet jest inny gatunek – musiały jednak być blisko spokrewnione.

– No i jak? – pytał Joseph. – Przemówisz do mnie? Jestem Joseph Pan Keilloran – rzekł.

– Kim jesteś? – Stworzenie milczało, mówił więc dalej. – Wiem, że rozumiesz co mówię. Powiedz coś. Nie zrobię ci krzywdy. Widzisz? Nie mam broni.

– Światło – powiedział noktambulo. – Oczywiście...

Głos brzmiał chrapliwie, jak zgrzyt maszyny, której nie uruchamiano latami.

– Jeśli o to chodzi... – rzekł Joseph. – A teraz? – obniżył wiązkę światła, ustawiając ją tak, że nadał widział noktambulo nie oślepiając go. Wielkie, niezgrabne stworzenie zatrzepotało luźno osadzonymi nadgarstkami w geście, który mógł oznaczać wdzięczność.

Noktambulo z Helikis były głupimi stworami, które dopiero przekroczyły próg inteligencji i nie było powodów, by przypuszczać, że te z Manzy są mądrzejsze. Należało je wszak traktować jak coś lepszego od zwykłych zwierząt. Potrafiły mówić językiem tubylców, kiepsko i niewyraźnie, i niezależnie od tego miały coś w rodzaju własnego języka. Nie sposób było im odmówić jakiegś świadomości i poczucia odrębności. Były na swój sposób dwoiste – zgodnie z nazwą były istotami prowadzącymi nocny tryb życia, bywały jednak aktywne także podczas dziennych okresów snu, oraz – na tyle, na ile Joseph to pojmował – miały dwie tożsamości i osobowości, ta druga działała w dzień, gdy tożsamość główna mózgu spała. Nikomu dotąd nie udało się ustalić, w jakim stopniu obie tożsamości komunikowały się ze sobą.

Inteligentne życie na Ojczyźnie rozwinęło się inaczej niż na Ziemi: nie było jednego gatunku, który zdominowałby wszystkie pozostałe, było zaś kilka miejscowych ras, które można było uznać za inteligentne, każda z nich miała swój język, zdolność tworzenia pojęć abstrakcyjnych, a nawet coś w rodzaju sztuki, a członkowie każdej z ras charakteryzowali się indywidualną tożsamością. Rasa znana jako Tubylcy, choć z wyglądu bardziej humanoidalna niż pozostałe, była niewątpliwie najbardziej inteligentna, lecz nigdy nie wykazywała chęci dominacji, więc nie można jej uznać za gatunek rządzący planetą przed przybyciem ludzi. Tym światem nie rządził nikt, przez co pierwszej fali osadników, zwanych Ludem, łatwo było go opanować. Ponieważ czujność Ludu została uspijona po wielu latach bytowania bez najmniejszych zagrożeń ze strony rodzimych gatunków, również druga fala, zwana Panami, która opanowała planetę, także nie miała problemu z uczynieniem z nich rasy podwładnych.

Ponieważ noktambulo nie miał najwyraźniej ochoty wyjaśniać, dlaczego śledzi Josepha w lesie, może nawet sam tego nie wiedział, Joseph zrezygnował z wyjaśniania tej kwestii. Powiedział stworzeniu, mówiąc powoli i wyraźnie w języku tubylców, że jest samotnym podróżnikiem idącym do najbliższej wioski Tubylców i ma nadzieję znaleźć tam schronienie przed kłopotami ze strony własnej rasy.

Noktambulo odparł – niskim tonem, prawie niezrozumiale – że zrobi, co będzie mógł, by pomóc.

Prowadzenie rozmowy z noktambulem przypominało marzenie senne, ale Joseph cieszył się z tego towarzystwa, gdyż podczas podróży przez las odczuł, że nie jest przyzwyczajony do samotności. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był sam tak długo: zawsze byli koło niego służący, bracia albo siostry.

Szli dalej; prowadził noktambulo. Joseph nie miał pojęcia, dlaczego stworzenie śledziło

go w lesie. Pewnie nigdy się nie dowiem, pomyślał. Być może nie było żadnego konkretnego powodu, zaczął za nim iść w jakiś głupi, odruchowy sposób. Nie miało to znaczenia.

Joseph od dawna odczuwał głód. Zapasy od Thustin dawno znikły, miał tylko wodę w butelce. Ostatni kęs mięsa połknął kilka godzin temu i nie zastanowił się, co właściwie będzie jadł przez resztę drogi, bo nigdy dotąd nie musiał się nad tym zastanawiać. Teraz jednak zaczął o tym myśleć. W przeczytanych przez niego opowieściach o samotnie wędrujących rozbitkach, bohaterowie zawsze żywili się korzonkami i jagodami leśnymi, zabijali też małe zwierzęta celnym rzutem kamienia. Joseph nie wiedział, jak odróżnić jadalne korzonki i jagody od niejadalnych, ale i tak wyglądało na to, że o tej porze roku na drzewach i krzewach nie ma żadnych owoców. Co do zabijania zwierząt kamieniami – to było możliwe chyba tylko w książkach dla chłopców.

Coś jednak musiał jeść. Zastanawiał się, co zrobić. Burczenie w brzuchu stawało się coraz bardziej intensywne z każdą chwilą. Zawsze miał solidny apetyt. A ucieczka z Domu Getfen pochłoneła znaczne rezerwy jego sił.

Nie przyszło mu do głowy, żeby omawiać ten problem z noktambulem. Dopiero po kilku godzinach, kiedy natknęli się na kolejny mały strumyk, a że strumyki te pojawiały się coraz rzadziej na ich trasie na południe, Joseph pomyślał, że należałoby znów napełnić butelkę, choć była jeszcze w połowie pełna. Zrobił to, po czym napił się wody z potoku, i pozostał w pozycji kucznej, napawając się krótkim odpoczynkiem. Marzył o czystym, ciepłym łóżku w kwaterach gościnnych Domu Getfen, gdzie leżał, na wpół uspiiony, gdy usłyszał pierwsze odgłosy walki, albo o własnym wygodnym apartamencie w domu, z łóżkiem nakrytym czerwono-złotą kapą, koślawym starym krzesłem, dobrze zaopatrzoną biblioteczką i solidnym śniadaniem, które co rano służba stawiała pod drzwiami. Wszystko to wydawało się teraz snem. Żeby to nie był sen, pomyślał Joseph, a rzeczywistość, w której się zaraz obudzę.

Rozejrzał się i dostrzegł, że noktambulo oddalił się nieco w górę strumyka i zawzięcie grzebie wielkimi, przypominającymi łopaty rękami, w przybrzeżnym mulu, zagłębiając je i szukając czegoś, wyciągając na brzeg całe garście błota, rozgarniając je i uważnie badając, z prawie komiczną starannością. Joseph zauważył, że noktambulo wyciąga jakieś małe, wielonożne skorupiaki z gniazd znajdujących się jakieś osiem czy dziewięć cali pod powierzchnią błota. Znalazł ich jakiś tuzin, a gdy Joseph go obserwował, jeszcze kilka, zręcznie ukrecając im głowy i kładąc starannie jedno przy drugim.

Skończył, gdy miał ich koło dwudziestu. Podzielił je na dwie w przybliżeniu równe kupki i przesunął jedną w stronę Josepha, wymawiając kilka słów swoim grubym językiem, na granicy niezrozumiałości; Joseph domyślił się, że słowa te brzmiały „Teraz jemy”.

Wzruszył się dobrocią stworzenia, które nieproszone podzieliło się z nim posiłkiem. Zastanawiał się jednak, jak ma to zjeść. Ukradkiem spojrzął na noktambula, który przysiadł na brzegu strumienia i brał te małe pelzające stworzonka, jedno po drugim, ostrożnie obejmując je krawędzią wielkiej dłoni i ściskając tak, że twarda muszla rozchyłała się i



pojawiało się jasnoczerwone mięso. Wysysał każdą sztukę do czysta, wyrzucał pustą skorupę przez ramię i przechodził do następnej.

Joseph zadrżał i poczuł falę mdłości. Myśl, żeby zjeść coś takiego, na surowo, wzbudzała w nim obrzydzenie. To było jak jedzenie owadów.

Rozumiał jednak, że ma wybór między jedzeniem a głodowaniem. Wiedział, co by powiedział i zrobił, gdyby kamerdyner przyniósł mu tacę tych skorupiaków rankiem w Domu Keilloran. Tu jednak nie był Dom Keilloran. Ostrożnie wziął jedno z pełzających w błocie stworzeń i spróbował otworzyć skorupę ręką, jak to podpatrzył u noktambula. Chitynowa skorupka była twardsza niż przypuszczał. Nie powiodła się nawet próba rozwarcia jej obydwoma rękami.

Noktambulo obserwował go spokojnie, może nawet z politowaniem. Nie zaproponował jednak pomocy i zajął się własnym posiłkiem.

Joseph wyjął nóż ze swojego podręcznego zestawu i zaczął energicznie walić w skorupę. W końcu udało mu się zrobić szczelinę na cal. To wystarczyło na początek, by złapać dłońmi i rozszerzyć skorupę z całej siły, aż pokazało się czerwone mięso.

Spojrzał na skorupiaka i aż go skręciło na myśl o włożeniu sobie tego czegoś do ust. Głód uderzył jednak z całą siłą i zahamowanie gdzieś znikło. Szybko ujął stworzenie, przyłożył skorupę do ust i wysysał mięso, łykając pośpiesznie, by nie poczuć smaku.

Nie dało się jednak tego uniknąć. Miało piżmowy i ostry smak, tak ostry, że nigdy nie jadł nic podobnie ostrego; niemiły, kłujący aromat spalił mu podniebienie. Wydało mu się też, że pełzacz smakował błotem albo gliną zalegającą w korycie potoku. O mało się nie udławił. Poczul potężny dreszcz, a jego żołądek uniósł się i podskoczył. Po kilku łykach wody sensacje ustały i został tylko nie tak już straszny posmak, i Joseph uświadomił sobie, że pierwszy kęs dziwnego mięsa ukoił najgorszy głód. Joseph otworzył drugiego pełzacza i zjadł go nieco odważniej, potem trzeciego i czwartego, aż jedzenie podobnych rzeczy przestało mu się wydawać dziwne. Nie znosił pierwszego błotnistego smaku, posmak też nie był specjalnie przyjemny, ale zawsze był to jakiś sposób na złagodzenie głodu. Zjadł sześć sztuk i uznał, że wystarczy; przesunął resztę w stronę noktambula, który nie odezwał się ani słowem i zaczął je pożerać.

Kilkanaście pełzaczy nie stanowiło zbyt obfitego posiłku dla stworzenia rozmiarów noktambula. Gdy wyruszyli w dalszą drogę, wielkie stworzenie nadal szukało pożywienia. Robiło to bardzo sprawnie. Joseph obserwował ze szczerym podziwem, jak noktambulo potrafi bezbłędnie wywęszyć podziemną jamę, rozgrzebać ją kilkoma machnięciami wielkich, wiosłowatych łap i z fenomenalną szybkością wyłapać jej nerwowych mieszkańców, kolonię małych, długonosych ssaków o jasnożółtych oczach, może z tego samego gatunku, jaki przyglądał mu się tamtej nocy. Złapał cztery takie stworzenia, zabił je błyskawicznie, znów podzielił je na dwie porcje i podsunął dwa Josephowi.

Joseph patrzył, zakłopotany. Noktambulo zatopił pysk w brzuchu jednej bestyjki i wgrzył

się z apetytem.

Tego Joseph nie mógł i nie miał ochoty robić. Mógł je obedrzeć ze skóry i wypatroszyć, ale uznał, że powinien już na początku tej podróży podjąć postanowienie, że nie będzie jadł surowego, ociekającego krwią mięsa ssaków. Z ponurą miną zdarł skórę z kończyny jednego z długonosych zwierzątek, a potem z drugiej, oddzielał chude różowe mięso od delikatnych kości, aż uzyskał spory stosik mięsa. Po raz pierwszy wyjął z podręcznego zestawu krzesiwo i rozpałił małe ognisko z gałązek i suchych liści, ponadziewał drobne kawałki mięsa na patyk i piekł je nad ogniem, aż przestały być surowe, a przynajmniej trochę zwęglone z jednej strony, choć niewątpliwie jeszcze wilgotne od zewnątrz. Joseph zjadł je, bez jakiegóż szczególnej przyjemności, ale też bez obrzydzenia. Mięso miało niewyraźny smak, czuł, że je mięso, żyłaste i o nieokreślonym posmaku, ale bez większych wrażeń. Miał nadzieję, że trochę się posili.

Noktambulo skończył jeść i wykopał jakieś grube, zakrzywione bulwy na drugie danie. Także i tym razem podsunął Josephowi porcję, a ten zaczął nadziewać je na patyczek, by upiec je nad ogniem.

– Nie – odezwał się noktambulo. – Ogień nie. Tak zrób.

Oderwał kawałek swoim potężnym dziobem, nie zadając sobie nawet trudu, żeby oczyścić je z grud ziemi.

– Dobrze. Jeść.

Joseph ostrożnie oczyścił z brudu bulwę i odgryzł kawałek. Ku jego zdumieniu, bulwa była pyszna. Miękki miąższ miał owocowy aromat i pachniał, eksplodując w ustach feerią smaków, a każdy z nich był wspaniały – od istic cukrowej słodyczy, przez winną cierpkość, aż do ciepłego, mącznego posmaku. Wydało mu się, że to doskonale antidotum na paskudny smak błotnych pełzaczy i nijakość mieszkańców nor. Joseph z wielkim ukontentowaniem pożarł jedną bulwę i następną, i już sięgał po trzecią, gdy noktambulo interweniował.

– Za dużo. Weź. Potem jeść.

Wielkie jak spodki oczy obdarzyły go ostrzegawczym spojrzeniem. Joseph miał wrażenie, że ma przy sobie Balbusa w nieco zmienionej, dziwacznej postaci.

Niedługo będzie świtać. Joseph zaczął odczuwać senność. Łatwo się dostosował do zmiany rozkładu dnia, nocnego marszu i dziennego snu, ale jedzenie, w szczególności bulwy, dało mu zastrzyk nowych sił. Maszerował za noktambulem przez okolicę, która wydawała się bardziej górzysta i skalista niż tereny, które zostawili za sobą, roślinność też była mniej obfita. Kiedy w lesie zrobiło się całkiem jasno, noktambulo zatrzymał się nagle, spojrzał z góry na Josepha i rzekł:

– Teraz spać.

Było oczywiste, że mówi do siebie, nie do Josepha. Chłopiec obserwował, jak noktambulo zasypia. Cały czas stał, ale między jedną sekundą a drugą coś się zmieniło. O ile Joseph wiedział, noktambulo nie miał dużych możliwości, jeżeli chodzi o zmianę wyrazu

twarży, a jednak teraz w jego oczach czaiło się coś twardego, dziób był mocno zaciśnięty i nie otwierał się co chwilę, a przewężona głowa była przekrzywiona pod jakimś dziwnym kątem.

Po chwili Joseph przypomniał sobie: nastanie dnia powodowało u noktambulów przełączenie się na inną świadomość. Osobowość nocna teraz spała, a potężnym ciałem rządziła osobowość dzienna. Joseph uświadomił sobie, że przez najbliższe kilkanaście godzin będzie miał do czynienia z zupełnie inną istotą.

– Nazywam się Joseph Pan Keilloran – czuł, że powinien się przedstawić. – Jestem podróżnikiem, który przybył z daleka. Twoja nocna osobowość prowadzi mnie przez las do najbliższej wioski Tubylców.

Noktambulo milczał. Wydawało się, że w ogóle nie rozumie tego, co Joseph do niego mówi, gdyż nie zareagował. Prawdopodobnie nie pamiętał nic z tego, co stało się w nocy. Być może nawet w ogóle nie rozumiał języka Tubylców. Albo szukał w pamięci wspomnień z ostatniej nocy, by odkryć, czemu towarzyszy mu jakaś nieznana istota.

– Muszę teraz spać – mówił dalej Joseph. – Muszę zatrzymać się i odpocząć. Rozumiesz, co mówię?

Noktambulo nie odpowiedział. Stał i patrzył.

Potem odezwał się, szorstko i obojętnie:

– Chodź.

Joseph nie miał ochoty stracić przewodnika, choć wolałby raczej poszukać jakiegoś schronienia, w którym mógłby przespać dzień. Noktambulo nie oglądał się, nie dostosował też tempa do możliwości Josepha. Joseph zrozumiał też, że pewnie porzucił już rolę przewodnika. Przez jakąś godzinę wyteżał wszystkie siły, by podążać za stworzeniem i z trudem utrzymywał tempo, ale w końcu pojął, że musi się zatrzymać i odpocząć, nawet gdyby to miało oznaczać, że dzienna wersja noktambula zostawi go i zniknie, gdy on będzie spał. Gdy pojawił się strumień, pierwszy, jaki zobaczył od dawna, Joseph zatrzymał się i rozłożył obozowisko pod niskimi gałęziami smukłych drzew, które łączyły się w górze tworząc gęstwinę wiszących pnączy. Noktambulo nie zatrzymał się. Joseph patrzył, jak znika po drugiej stronie strumyka.

Nie mógł nic na to poradzić. Zjadł jedną z pozostałych bulw, podjął kolejną bezowocną próbę skorzystania z komunikatora, wyszeptał wieczorne modlitwy i ułożył się do snu. Grunt był twardszy i bardziej kamienisty niż na to wyglądał i trudno było znaleźć wygodną pozycję, a noga, która czasem dawała o sobie znać podczas marszu, rozboleła na dobre od kostki po kolano. Wydawało mu się, że całymi godzinami nie może zasnąć, mimo wyczerpania. W którymś momencie musiał się jednak zdrzemnąć, bo śnił, że kąpie się z siostrą, Cailin, w górskim jeziorze, wychodzi pierwszy na brzeg i złośliwie zabiera jej ubranie. Otworzył oczy i zobaczył, że zrobiło się już ciemno, a koło niego stoi noktambulo, czekając cierpliwie.

Czy był to jego noktambulo, czy nieprzyjazna wersja dzienna? A może w ogóle inny stwór? Nie był w stanie określić.

Chyba jednak był to ten właściwy, gdyż nieporadne stworzenie nie tylko wróciło, ale też troskliwie zgromadziło przy brzegu strumienia zapas żywności: mały stosik błotnych pełzaczy, dwa martwe zwierzęta rozmiaru małych Psów, o czerwonym futrze oznaczonym srebrzystymi pasami oraz, co bardzo ucieszyło Josepha, solidną stertę pysznych białych bulw. Joseph wygłosił poranne modlitwy, umył się w strumieniu i zaczął rozpalać ognisko. Zauważył, że powoli przyzwyczajają się do leśnego życia.

– Czy jesteśmy daleko od wioski Tublców? – zwrócił się do noktambula, gdy ruszyli w drogę.

Noktambulo nie odpowiedział. Może nie rozumiał? Joseph ponowił pytanie, z tym samym skutkiem. Uświadomił sobie, że noktambulo nigdy tak naprawdę nie powiedział, że zna położenie wioski Tubylców, ani że taka wioska w ogóle istnieje w okolicy, ale że postara się pomóc Josephowi. W jakim stopniu należy wierzyć twierdzeniu Thustin, że wioska Tubylców leży za lasem? Thustin przyznała wszak, że nigdy nie była poza granicami posiadłości Domu Getfen. Poza tym wioska, jeśli rzeczywiście istniała, mogła znajdować się w zupełnie innym kierunku niż obrany przez noktambula.

Wiedział jednak, że nie ma wyboru i należy kontynuować podróż i mieć nadzieję na lepsze. Tak minęły trzy dni. Przez cały czas miał wrażenie, że jest coraz silniejszy, bardziej wytrzymały, szczuplejszy. Noktambulo zaopatrywał ich w żywność, płody leśne, małe szare, szybkie zwierzątka, które łapał ze zdumiewającą sprawnością, jasno upierzone ptaki, które chwycił w locie, dziwne sękaty korzenie i bulwy, czasem partię błotnych pełzaczy. Joseph zaczął już wykazywać obojętność na dziwne i nieprzyjemne smaki i jadł wszystko, co mu zaoferowano. Uznał, że o ile tylko coś nie jest trujące, zawsze ma jakąś wartość odżywczą. Wiedział, że musi podtrzymywać siły codziennie i na wszelkie możliwe sposoby, w przeciwnym razie nigdy nie przetrwa trudów marszu.

Wyrosła mu broda. Joseph golił się dopiero od roku i nigdy nie polubił tej czynności. Od czasów jego dziadka Panowie nie nosili bród, ale w tych okolicznościach nie miało to dla niego większego znaczenia. Broda była początkowo miękka, rzadka i przypominała futro, szybko jednak stwardniała i zaczęła przypominać brodę dorosłego mężczyzny. Joseph jednak nie myślał jeszcze o sobie jako o mężczyźnie. Gdzieś w mrocznych zakamarkach umysłu czaiła się jednak myśl, że stanie się nim przed zakończeniem podróży.

Typ lasu znów się zmienił. Teren nie był już płaski: był poprzecinany wąwozami i żlebami oraz rozproszonymi skalistymi pagórkami, więc Joseph i noktambulo co chwila musieli wspinać się na jakieś małe zbocze lub schodzić z niego. Joseph czasem dyszał z wysiłku. Drzewa też były inne, o wiele większe niż przedtem, i rzadziej rozmieszczone. Na licznych gałęziach rosły niezliczone, malutkie, błyszczące szpilki, o metalicznej, błękitnozielonej barwie, które przy najłżejszym powiewie wiatru osypywały się obficie z gałęzi. Deszcz szpilek nieustannie wirował w powietrzu, a opadłe tworzyły miękką grubą warstwę, która była śliska i zdradliwa.

Wczesnym rankiem, gdy noktambulo przełączył się z fazy nocnej na dzienną, Joseph potknął się o niewidoczny pod warstwą szpilek kamień i stracił równowagę. Próbując ją odzyskać, uczynił trzy niepewne kroki w tył, i przy trzecim postawił nieostrożnie stopę na gładkiej, płaskiej powierzchni kolejnego ukrytego kamienia, pośliznął się i poczuł, jak osłabiona kostka poddaje się. Zamachał rękami, próbując jeszcze walczyć o odzyskanie równowagi, ale bezskutecznie: wpadł w poślizg, przechylił się, obrócił w powietrzu i wyładował na prawym łokciu z lewą nogą ostro wygiętą do tyłu i podwiniętą pod resztę ciała.

Ból był niewyobrażalny. Nigdy w życiu czegoś takiego nie doświadczył.

Pierwsza fala bólu popłynęła od łokcia, ale sekundę później została stłumiona przez eksplozję bólu z nogi. Przez długą chwilę był w stanie tylko leżeć, oszołomiony, czując, jak ból przepływa przez całą lewą połowę ciała. Miał wrażenie, że lewą nogę oblano mu strumieniem roztopionego metalu, złościącego ślady w jego ciele. Ból promieniował na całe ciało. W piersi go kłuło; serce waliło jak młotem; widział jak przez mgłę, czuł dziwne ciarki przechodzące mu przez palce rąk i nóg. Nawet szczęka zaczęła go boleć. Nabranie oddechu wymagało olbrzymiego wysiłku. Nie mógł opanować drżenia całej górnej połowy ciała.

Wreszcie zaczął wychodzić z wstrząsu. Złapał oddech i opanował drzenie. Z najwyższą ostrożnością Joseph uniósł się, odpychając się ręką od ziemi, delikatnie podnosząc lewe biodro, by móc wyprostować zgiętą nogę, uwięzioną pod prawym biodrem.

Poczuł ulgę, gdy udało mu się wyprostować ją bez większych komplikacji, choć była to czynność długotrwała i bolesna. Ostrożnie dotknął nogi końcami palców. Chyba nie złamał żadnej kości, o ile mógł to stwierdzić. Sądził jednak, że upadając paskudnie skręcił nogę w kolanie i pewnie ją uszkodził – zrywając ścięgno, nadwerekając chrząstkę albo doznając jakiegoś przemieszczenia w stawie kolanowym. Czy takie uszkodzenie kolana było możliwe? Kiedyś obserwował, jak ojciec nastawia nadwerekowane ramię robotnikowi, który spadł z wozu z sianem. Joseph pomyślał, że wie, na czym ten proces polega, ale czy będzie w stanie nastawić sobie sam kolano, jeśli rzeczywiście je zwichnął? Noktambulo mu w tym na pewno nie pomoże.

Zauważył, że noktambula i tak nie ma w pobliżu. Zawołał go, ale odpowiedziało mu tylko echo własnego głosu. Nic dziwnego; w chwili, gdy nastąpił upadek, był już dzień i noktambulo znajdował się w fazie dziennej, z którą stosunki były o wiele bardziej powierzchowne i nie wykraczały poza towarzyszenie Josephowi. Po upadku Josepha nieświadome lub obojętne stworzenie po prostu poszło dalej przez las.

Joseph poleżał w bezruchu przez dłuższą chwilę, oceniając szanse na to, by stanąć na nogach bez czyjejś pomocy. Przyzwyczaiał się do bólu, tak jak przyzwyczał się do smaku pełzaczy. Pierwsze straszne wrażenie minęło i pozostało jedynie gorące pulsowanie. Gdy jednak próbował wstać, nawet najmniejszy ruch sprawiał mu ból.

Cóż, i tak zbliżała się pora snu. Może wieczorem ból trochę zelżeje albo noktambulo wróci, albo jedno i drugie.

Zamknął oczy i próbował nie myśleć o bólu przeszywającym zranioną nogę. W końcu zapadł w niespokojny, przerywany sen.

Obudził się o zmierzchu. Noktambulo wrócił i jak zwykle przyniósł jedzenie. Joseph skinął na niego.

– Zraniłem się – powiedział. – Daj rękę.

Powtórzył to ze dwa albo trzy razy, aż wreszcie noktambulo zrozumiał, podszedł i wyciągnął długie, dyndające ramię. Joseph złapał stworzenie za nadgarstek i podciągnął się. Udało mu się stanąć do pionu, gdy noktambulo, widząc uznając, że jego pomoc nie jest już potrzebna, zaczął się oddalać. Joseph zachwiał się, ale utrzymał się na nogach, choć nie ośmielił się nawet lekko obciążać lewej nogi. Jego laska leżała tuż obok; dokuśtykał do niej i z wdzięcznością w duchu ją podniósł.

Zjedli i ruszyli. Joseph odkrył, że może iść, choć kolano zaczęło puchnąć, a ból, choć zelżał, nadal był znaczny. Czuł też, że ma gorączkę. Kuśtykał za noktambulem, żałując, że wielki stwór po prostu go nie podniesie i nie posadzi sobie na ramieniu. Stworzeniu najwyraźniej coś takiego nie przychodziło do głowy – nie zdawało sobie sprawy z tego, że Joseph ma problemy z poruszaniem się, a Joseph wolał nie prosić. Szedł więc, utykając, czasem pozostając daleko w tyle za swoim olbrzymim towarzyszem i walcząc, by nie stracić go z oczu. Czasem stworzenie zniknęło i Joseph zdołał iść za nim tylko dzięki temu, że noktambulo zostawiał za sobą ślady w zaścielających ziemię szpilkach. Warstwa szpilek jednak skończyła się w pewnym momencie i Joseph został sam, nie mając pojęcia, dokąd dalej iść.

Zatrzymał się i czekał. I tak siły go już opuszczały. Noktambulo wróci albo nie, ale Joseph tak czy inaczej musi się zatrzymać, zanim będzie w stanie iść dalej.

Po jakimś czasie zobaczył noktambula w oddali, rzucającego podwójny cień w świetle dwóch księżyców, które tej nocy świeciły na niebie: wielkiego, jasnego, czerwonego Sanivarka wysoko w górze i mniejszego Mebriel o bladym obliczu, podążającego jego śladem. Świeciły też fosforyzujące pomarańczowe porosty, długie, płaskie girlandy zwisające z konarów pobliskich drzew jak całuny, rzucające widmowy purpurowy cień.

– Nie stajemy – rzekło stworzenie gestykulując ramionami. – Tam wioska.

Wioska? Do tej chwili Joseph stracił już nadzieję na istnienie wioski.

Noktambulo odwrócił się ponownie i szedł dalej w kierunku, z którego nadszedł. Po kilkunastu krokach zatrzymał się i pomachał Josephowi, by szedł za nim. Choć był już na skraju wyczerpania, Joseph zmusił się, by iść. Zeszli pochyłym płaskowyżem, gdzie jedyne rośliny były płożące się krzewy, jakby wreszcie doszli do skraju lasu, i w jasnym świetle księżyców Joseph dostrzegł rzędy stożkowatych chat o dobrze mu znanym kształcie, stojące ciasno jedna przy drugiej, tuż przed nim, i wiedział z całą pewnością, że oto dotarł do wioski Tubylców, której od tak dawna szukał.

## 2

W tej samej chwili opanowała go fala zawrotów głowy. Joseph nie wiedział, czy przyczyną była ulga czy wyczerpanie, a może jedno i drugie. Wiedział, że właśnie osiągnął kres wytrzymałości. Ból w nodze stał się przeszywający. Złapał swoją łaskę obiema rękami, pochylił się do przodu i za wszelką cenę starał nie upaść. Potem wszystko zasłoniła czerwona mgła i przez moment nie był pewien, czy to się dzieje naprawdę. W powietrzu przed nim zaroilo się od zamglonych postaci, parę razy wydawało mu się, że słyszy głos ojca albo siostry. Kiedy trochę rozjaśniło mu się w głowie, zobaczył, że leży na stosie futer w jednej z chat Tubyłców, a dookoła niego siedzi mały ich krąg, patrząc na niego z powagą, jakby był czymś szalenie interesującym.

– To ci pomoże – odezwał się jakiś głos, a jeden z Tubyłców podał mu wiązkę zielonych, grubych łodyg. To jakieś lecznicze ziele, pomyślał Joseph. Jego ojciec twierdził, że Tubyłcy używają licznych ziół leczniczych, z których wiele wykazywało znaczną skuteczność. Joseph przyjął łodygi bez wahania. Były pełne soku, który piekł w wargi i język, ale nie było to niemiłe uczucie. Prawie od razu poczuł, jak gorączka spada, a ból w poturbowanej nodze cichnie.

Był już raz w osadzie Tubyłców. Zaraz przy granicy włości Keilloranów była tubyłcza wioska i ojciec zabrał go tam, gdy Joseph skończył dziesięć lat. Dziwna klaustrofobiczna architektura, grube, chropowate ściany z błota i plecionki, zwężające się gdzieś w górze, ułożone w skomplikowany wzór klepki na podłodze, wąskie, szczelinowate okna, przepuszczające tylko tyle światła, że w środku panował półmrok – wszystko to zrobiło na nim duże wrażenie. Podobnie wyglądało to tutaj, w zastałym powietrzu dało się także wyczuć dziwny słodki zapach, jakby gotowanego mleka.

Tubyłcy występowali na całej Ojczyźnie, choć ich populacja była niewielka, nawet przed przybyciem pierwszych ludzkich osadników. Żyli w małych rozproszonych wioskach w zalesionych rejonach i nie zdarzały się tarcia między nimi a ludźmi, którzy przybyli zająć ich planetę. Interakcje między ludźmi a Tubyłcami praktycznie nie istniały. Były to łagodne istoty, które w miarę możliwości trzymały się z dala od ludzi, przybywały i odchodziły zgodnie ze swoją wolą, ale raczej trzymały się okolic uznanych za należące do nich. Zajmowały się dyskretnie własnymi sprawami i nie zdradzały najmniejszym gestem

niezadowolenia z faktu, że ich świat został aż dwukrotnie najechany przez obcych z gwiazd – najpierw przez spokojnych wieśniaków znanych jako Lud, a wiele lat później przez hałaśliwych, bardziej energicznych ludzi, których Lud zaakceptował pod nazwą Panów. Joseph nie miał pojęcia, czy Tubyłcy także postrzegali Panów jako panów. Pewnie nikt tego nie wiedział. Balbus sugerował, że mają filozofię zakładającą całkowitą obojętność wobec wszelkiej zewnętrznej władzy. Nigdy jednak specjalnie się nad tym nie rozwodził, a teraz już nie żył.

Joseph wiedział, że niektórzy z Panów parających się nauką szczególnie interesowali się tym gatunkiem. W tej grupie był jego ojciec. Zbierał ich artefakty, tajemnicze małe rzeźby i proste ceramiczne naczynia; prawdopodobnie, jak powiedział Balbus, kiedyś studiował dogłębnie ich poglądy filozoficzne. Joseph nic o nich nie wiedział. Ojciec nie rozmawiał z nim na ten temat, w każdym razie nie częściej niż Balbus. Miał wrażenie, że Tubyłcy nie odwzajemniają w żaden sposób zainteresowania ojca: podczas ich wizyty w wiosce odnosili się do nich całkowicie obojętnie, jak noktambulo w daytimej wersji podczas podróży przez las. Gdy ojciec Josepha dopytywał się o niektóre artefakty, które miał nadzieję nabyć, odpowiadali monosylabami, mówili tylko niezbędne rzeczy i nigdy nie odzywali się z własnej woli – udzielali tylko odpowiedzi na pytania ojca.

Może czuli się zakłopotani obecnością potężnego Martina Pana Keillorana z Rodu Keilloran, albo Tubyłcy północy przejawiali inny temperament niż ci z Helikis. Joseph nie wyczuwał teraz obojętności. Te istoty nieproszone podsunęły mu lekarstwo na chorą nogę. Ich uważne spojrzenia wyrażały prawdziwe zainteresowanie. Choć nie potrafił określić dlaczego, Joseph nie czuł się ani trochę intruzem. Raczej gościem.

Sam również przyglądał się im z ciekawością. Byli ładni na jakiś swój dziwny sposób, choć rzucała się w oczy ich obcość; mieli długie, rurowate głowy, spłaszczone z tyłu i z przodu, mięsiste podgardla, które nadymały się w formie ekspresyjnych wypustek w chwilach podniecenia. Oczy były małymi szczelinami, chronionymi kościstymi łukami, które wyglądały prawie jak gogle, z których wyzierały plamki szkarłatu, takiego samego jaskrawego koloru, jak oczy noktambulów. Te oczy stanowiły pewną wskazówkę: być może obie rasy były ze sobą spokrewnione, gdzieś w zamierzchłej ewolucyjnej przeszłości. Tubyłcy chodzili wyprostowani, byli jednak o wiele mniejsi i lżej zbudowani niż noktambule, bardziej przypominali ludzi pod względem wymiarów. Mieli cienkie, żylaste kończyny, które wyglądały na całkowicie pozbawione siły, ale Joseph wiedział, że potrafią być bardzo silne – Joseph widywał Tubyłców podnoszących wiązki chrustu, pod którymi muskularny parobek chybaby się załamał. Mieli matową, brązową skórę o woskowej powierzchni, spod której przebijały pomarańczowe refleksy. Ich stopy były szeroko rozstawione, o długich palcach. Dłonie o siedmiu palcach z dwoma stawami były smukłe i giętkie. Ludziom wydawało się, że osobniki męskie i żeńskie są identyczne, ale Joseph przypuszczał, że oni sami muszą się jakoś rozróżniać.



Tubylcy siedzieli przy jego łożu; było ich ośmioro albo dziewięcioro. Zadawali mu pytania: chcieli dowiedzieć się, kim jest i dokąd zmierza. Żaden z nich nie wyglądał na przywódcę. Zadawane pytania też nie pojawiały się w jakiejś uporządkowanej kolejności. Ktoś zadawał pytanie, słuchali odpowiedzi, po czym ktoś inny pytał o co innego.

Mówili dialektem, który nieco różnił się od tej wersji tubylczego języka, którą znał, ale nie miał większych trudności ze zrozumieniem czy udzielaniem własnych odpowiedzi, więc wymowa wydawała się bliższa temu, co było tu normą. Uczył się języka Tubylców od wczesnego dzieciństwa. Była to umiejętność, której oczekiwano od wszystkich Panów, coś w rodzaju gestu uprzejmości wobec pierwotnych mieszkańców planety. W dzieciństwie uczono ich także języka Ludu, co było wyrazem zdrowego rozsądku, jako że tym językiem mówiło dziewięciu ludzi na dziesięciu. Oczywiście Panowie mieli własny język, język Wielkich Rodów, więc każdy z Panów był trójjęzyczny. Balbus podsunął myśl, by Joseph uczył się także języka Starej Ziemi; dla ćwiczenia umysłu. Był to język przodków Panów i, jak mówił Balbus, jego dogłębne zrozumienie pozwalało uzyskać lepszą kontrolę nad językiem współczesnym. Joseph nie miał dotąd okazji przekonać się, czy tak jest w istocie.

Pomyślał, że dla Tubylców jego pochodzenie z rasy Panów jest oczywiste, ale zdecydował, że i tak im o tym powie. Nie wywołało to u nich żadnej widocznej reakcji. Wyjaśnił, że jest najstarszym synem Martina Pana Keillorana z Rodu Keilloran, ważnej osobistości na kontynencie południowym. To także nie zrobiło na nich wrażenia.

– Posłano mnie na północ, żebym spędził lato z moimi krewnymi z Rodu Getfen – rzekł.  
– Istnieje taki zwyczaj, że najstarszy syn każdego Wielkiego Rodu odwiedza któryś z odległych Domów przed osiągnięciem pełnoletności.

– W Domu Getfen coś się stało – rzekł ponuro jeden z Tubylców.

– Tak, coś bardzo złego. Miałem mnóstwo szczęścia, że uszedłem z życiem. – Joseph nie mógł się zmusić, by opowiedzieć ze szczegółami o wydarzeniach w Domu Getfen. – Muszę wrócić do domu. Potrzebna mi wasza pomoc, żeby dotrzeć do najbliższego Wielkiego Domu. Tam ludzie pomogą mi dotrzeć do Domu.

Ostrożnie dobierał słowa, używając trybu proszącego; była to nie tyle prośba, co sugestia. Tubylcy nie wygłaszali próśb z wyjątkiem bardzo szczególnych okoliczności, a o wydawaniu rozkazów w ogóle nie było mowy: po prostu wspominali o istnieniu jakiejś potrzeby i czekali na potwierdzenie, że ktoś ją zaspokoi. Kiedy jakiś człowiek, także któryś z Panów, chciał o coś poprosić Tubylca, używał tej samej konstrukcji gramatycznej, nie tylko dlatego, że wymagało tego dobre wychowanie, ale ponieważ Tubylec nie zareagowałby na wyrażoną wprost prośbę, pewnie nawet by nie zrozumiał niczego wyrażonego w trybie zastrzeżonym dla bezpośrednich rozkazów.

– Pomożecie mi? O ile wiem, najbliższy Wielki Dom to Ludbrek.

– To prawda, Panie Joseph.

– Muszę się tam dostać.

– Zabierzemy cię tam – powiedział inny z Tubylców. – Ale najpierw musisz odpocząć i wyzdrowieć.

– Tak. Tak. Rozumiem.

Przynieśli mu jedzenie, gęstą, ciemną owsiankę, jakieś duszone mięso, które smakowało jak illimani i grono małych, soczystych czerwonych jagód: proste wiejskie jedzenie, które jednak stanowiło olbrzymi postęp po surowych pełzaczach błotnych i niedogotowanych korzonkach. Ojciec Josepha był znawcą doskonałego jedzenia i wina, ale sam Joseph, który rósł szybko przez ostatnie półtora roku, zwracał większą uwagę na ilość jedzenia niż na jego jakość.

Rzucił się więc z apetytem na tacę z tubylczym jedzeniem, ale ze zdziwieniem odkrył, że nie jest w stanie dużo zjeść, mimo apetytu. Poczł, że znów ma gorączkę. Głowa zaczęła go boleć, skórę miał suchą i gorącą w dotyku, gardło ściśnięte. Poprosił i otrzymał jeszcze kilka łądyg, które przynosiły ulgę na jakiś czas, a potem Tubylcy odeszli, a on opadł na posłanie ze skór, by spać. Futra miały kwaśny, cierpki, natrętny zapach, za którym nie przepadał, nie lubił też nieprzyjemnego słodkiego zapachu mleka, który unosił się tu w powietrzu, ale mimo tych niedogodności szybko zapadł w głąboki, oczekiwany sen.

Kiedy znów otworzył oczy, przez szczeliny w ścianach sączyło się światło. Przybył tu późno w nocy, prawie o świcie; zastanawiał się, czy przespał cały dzień i noc, a to był kolejny ranek. Pewnie tak. I bardzo dobrze, pomyślał, mając na uwadze to, jak ostatnio sypiał.

Po raz pierwszy od chwili przybycia przypomniał sobie o noktambulu, który przeprowadził go przez puszcę. Zapytał Tubylców, ale jedyną odpowiedzią był gest skrzyżowanych rąk, który dla Tubylców był odpowiednikiem wzruszenia ramionami. Tubylcy nie wiedzieli nic o noktambulu. Może nawet nie zauważyli jego obecności, może stwór po prostu zostawił go i odszedł. Joseph uświadomił sobie, że nie wie nic o motywach, jakie kierowały noktambulem, jeśli w ogóle jakieś istniały. Prowadził go, karmił, przyprowadził go tu, a teraz odszedł i Joseph pewnie już niczego się o nim nie dowie.

Rankiem Joseph nie czuł już gorączki. Jedzenie przychodziło mu łatwiej. Potem poprosił jednego z Tubylców, by pomógł mu się podnieść. Tubylec wyciągnął żylaste ramię o luźnych stawach i postawił go na równe nogi jednym płynnym ruchem, jakby Joseph nic nie ważył.

Oparł się na lasce i przyjrzał swojej nodze. Była czarna i fioletowa od siniaków i strasznie opuchnięta od połowy uda do kostki. Nawet palce były spuchnięte. Noga miała groteskowy i upiorny wygląd, jakby należała do stworzenia z jakiegoś innego gatunku. Ukłucia bólu przeszywały ją na całej długości. Już samo patrzenie na nią bolało.

Joseph ostrożnie spróbował obciążyć nogę, najmniejszym, eksperymentalnym ciężarem. Był to błąd. Dotknął podłogi końcami palców i natychmiast ją cofnął, gdy silny ostrzegawczy impuls dotarł do jego mózgu: Stop! Nie rób tego! Dobrze, rzekł w duchu. To był zły pomysł. Trzeba jeszcze poczekać. Jak długo potrwa doprowadzenie nogi do jakiegoś przyzwoitego stanu? Trzy dni? Tydzień? Miesiąc? Musiał podążać swoją drogą. W domu na pewno się o

niego martwią. Pewnie do Helikis dotarły już wieści o rewolucji na północy. Już sama przerwa w łączności musi być znakiem, że coś jest nie w porządku.

Był przekonany, że kiedy już dotrze do Domu Ludbrek, będzie mógł wysłać wiadomość do domu, może Ludbrekowie zdołają zorganizować jakiś transport do Helikis, jak najszybciej, z powodu niełatwej sytuacji. Joseph nie wiedział, jak to może być daleko. Domy Wielkich Rodów Helikis znajdowały się w znacznej odległości od siebie, i prawdopodobnie tak było i w tym przypadku. Odległość nie jest pewnie większa niż trzy albo cztery dni jazdy wozem. O ile tutejsi Tubylcy nie wykazują większego zainteresowania maszynami Panów niż ci z południa, nie będą mieli samochodów ani ciężarówek, ale powinni mieć wozy ciągnięte przez bandary, albo, co bardziej prawdopodobne, jaramiry, i w ten sposób mogą go przewieźć. Zapyta o to później, jeszcze dziś. Ale musi wyzdrowieć na tyle, by móc przetrwać trudy podróży.

Joseph przetrząsnął swój zestaw podręczny sprawdzając, czy zawiera on jakieś leki przeciwgorączkowe czy przeciwzapalne. Na nic takiego nie trafił. Dziwne niedopatrzenie, pomyślał. Znalazł kilka przyrządów, które wyglądały na instrumenty medyczne: jeden przypominał coś do zszywania niewielkich ran, inny – tester do badania wody pod kątem skażenia bakteryjnego. Żaden z nich nie był teraz przydatny.

Poprosił o kolejną dawkę ziele. Czuł się po nim trochę lepiej. Przyszło mu do głowy, że zabandażowanie nogi mogłoby przyspieszyć proces gojenia. Zasugerował więc jednemu z Tubylców, żeby przyniósł belę albo dwie jakiegoś lekkiego, przypominającego bawełnę materiału, z którego szyli własne ubrania.

– Dobrze, przyniosę – odparł Tubylec.

Był jednak pewien problem. Noga była tak sztywna i spuchnięta, że nie był w stanie jej zgiać. Joseph nie potrafił sięgnąć do kostki, by sam sobie owinąć nogę.

– Jak cię zważy? – spytał Tubylca, który przyniósł tkaninę. Była to pierwsza próba postrzegania tych istot jako samoistnych jednostek.

– Ulvas.

– Ulvasie, będę potrzebował twojej pomocy – rzekł Joseph. Tym razem też używał trybu proszącego. Formułowanie zdań w ten sposób stało się dla niego całkiem naturalne, co Joseph uznał za znak, że nie tłumaczy już swoich myśli z języka Panów na język Tubylców, ale zaczyna myśleć w ich języku.

– Pomogę ci – odparł Ulvas, co stanowiło zwyczajową odpowiedź na prawie każdą prośbę. Obdarzył jednak Josepha spojrzeniem, z którego wynikało, że jest mocno skonfundowany. – Chcesz coś zrobić z tą tkaniną, tak? To będziesz musiał mi powiedzieć, co mam zrobić.

– Chcę obwiązać sobie nogę – wyjaśnił Joseph, gestykulując. – Odtąd dotąd.

Tubylec najwyraźniej nie rozumiał, po co Joseph miałby sobie bandażować nogę. Przy pierwszej próbie po prostu udrapował luźny zwój tkaniny wokół kostki, co nie na wiele się

zdało. Ostrożnie, używając najbardziej uprzejmego trybu wydawania poleceń, jaki znał, Joseph wyjaśnił, że nie to miał na myśli. W pomieszczeniu zebrał się inni Tubylcy. Zaczęli szeptać między sobą. Ulvas zwrócił się do nich i zaczął z nimi rozmawiać. Wynikła z tego długa dyskusja, zbyt cicha i szybka, żeby Joseph mógł coś zrozumieć. Następnie Tubylec znów przystąpił do pracy, po każdej czynności zwracając się do Josepha z prośbą o aprobatę. Tym razem noga została zawinięta ciasno, od podbicia stopy, przez kostkę, w górę łydki. Gdy tylko Ulvas zaczynał zawijać słabiej, Joseph uprzejmie sugerował poprawę.

Cała grupa Tubylców zebrała się wokół niego, gapiąc się szeroko otwartymi oczami, co było jak na nich dość niezwykle. Joseph nie miał zbyt dużego doświadczenia w rozszyfrowywaniu ich wyrazu twarzy, ale było dość oczywiste, że obserwują coś, co jest dla nich niezwykle.

Podczas całej czynności Joseph od czasu do czasu wydawał stłumione okrzyki, gdy zaciskający się bandaż, zapewniając właściwe położenie, wywoływał ukłucia bólu w znękaną kończynę. Wiedział jednak, że zabandażowanie nogi to dobry pomysł. Należy ją unieruchomić; przynajmniej tak, żeby przestał obciążać zerwane czy skręcone ścięgna przy najmniejszym ruchu, a prędko wyzdrowieje. Szybko poczuł zbawienne działanie bandaża. Gruba tkanina ustabilizowała nogę i trzymała ją w solidnym uścisku, choć Joseph miał nadzieję, że uścisk ten nie jest aż tak wielki, by odciąć krążenie, ale wystarczający, by utrzymać nogę we właściwej pozycji.

Kiedy Tubylec owinał mu kolano, Joseph podziękował mu za pomoc i dokończył zadanie sam, owijając bandaż do góry, aż dotarł do najbardziej umięśnionej części uda. Zawiązał go tam, żeby nie przeszkadzał mu luźny koniec i spojrzał na nich z zadowoleniem.

– Teraz powinno być dobrze – oświadczył.

Cała grupa Tubylców patrzyła na niego ze zdumieniem.

Zastanawiał się, co wzbudziło w nich taką ciekawość. Czy fakt, że od pasa w dół był nagi? Było to dość prawdopodobne. Joseph uśmiechnął się. Te istoty nigdy dotąd nie widziały nagiego człowieka. Była to dla nich jakaś nowość. Sami nie mieli zewnętrznych narządów „płciowych”, więc genitalia dyndające między nogami musiały być dla nich fascynujące. Musi być jakieś wytłumaczenie, pomyślał. Trudno sobie wyobrazić, żeby zafascynowała ich tak prosta czynność jak bandażowanie nogi.

Mylił się jednak. To bandaż, a nie jego szczegóły anatomiczne, pozostawał w centrum uwagi.

Odkrył to kilka godzin później, które spędził na niezgrabnym przemieszczaniu się po izbie za pomocą laski, gdy już zjadł południowy posiłek z duszonych jarzyn i mięsa ilimani. Znów eksperymentował z nadal bezużytecznym komunikatorem, po raz pierwszy od wielu dni. Nagle z korytarza dobiegła muzyka wygrywana na trzciniowym flecie, lekko chropawa, pozbawiona melodii; musiała mieć jakieś szczególne znaczenie dla Tubylców, bo po chwili do pomieszczenia wkroczyła osobistość, która zapewne była wodzem wioski albo

najwyższym kapłanem, jeśli w ogóle istnieli jacyś kapłani. Był odziany w proste bawełniane szaty, ale miał na nich jaskrawo malowaną, skórzaną pelerynę i sięgającą do kolan spódnicę także ze skóry, pokrytą rzędami muszli; roztaczał wokół siebie atmosferę dostojności i majestatu. Nakazał muzykom gestem, by się uciszyli, spojrzął na Josepha i odezwał się:

– Jestem Ardardinem. Pozdrawiam naszego gościa, Pana i witam go w imieniu całej wioski.

Joseph nie znał słowa Ardardin, ale uznał, że to jakiś tytuł. Ardardin wypytał Josepha krótko o rewolucję w Domu Getfen i podróż przez las. Potem, wskazując obandażowaną nogę Josepha, spytał:

– Czy owinięcie zranionej nogi spowoduje szybsze gojenie?

– Tak, tak sędzę.

– Matagawa Panów jest potężna.

Joseph znał słowo matagawa, oznaczało ono coś zbliżonego do „magii”, „sił nadprzyrodzonych”, „sił duchowych”. Podejrzał jednak, że w tym kontekście miało ono inne znaczenia: „wiedza naukowa”, „umiejętności techniczne”. Tubyłcy byli znani z tego, że wykazywali wielki szacunek dla takich umiejętności u ludzi, gdyż przybysze chlubili się swoją techniką, swoimi osiągnięciami inżynieryjnymi, możliwością latania w powietrzu z kontynentu na kontynent i w kosmosie, z jednej planety na drugą. Sami w najmniejszym stopniu nie wykazywali chęci do posiadania takich umiejętności, ale szczerze je podziwiali. A teraz on sam cieszy się szacunkiem osoby, która posiadała potężne matagawa. Dlaczego tak prosta umiejętność, jak bandażowanie zranionej kończyny, została uznana za manifestację matagawa? Joseph chciał zaprotestować, że Ardardin obdarza go nadmiernym szacunkiem, bał się jednak, że go urazi, więc nic nie powiedział.

– Czy możesz chodzić na krótkie odległości? – zapytał Ardardin. – Jest coś, co chciałbym ci pokazać w pobliżu, jeśli zdołasz pójść.

Jako że Joseph właśnie odkrył, że chodzenie, choć trudne, nie było niemożliwe, odparł, że pójdzie. Korzystając z laski jako kuli, szedł tak, by nie dotknąć chorą nogą ziemi. Dwóch Tubyłców, w tym Ulvas, szło obok niego, by mu pomóc, gdyby zaistniała obawa, że się przewróci.

Ardardin poprowadził Josepha spiralnym korytarzem, który nagle wychodził na zewnątrz, a potem do drugiego budynku, tuż obok tego, w którym Joseph przebywał. W ponurym pomieszczeniu środkowym na futrach leżało trzech Tubyłców. Joseph dostrzegł od razu, że muszą być chorzy, pewnie była to jakaś izba chorych.

– Zbadasz ich? – spytał Ardardin.

Prośba zaskoczyła Josepha. Zbadać ich? Pewnie uznali, że jest zręcznym lekarzem, tylko dlatego, że obandażował sobie nadwerżone kolano.

Nie mógł jednak odmówić tej prośbie. Spojrzął na trójkę Tubyłców. Dostrzegł, że jeden ma paskudną, wrzodziejącą ranę na udzie, niezbyt głęboką, ale zakażoną. Czoło lśniło mu od

gorączki. Inny miał najwyraźniej złamaną rękę; kości nie było widać, ale ręka była zgięta pod tak dziwnym kątem, że złamanie było prawie pewne. Trzeci z Tubylców nie miał żadnych oznak zewnętrznych, ale trzymał się mocno rękami za brzuch, co sugerowało, że musi go bardzo boleć.

Ardardin patrzył na Josepha z wyczekiwaniem. Jego mięsiste podgardle wydymało się i chowało błyskawicznie, Joseph czuł narastający niepokój.

Zaczynał pojmować, że techniki medyczne Tubylców mogą nie wychodzić poza proste użycie ziół. Wszystko, co przekraczało umiejętność zaparzenia naparu, leżało poza ich zasięgiem. Zamknięcie rany, nastawienie złamanej kości. Udzielenie rodzącej pomocy przy trudnym porodzie. I na pewno cała chirurgia. Do takich cudów potrzebne było silniejsze matagawa niż to, jakim dysponował ten lud.

I ludzcy Panowie mieli to matagawa. Z wielką łatwością robili sztuczki, które Tubylcom musiały wydawać się cudami.

Joseph wiedział, że gdyby pojawił się tutaj jego ojciec, błyskawicznie poradziłby sobie z wszystkimi problemami – zrobiłby coś z zakażonym udem, nastawił złamane ramię, wyjaśniłby przyczynę bólu brzucha i coś poradził. W domu widział Martina, jak w czasie obchodów majątku radzi sobie z o wiele trudniejszymi przypadkami. Matagawa jego ojca było potężne, zgadza się; innymi słowy, to on odpowiadał za życie i zdrowie wszystkich, którzy żyli we włościach Rodu Keilloran i przyjmował tę odpowiedzialność, więc podjął trud opanowania przynajmniej podstawowych technik medycznych, by móc ich użyć, jeśli komuś przytrafi się coś w polu.

Joseph wszakże nie był lordem Domu Keilloran i nie miał żadnego formalnego przeszkolenia medycznego. Miał zaledwie piętnaście lat i pewnego dnia miał odziedziczyć tytuł i obowiązki ojca, ale teraz był całkowicie nieprzygotowany do takich dorosłych zadań. Czy Ardardin nie zdawał sobie sprawy z jego młodego wieku? Pewnie nie. Tubylcy zapewne nie byli lepsi w odróżnianiu dorosłych ludzi od młodzieńców niż ludzie w odróżnianiu ich samców od samic. Ardardin rozpoznawał w nim człowieka i zakładał, że jest dorosły. Wzrost i świeżo wyrosła broda mogły umocnić to przekonanie. A ludzie mieli wielkie matagawa; ten oto Joseph Pan Keilloran, który do nich przybył, był człowiekiem, więc...

– Zrobisz to? – rzekł Ardardin, używając już nie trybu proszącego, ale formy, którą Joseph uznał za usilną prośbę. Tubylec, wódz albo wielki kapłan, błagał go.

Nie mógł ich rozczarować. Nienawidził jednak udawania kogoś, kim nie był, i wzbudzania złudnych nadziei. Nie mógł wszak odmówić usilnej prośbie. Te istoty przyjęły go, troszczyły się o niego przez ostatnie dwa dni i obiecały doprowadzić go do Domu Ludbrek. A teraz chciały czegoś w zamian. Na szczęście posiadał jakieś elementarne umiejętności udzielania pierwszej pomocy. Nie mógł więc odmówić tej prośbie.

– Możecie ich trochę podnieść? – poprosił. – Nie mogę się schylać z powodu chorej nogi.

Ardardin wykonał przyzwalający gest, a kilku Tubylców ułożyło wysoki stos z futer i

położyło na nim Tubylca z raną na udzie. Pochylając się lekko Joseph obejrzał rozcięcie. Miało trzy albo cztery cale długości, może pół cała szerokości i było raczej płytkie. Brązowa skóra dookoła była zaczerwieniona i spuchnięta. Joseph ostrożnie dotknął brzegów rany opuszkami palców. Skóra obcej istoty była gładka, sprężysta, prawie śliska, dziwnie obca. Tubylec westchnął lekko pod dotykiem Josepha, ale nie wydał innych odgłosów. Nie wyglądało to na objaw jakiegoś wielkiego bólu. Joseph delikatnie rozchylił brzegi rany i zajrzał do środka.

Zobaczył sporo ropy. Sama rana była brudna, pokryta mnóstwem czarnych kropek, resztkami czegoś, co ją spowodowało. Joseph nie podejrzewał, żeby ktoś ją oczyszczał. Czy te stworzenia nie miały na tyle rozumu, żeby oczyścić takie rozcięcie?

– Potrzebna mi miska z gorącą wodą – rzekł Joseph. – I czysty materiał, taki, jakim obandażowaliście mi nogę.

Miał wrażenie, że jest aktorem w jakiejś sztuce i odgrywa rolę doktora.

Na stercie futer obok niego nie leżał jednak aktor, a rana nie była scenicznym makijażem. Poczuł mdłości, gdy zaczął przemywać ranę. Tubylec wzdrygnął się, jęknął i zadrżał lekko.

– Dajcie mu ten sam sok, który daliście mnie na zbiecie gorączki.

– Jej – poprawił ktoś za nim.

– Jej – powtórzył Joseph, szukając i nie znajdując jakichkolwiek oznak, że pacjentka jest rodzaju żeńskiego. Niewątpliwie wśród Tubylców występowały dwie płcie, bo język znał męskie i żeńskie zaimki, ale wszyscy, osobniki męskie i żeńskie, mieli taką samą wąską, poprzeczną szczelinę w dole brzucha, i może podczas aktu seksualnego następowała jakaś transformacja, wyłaniały się jakieś organy, które mogły się łączyć, ale Tubylcy nigdy nie uznali za niezbędne, by wyjaśnić ludziom to zagadnienie.

Oczyścił ranę jak tylko mógł z powierzchniowego brudu i wycisnął mnóstwo ropy, po czym przemył ranę ciepłą wodą. Mdłości, jakie opadły go, gdy zaczął oglądać ranę, szybko minęły. Odczuwał spokój, jakby obserwował wszystko z daleka; ważne było tylko samo zadanie, proces naprawiania szkód spowodowanych przez zaniedbanie i infekcję. Uodpornił się na ból, jaki niechcący sprawiał pacjentce podczas pracy, ale też po chwili zrozumiał, że tak bardzo się skupił na tym, co robi, że zapomniał o bólu spowodowanym własnymi obrażeniami.

Żałował, że nie ma przy sobie jakiejś maści antyseptycznej, ale jego znajomość języka Tubylców nie była na tyle obszerna, by mógł im wyjaśnić to pojęcie, a kiedy spytał o zioła, które mogłyby zmniejszyć stan zapalny wokół otwartej rany, najwyraźniej nie rozumieli, co mówi. Zatem nie było żadnych środków antyseptycznych. Miał nadzieję, że organizm będzie na tyle silny, że zwalczy infekcję, która już się rozwinęła.

Kiedy już zrobił co się dało, by oczyścić ranę, Joseph pouczył Ulvasa, jak ma zabandażować ranę, by mogła się zamknąć. Nie chciał eksperymentować z przyrządem do zszywania ran, po pierwsze dlatego, że nie był pewien jego przeznaczenia, po drugie wątpił,

czy rana jest oczyszczona na tyle dobrze, że można ją zszyć. Pomyślał, że później Poprosi Ulvasa o kawałek surowego mięsa i poćwicz zamykanie rozcięcia za pomocą urządzenia, a potem przemyje ranę jeszcze raz i zeszyje ją. Nie odważył się jednak użyć instrumentu już teraz i przy tych wszystkich zgromadzonych obserwatorach.

Postępowanie ze złamanym ramieniem było o wiele prostsze. Parobkowie Domu Keilloran cały czas łamali jakieś kończyny, więc rutynowo przyprowadzano ich do ojca, by coś poradził. Joseph często obserwował tę procedurę. Skomplikowane złamanie przekraczałyby jego możliwości, ale to wyglądało na dość proste. Wiedział, że wystarczy manipulować kończyną, aż złamana kość wskoczy na swoje miejsce, a potem ciasno obwiązać, by złamane końce nie poruszały się, i należało zapobiegać stanom zapalnym. Czas zadba o resztę. Przynajmniej tak to działało przy złamaniach przedstawicieli Ludu. Nie było jednak podstaw by przypuszczać, że fizjologia kości Tubylców różni się jakoś znacząco.

Joseph próbował wykonać to zadanie możliwie jak najdelikatniej. Błyskawicznie odkrył jednak, że przy pracy z pacjentem, który nie był znieczulony, kluczem do sukcesu było załatwienie sprawy jak najszybciej, a nie wykonywanie małych kroków, by tylko uniknąć bólu. To tylko pogorszyłyby sprawę. Trzeba było złapać, pociągnąć, nacisnąć i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Pacjent – powiedziano mu, że tym razem jest to osobnik męski – wydał z siebie jedno stęknienie, gdy Joseph, naśladowując ojca, złapał luźno dyndającą kończynę jedną ręką, a górną część ramienia drugą, i szybko docisnął je razem. Po stęknieniu rozbrzmiał gwałtowny wdech, westchnienie, po czym swobodny wydech, który wydawał się wyrazem ulgi.

Udało się, pomyślał Joseph, odczuwając satysfakcję. Dokonał tego. Matagawa, w rzeczy samej!

– Zawień to ramię dokładnie w taki sam sposób, jak moją nogę – polecił Ulvasowi, tym razem nie używając trybu proszącego, ale wydając proste polecenie, i podszedł do kolejnego pacjenta.

Trzeci przypadek zbił go z tropu. Co miał zrobić ze wzdętym brzuchem? Nie miał sposobu dokonania racjonalnej diagnozy. Może był tam guz, może blokada jelit, a może – ten pacjent był istotą żeńską – był to jakiś problem związany z komplikacjami ciąży. Choć już niefrasobliwie przekonał w duchu sam siebie, że całe to medyczne przedstawienie idzie mu doskonale, zuchwałość Josepha nie osiągnęła jeszcze takiego poziomu, by skłaniać go do chirurgicznej eksploracji ciała pacjentki. Nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać, już sama myśl o tym, że mógłby próbować ciąć żywe ciało podsuwała mu straszne obrazy, poza tym byłoby to bezcelowe, jako że anatomia Tubylców była mu całkowicie nieznana, nie umiałby nawet odróżnić jednego organu od drugiego, a co dopiero wykryć jakieś nieprawidłowości. Przesunął więc tylko dłońmi po napiętej skórze pacjentki, znów wyczuwając jej dziwność, chłodną, suchą, nieorganiczną nierzeczywistość, lekko naciskając tu i tam, szukając dotykiem wyjaśnienia trawiącej ją choroby. Pomyślał, że powinien chociaż podjąć jakąś próbę



przeprowadzenia badania, choć było to bezcelowe i głupie, ale nie ośmielił się wykonać nic innego, więc to będzie musiało wystarczyć. W każdym razie nie wyczuwał niczego niezwykłego pod palcami, żadnych konwulsyjnych skurczy organów, żadnych oznak nowotworowego przerostu. Nagle przyszła mu do głowy myśl, że powinien zrobić coś jeszcze i poddając się nagłej inspiracji Joseph, ku swojemu zdziwieniu, zaczął wykonywać dziwne, głaszczące gesty w powietrzu nad Tubylką, intonując jakiś pozbawiony treści, rytmiczny zaśpiew, jak prymitywni szamani w opowieściach przygodowych, które kiedyś czytał. Była to najzwyczajniejsza zgrywa i Joseph odczuł falę potępienia dla swego dziecinnego zachowania, ale przez chwilę nie był w stanie oprzeć się temu głupiemu impulsowi.

Tylko przez chwilę. Potem stwierdził, że nie może już dłużej grać w tę grę. Odwrócił wzrok z zakłopotaniem.

– Nie mogę nic więcej dla niej zrobić – zwrócił się do Ardardina. – Muszę się położyć. Nie czuję się najlepiej i jestem bardzo zmęczony.

– Tak, oczywiście. Składamy gorące podziękowania, Panie Joseph.

Poczuł gorzki wstyd z powodu oszustwa, jakiego właśnie się dopuścił. Nie tylko z powodu niedorzecznego zachowania na końcu, ale całej tej komedii. Ciekawe, co powiedziała by ojciec? Piętnastoletni chłopiec udający lekarza? Obłudnie roszczący sobie pretensje do umiejętności, których nie posiadał? Wiedział, że powinien powiedzieć: „Bardzo mi przykro, ale jestem młodym chłopcem i nie mam prawa robić nic takiego”. Tylko że oni tak bardzo chcieli, by uzdrowił tę trójkę, dzięki światłu wszechmocnego ludzkiego matagawa, o którym byli przekonani, że je posiada. Już sama konstrukcja gramatyczna prośby Ardardina ujawniała intensywność ich pragnienia. A przecież nikomu nie zaszkodził, nieprawdaż? Na pewno umycie i opatrzenie rany było lepsze niż zostawienie jej, by się zaogniła. Był też przekonany, że prawidłowo nastawił złamane ramię. Nie mógł sobie tylko wybaczyć tego ostatniego haniebnego matactwa.

Własna noga wciąż go bolała. Zostawili mu dzbanek soku przy łóżku. Wypił trochę i wystarczyło, by złagodzić ból i pozwolić mu zapaść w pokrzepiający sen.

Gdy obudził się rankiem, odkrył, że zastawili całe pomieszczenie zachęcająco wyglądającymi misami z owocami i wszędzie porozwieszali girlandy długich, czerwonych kwiatów o pieprznym zapachu. Wyglądało, że coś świętują. Przedtem nie przynosili kwiatów. Kilku Tubylców klęczało przy jego łóżku, czekając, aż się obudzi. Joseph zaczął rozpoznawać u nich jakieś indywidualne cechy. Dostrzegł w pobliżu Ulvasa i jeszcze jednego, który dzień wcześniej powiedział mu, że ma na imię Cuithal, oraz trzeciego, którego nie znał. Potem wszedł Ardardin, niosąc kolejne naręczka kwiatów: jeszcze jeden dar. Położył je u stóp Josepha i wykonał zawiły gest, który, choć dla Josepha obcy, niewątpliwie oznaczał cześć i szacunek.

Ardardin zapytał uprzejmie o zdrowie Josepha, a ten odparł, że tego rana noga sprawia mu mniejszy ból. Ardardin rzekł, że stan trzech pacjentów także się bardzo poprawił i czekają

teraz na zewnątrz, by wyrazić swoją wdzięczność.

Więc dalej tak będzie, pomyślał speszony Joseph. Nie mógł jednak odmówić zobaczenia się z nimi. Wchodzili jedno po drugim, niosąc małe podarki, które dokładali do tych, które już znajdowały się w pomieszczeniu: kolejne naręczka kwiatów, owoce, ceramiczne naczynia o gładkich ściankach, które na pewno spodobałyby się ojcu, tkaniny o jaskrawych barwach. W ich oczach malowała się wdzięczność, podziw, może nawet miłość. Tubylka z zainfekowaną raną miała stanowczo mniejszą gorączkę. Tubylec ze złamaną ręką – którą, jak Joseph zauważył, Ulvas starannie zawinął – był rozradowany. Joseph poczuł radość i ulgę widząc, że jego amatorskie poczynania nie tylko nikomu nie zaszkodziły, ale wręcz przyniosły dobroczynny skutek.

Największą niespodziankę sprawiła mu jednak trzecia pacjentka, ta z wzdętym brzuchem, nad którą Joseph odprawiał swoje szamańskie rytuały. Wyglądała na okaz zdrowia, doskonałe samopoczucie wręcz od niej emanowało. Rzuciła się Josephowi do stóp, wyrzucając z siebie potok słów, których nie rozumiał, ale których ogólna wymowa była aż nadto zrozumiała.

Joseph nie wiedział, jak zareagować. Kodeks honorowy, jaki mu wpojono, nie uznawał przypisywania sobie zasług za coś, czego się nie zrobiło. Jeszcze gorsze byłoby akceptowanie czyjegoś uznania za coś, co odbyło się zupełnie przypadkowo, spowodowane w tak cyniczny i nonszalancki sposób.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że kobieta wstała z łoża boleści zaledwie kilka godzin po tym, jak wykonał nad nią ten idiotyczny rytuał. To całkowicie przypadkowe ozdrowienie, pomyślał. Albo jego absurdalne pomruki wywołały u niej tak potężną wiarę w jego wielkie matagawa, że sama wypędziła ze swego ciała demona boleści. Cóż mógł powiedzieć? „Nie, nie masz racji dziękując mi, nie zrobiłem niczego, co mogłoby ci pomóc, to wszystko jest tylko złudzeniem”. Nie miał odwagi, żeby jej coś takiego powiedzieć. Mogło to poważnie zaszkodzić jej kruchemu zdrowiu, skoro uleczyła ją tylko wiara. Nie chciał też niewdzięcznie odrzucać podziękowań tych ludzi, którzy sądzili, że czegoś dokonał. Wiedział, że sam jest nadal od nich zależny. Jeśli mały wstyd miał być ceną za doprowadzenie do Domu Ludbrek, niech tak pozostanie. Niech sobie uważają, że czynię cuda. Może naprawdę tak jest. W każdym razie niech czują, że mają wobec Josepha jakieś zobowiązania, skoro on potrzebuje od nich pomocy. Nawet honor Pana musi czasem ustąpić zwykłej potrzebie przetrwania, prawda, Balbusie? Prawda?

Poza tym – czego wcale nie kwestionował – odczuwał prawdziwą satysfakcję z tego, że robi coś użytecznego dla innych, bez względu na to, jak kręte prowadzą do tego drogi. W dzieciństwie zaszczerpiono mu pewną naczelną zasadę, jako dziedzicowi Rodu Keilloran: Panowie nie tylko rządzą, ale także służą. Te dwie koncepcje były ze sobą nierozłącznie powiązane. Tak, bycie urodzonym w rodzinie Panów, a nie w rodzinie należącej do Ludu, było wielkim szczęściem, bo oznaczało życie wśród przywilejów, wygodę i władzę. Nie było to jednak życie, które przychodziło lekko, beztroskie życie na koszt ciężko pracujących ludzi

niższego stanu. Tylko głupiec mógłby uważać, że tak wygląda życie Panów. Panowie żyli z poczuciem obowiązku i powinności wobec wszystkich, którzy ich otaczali.

Jak dotąd Joseph nie miał zbyt wielu okazji, by doświadczyć tych obowiązków i powinności. Na tym etapie swojego życia miał głównie uczyć się i obserwować. Pierwsze prawdziwe zadania administracyjne miał otrzymać dopiero po ukończeniu szesnastu lat. Teraz jego praca polegała na przygotowywaniu się do nich. I zawsze byli wokół niego słudzy, którzy troszczyli się o rzeczy, które zwykły człowiek musiał robić sam, co ułatwiało mu zajmowanie się obserwacjami i nauką.

Doznawał z tego powodu poczucia winy. Zdawał sobie sprawę z tego, że aż do jego ucieczki przez las z płonącego Domu Getfen jego życie było pełne przywilejów, a nie obejmowało zbyt wielu obowiązków. Niewiele dotąd zrobił, raczej dla niego coś robiono. Nie miał dotąd okazji do sprawdzenia swoich umiejętności ani siły charakteru.

Czy w takim razie rzeczywiście był dobrym człowiekiem? To pytanie pozostało bez odpowiedzi. Nigdy dotąd się nie sprawdził, więc nie mógł o tym wiedzieć. Czasem się buntował, przynajmniej w duchu, przeciwko absolutnej władzy ojca. Był winny małych błuźnierstw i pomniejszych złych czynów. Bywał bezsensownie szorstki wobec młodszych braci, bo przewaga, jaką dawały mu wiek i siła, sprawiała mu przyjemność, i wiedział, że to niewłaściwe. Przeszedł też przez fazę znajdowania przyjemności w dokuczaniu irytującej go Cailin, wyszydzeniu niedostatków jej logiki, chowaniu czy nawet niszczeniu jej ulubionych przedmiotów, i czuł wtedy, jak prawdziwa przyjemność walczy o palmę pierwszeństwa z poczuciem winy. Wiedział, że tak postępuje większość chłopców i że większość z tego wyrasta, więc nie potępiał się za takie zachowanie, ale nawet mimo tego czuł się niepewnie, gdyż nie wiedział, czy podąża ścieżką cnoty, co powinien czynić prawdziwie dobry człowiek. Wiedział, jak udawać dobrego człowieka, jak postępować tak, jak postępowali dobrzy ludzie, ale czy naprawdę postępowali szczerze? Czyż prawdziwie dobrzy ludzie nie powinni postępować dobrze dzięki naturalnej duchowej cnocie, a nie wskutek impulsu, wykonując dobre uczynki w razie specjalnej potrzeby?

Cóż, specjalna potrzeba właśnie zaistniała, a on, próbując jej sprostać, beztrzęsco pozwolił sobie na udawanie lekarza, czego nie można ocenić jako dobry uczynek, biorąc pod uwagę jego absolutny brak wiedzy medycznej, a przynajmniej moralnie wątpliwy. Przecież zdołał wyleczyć, lub chociaż poprawić stan zdrowia trzech cierpiących istot, a to niewątpliwie było właściwe. Jak należy oceniać osiągnięcie czegoś godnego za pomocą moralnie wątpliwych środków? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że niezależnie od niejasnych przyczyn lub niepewnych motywów osiągnął coś, co niewątpliwie było dobre. Uczepił się tej myśli. Być może nie było ludzi z natury dobrych, tylko ludzie, którzy świadomie zakładali, że ich zadaniem, z jakiegoś powodu, jest czynienie dobra. Czas przyniesie mu rozwiązanie tej zagadki. Joseph nadal miał jednak nadzieję, że wkraczając w dorosły wiek odkryje, że jest z natury dobry, a nie tylko udaje czyniącego dobro i wszystko, co czyni, robi dla dobra innych, nie

dla siebie, ale dla nich.

Mając na koncie niewątpliwy dobry uczynek Joseph zaczął się obawiać, że Tubyłcy nie będą chcieli pozbawiać się tak potężnego uzdrowiacza. Wyglądało jednak, że nie jest to ich sposób myślenia. Po kilku dniach odpoczynku był w stanie chodzić, lekko utykając. Po zdjęciu bandaża zobaczył, że opuchlizna znacznie się zmniejszyła, a niezdrowe zabarwienie zaczęło blednąć. Niebawem pojawił się Ulvas i oznajmił, że przygotowują wóz, który zabierze go do Domu Ludbrek.

Był to prosty pojazd używany do przewożenia produktów rolnych z miejsca na miejsce: wielkie drewniane koła na drewnianych osiach, otwarta platforma z tyłu, z przodu siedzenie dla woźnicy, kilka jaramirów o szerokich łopatkach zaprzężonych do dyszli. Na wyłożonej deskami platformie, gdzie umieszczono Josepha, jeszcze niedawno wożono jarzyny, a drewno nadal wydawało zapach ciemnej wilgotnej gleby i subtelniejszą woń gnijących liści i ogonków. Dwóch Tubyłców, których imion Joseph nie znał, usiadło z przodu na koźle, kolejna dwójka, Ulvas i Cuithal, najwyraźniej oddelegowana do pomocy, umieściła się z tyłu wraz z Josephem. Dali mu cały stos futer, na których mógł siedzieć, ale wóz nie był przeznaczony do jazdy dla przyjemności i Joseph czuł każdy ruch trzeszczących koślawych kół na starożytnej, nierównej drodze.

Opuścili leśną okolicę, charakterystyczną dla pięknej północnej krainy otaczającej Dom Getfen. Te tereny były rolnicze. Prawdopodobnie należały do Tubyłców z kilku wiosek, który opuszczali swoje siedziby i przychodzili tu pracować. Teren był przeważnie płaski, choć w paru miejscach poprzecinany pagórkowatymi łąkami i polami, a w pewnej odległości Joseph widział niskie wzgórza pokryte wąsko rozstawionymi rzędami drzew o purpurowych liściach.

Jego podręcznik geografii może mógłby mu powiedzieć coś o tej części kraju, przez którą przejeżdżał. Od dnia, gdy opuścił Dom Getfen nie zaglądał jednak do swojego kieszonkowego czytelnika, gdzie przechowywał wszystkie swoje podręczniki, a teraz jakoś nie mógł się zmusić, żeby go wyjąć. Miał się uczyć codziennie, nawet na wakacjach w Domu Getfen, w Górnej Manzie, wśród kuzynów: nauki przyrodnicze, matematyka, filozofia, języki i literatura, a przede wszystkim historia i geografia, miały go przygotować do roli Pana pośród Panów. Podręcznik geografii opisywał Ojczyznę od bieguna do bieguna, także rzeczy, których Joseph nigdy nie spodziewał się zobaczyć z tak bliska jak teraz. Historia Ojczyzny była głównie historią wielkich rodów i władzy, jaką narzucili Ludowi, który przybył tu przed nimi; ale były tam też lekcje o pierwszej Ojczyźnie, starożytnej planecie zwanej Ziemią, z której pochodzili wszyscy ludzie, a o historii której nie wolno zapominać, bo choć dla potomków była mroczna i odległa, były tam smutne aspekty, których potomkom powtórzyć nie wolno. Były też inne przedmioty, o których Joseph wiedział, że powinien się ich uczyć, nawet bez Balbusa mówiącego mu, co ma robić. A może szczególnie bez Balbusa.

Przez te wszystkie dni jego cała energia skupiała się na tym, by przeżyć, a podczas marszu przez las siedzenie pod jakimś zadaszeniem z gałęzi i czytanie o dawnych latach i

zawiłościach filozofii, kiedy w każdej chwili mogła go wytropić jakaś banda zbuntowanych przedstawicieli Ludu i położyć kres jego życiu, wydało mu się komicznie niestosowne. Później, kiedy już był bezpieczny w wiosce Tubylców, każda myśl o podjęciu nauki natychmiast przywoływała wspomnienie o jego nauczycielu Balbusie, leżącym na dziedzińcu Domu Getfen z poderżniętym gardłem, i to było dla niego zbyt bolesne, by mógł coś zrobić. Teraz, podskakując i objając się na drodze prowadzącej przez rolnicze tereny Górnej Manzy, doszedł do wniosku, że czytanie jest niemożliwe z innych powodów. Joseph chciał jak najszybciej dotrzeć do Domu Ludbrek i wreszcie zaznać towarzystwa jemu podobnych.

Dom Ludbrek, który zobaczyli po trzydniowej podróży, stał zdewastowany na szczycie wzgórza. Została z niego tylko porzucona blizna wśród zielonych pól. Wypalone, pozbawione dachów ściany sterczały ponad ciemnymi, chłodnymi stertami gruzu. Potężne elementy konstrukcji leżały obnażone, zwęglone i poczerniałe belki, drzewce, łączniki, kłody, jak wielki szkielet jakiejś prehistorycznej bestii, wydostający się w jakiś przerażający, fragmentaryczny sposób z otaczającej go materii. Wszędzie unosił się nieprzyjemny, brzydki zapach dymu, starego dymu, dymu śmierci, dymu z ognia, który zgasł wiele dni temu.

Cała reszta wielkiego majątku, na tyle, na ile Joseph był w stanie to ocenić z miejsca, w którym się znajdował, była w równie kiepskim stanie. Dom Ludbrek, podobnie jak Dom Getfen czy Dom Keilloran, był ośrodkiem wyężonej działalności produkcyjnej. Od głównego dworu rozchodziły się koncentrycznie pola i ogrody, parki, strefy działalności rolniczej i przemysłowej, gospodarstwa i domy rolników, fabryki, młyny i stawy, stodoły, stajnie, kwatery robotników i sektory handlowe, które im służyły, wszystko, dzięki czemu każdy Wielki Dom był praktycznie samowystarczającą jednostką ekonomiczną. Stojąc i patrząc na posiadłości Ludbreków ze szczytu wzgórza Joseph odniósł wrażenie, że wszystko leży w ruinie. Widok ten przyprawiał go o mdłości. Krajobraz przypominał senny koszmar całkowitej destrukcji, długie pasma spalonych budynków, ciężarówek i wozów, roztrzaskane maszyny, wymordowane zwierzęta domowe, zniszczone drogi, przerwane tamy, zalane pola. Dominowała przerażająca martwota. Nic się nie poruszało. Nie dochodził żaden dźwięk.

Joseph patrzył na obraz zniszczenia, ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód, i gdy stopniowo docierało do niego, co się stało, doznawał całej fali uczuć: szoku, zgrozy, strachu, smutku, a chwilę potem, niesmaku i złości, wybuchu wściekłości na widok takiej głupoty. Joseph nie mógł w tej chwili wyrzec się swojej tożsamości Pana, a jako Pan, wściekał się patrząc na idiotyczne marnotrawstwo, jakiego się tu dopuszczono.

Co chcieli osiągnąć ci ludzie, gdy niszczyli nie tylko Ród Ludbrek, ale i ich Dom? Czy naprawdę sądzili, że ten cios utoruje im drogę do wolności? Wreszcie zrzucili jarzmo niewoli po tysiącach lat, jarzmo tyranów, którzy spadli z gwiazd, by ich pognębić?

Tak, pomyślał Joseph, taką mieli nadzieję. Tylko że Lud zniszczył w ten sposób podstawy własnej egzystencji, niszcząc w powodzi krwi i w płomieniach owoce setek lat planowania i budowania. Z czego teraz będą żyli, kiedy nie ma młynów i fabryk? Czy wrócą do

prymitywnego uprawiania ziemi, jak to robili ich przodkowie, zanim przybyli pierwsi Panowie? Jeśli nawet to przekraczało ich możliwości, mogli szukać w lesie błotnych pełzaczy i korzonków, jak on sam całkiem niedawno. Mogli też wędrować od prowincji do prowincji, żebrząc o jedzenie u tych, którzy nie byli aż tak głupi, by podpalać swoje majątki, albo po prostu rabując? Nad tym pewnie się nie zastanawiali. Nie ulega wątpliwości, że chcieli przede wszystkim obalić Panów, ale kiedy już im się to udało, czy będą w stanie powstrzymać lawinę destrukcji, czy też będą niszczyć dalej, aż wszystko zostanie starte w pył, bez możliwości naprawienia, cały system, dzięki któremu żyli?

Czterech Tubylców stało obok siebie, patrząc na niego w milczeniu. Ich szczelinowate oczy i pozbawione wyrazu wąskie wargi nie pozwalały Josephowi domyślać się, co sądzą. Być może nic – poprosił ich o zawieszenie do tego miejsca, więc to zrobili, a co jedna grupa ludzi zrobiła z własnością innej grupy ludzi mogło ich w ogóle nie interesować. Uznał, że czekają, aż on im powie, co należy zrobić, bo było oczywiste, że nie znajdzie tu nic, co mogłoby się mu przydać.

Co miał im teraz powiedzieć? Co oni mogli dla niego zrobić?

Zwilżył usta i odezwał się.

– Jak się nazywa następny Wielki Dom na południe stąd? Jak daleko jest?

Odpowiedź nie padła. Żaden z nich nie zareagował na pytanie Josepha. Jakby nie rozumieli jego słów.

– Ulvas? Cuithal? – spojrzał prosto na nich, obrzucając ich spojrzeniem Pana, i odezwał się nieco ostrzejszym tonem. O ile to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie, Pan mówiący do Tubylców, dla których jego status Pana prawdopodobnie nie miał żadnego znaczenia. Zwłaszcza tu, teraz, pośród tych ruin. Ale pewnie w innych okolicznościach też nie. Jeśli darzyli go szacunkiem, to z powodu jego talentów uzdrawiacza, nie rangi, jaką cieszył się pośród ludzi.

Tym razem jednak uzyskał odpowiedź, choć nie zadowolili go ona.

– Panie Joseph, nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nie wiemy – tym razem odpowiedział Cuithal. – Znamy tylko Dom Getfen na północy i Dom Ludbrek na południu. Nie wiemy nic o żadnych Wielkich Domach poza tymi dwoma. Nigdy nie potrzebowaliśmy wiedzieć.

Odpowiedź wydała się wiarygodna. Joseph nie potrafił interpretować tonu głosu Tubylców, ale nie miał żadnego powodu przypuszczać, że okłamywaliby go w tak prostej sprawie, czy w jakiegokolwiek innej. Być może, gdyby wrócił do wozu i poprosił ich o zawieszenie do następnego Wielkiego Domu na południu, uczyniliby to.

Następny Dom jednak mógł znajdować się setki mil stąd. Mógł też znajdować się w takim samym stanie jak ten. Joseph nie mógł prosić Tubylców, nawet tak mu oddanych, o towarzyszenie mu w podróży na takie odległości, zawieszenie go nie wiadomo jak daleko od

ich rodzinnej wioski, w poszukiwaniach, które miały tak niewielkie szanse na powodzenie. Jediną alternatywą, poza samotnym kontynuowaniem podróży przez tę zrujnowaną i pewnie niebezpieczną prowincję, był powrót do wioski Tubylców, a jaki to mogło mieć sens? Musiał podążać na południe. Nie chciał dożyć końca swoich dni jako wioskowy szaman Tubylców w Górnej Manzie.

Stali nieruchomo, czekając, aż przemówi. Nie wiedział jednak, co im powiedzieć. Poczul nagle, że nie może wytrzymać ich milczących spojrzeń. Może dobrze mu zrobi, jak oddali się na chwilę zebrac myśli. Ich obecność rozpraszała go.

– Zostańcie tutaj – rzekł Joseph, po długiej chwili wypełnionej nieznośnym milczeniem. – Chcę się trochę rozejrzeć.

– Nie chcesz, żebyśmy ci towarzyszyli, Panie Joseph?

– Nie. Nie teraz. Zostańcie tu aż wrócę.

Odwrócił się. Wypalony dwór leżał jakieś sto jardów przed nimi. Zaczął iść wolno w tym kierunku. Przerażający widok. Czy tak wyglądał Dom Getfen rankiem? A dom Keilloran? Wciągnięcie powietrza w płuca było bolesne. Ponury, stęchły, kwaśny odór zgliszcz, wystygłych popiołów, ostra chemiczna woń szybkiego utleniania, uderzyły w jego nozdrza z przerażającą siłą. Joseph wyobraził sobie, jak jego płuca pokrywają się czarnymi cętkami. Przeszedł przez rozwaloną fasadę i znalazł się w pokrytych popiołem ruinach wielkiego westybulu, z szeregiem jeszcze większych pomieszczeń w amfiladzie, które teraz były jedynie wypaloną skorupą. Stał na brzegu wielkiego krateru, który kiedyś mógł być salą balową lub teatralną. Nie dało się dalej iść, bo większa część podłogi przestała istnieć, a tam, gdzie była, przejście zagradzały opadłe belki stropowe. Poruszał się ostrożnie, uważając na zranioną nogę. Kierując się na lewo Joseph trafił na miejsce, które mogło być pomieszczeniami służby i prowadziło do nisko sklepionego pomieszczenia, będącego zapewne podręczną kuchnią, gdzie podgrzewano potrawy przyniesione z głównej kuchni poniżej. Przylegający do niej korytarz zaprowadził go dalej, do bardziej eleganckich pomieszczeń, gdzie we wnękach stały poczerńiałe rzeźby, a ze ścian zwisały postrzępione gobeliny.

Splendor i bogactwo Domu Ludbrek były widoczne w każdym calu, nawet teraz. Ta komnata była chyba pokojem muzycznym; ta, biblioteką; ten długi korytarz – galerią obrazów. Zniszczenia były tak duże, że praktycznie nic nie zostało. Już sama okropność tego widoku uczyniła Josepha obojętnym. Nie można co chwilę doznawać szoku. Jego możliwości reakcji szybko się wyczerpały. Po chwili mógł jedynie chłonąć wszystko z jakąś spokojną akceptacją czy wręcz chłodną fascynacją, jakiej doznaje się zwiedzając ruiny jakiegoś miasta pogrzebanego pod wulkaniczną lawą pięć tysięcy lat temu.

Klucząc, by ominąć miejsca, w których konstrukcja poważnie ucierpiała, Joseph w końcu wyszedł na szeroki taras z płaskich kamiennych płyt, wychodzący na główny ogród majątku. Ogród założono w wielkiej niecce, której pochyłe zbocza prowadziły na tereny zalesione, i – ku zdumieniu Josepha – praktycznie nie nosił śladów zniszczenia. Aksamitne trawniki były

zielone i bez uszkodzeń. Alejki krzewów pozostały nietknięte. Marmurowe fontanny okalające sadzawki nadal tryskały wodą, a same sadzawki lśniły w południowym słońcu jak nowo wypolerowane lustra. Wijące się ścieżki z białego, tłuczonego kamienia, były tak schludne, jakby ogrodnicy porządkowali je jeszcze dziś rano. Być może, pomyślał, zaskoczony, że w tym strasznym otoczeniu potrafi jeszcze błysnąć dowcipem, to ogrodnicy majątku byli organizatorami rewolucji i zatroszczyli się o to, by atak ominął miejsca, w które włożyli tyle pracy. Prawdopodobnie jednak wdarcie się do domu było łatwiejsze od drugiej strony.

Stał przez chwilę, przytrzymując się chłodnej, marmurowej balustrady tarasu, patrząc na nieskalany ogród i próbując skupić się na problemach, jakim musiał stawić czoło. Żadne odpowiedzi jednak nie przychodziły. Przyjechał do Domu Getfen na wakacje, które miały być progiem na drodze do dorosłości, chłopiec z południa uczący się nowych rzeczy daleko od domu, zawierający nowe przyjaźnie, subtelnie angażujący się w sojusze, które mogą mu się przydać w przyszłości, w dorosłym życiu. Wszystko tak świetnie szło. Getfenowie przyjęli go, jakby należał do rodziny. Joseph w skrytości ducha zakochał się nawet, choć nikomu o tym nie powiedział, w pięknej, delikatnej, złotowłosej kuzynce Kesti. A teraz Kesti i reszta Getfenów nie żyła; on był tutaj, w majątku Ludbrek, gdzie miał nadzieję znaleźć wyjście z tego całego zamieszania, które ogarnęło ten kraj, a wszystko leżało w gruzach i na horyzoncie nie rysowało się żadne wyjście z sytuacji. Prawdziwy próg na drodze do dojrzałości, pomyślał Joseph. Tylko nigdy nie wyobrażał sobie, że tak to może wyglądać.

Gdy tak stał i rozmyślał nad tym wszystkim, usłyszał jakiś odgłos dobiegający z lewej strony, trzaśnięcie deski, może jakieś jedno czy drugie stuknięcie, jakby ktoś poruszał się na dolnych poziomach zrujnowanego budynku. Stuknięcie. I jeszcze jedno.

Joseph zamarł. Te nieoczekiwane trzaski i stuki przerwały lodowatą, śmiertelną ciszę, jaka unosiła się nad wszystkim, tak raptownie, jakby nagle usłyszał uderzenie w bęben.

– Kto tam? – spytał szybko. – Kto tam jest?

Od razu tego pożałował. Uświadomił sobie, że odruchowo przemówił w języku Panów, błąd zaćmionego umysłu, który mógł okazać się śmiertelny, gdyby to był uzbrojony strażnik patrolujący teren.

Szybko nastąpiła cisza.

Nie, to nie strażnik. Jakiś maruder, pomyślał. Ktoś, kto przeżył. Może nawet zbieg jak on sam. Tak musiało być. Nie było tu już buntowników, bo do tego czasu już by kogoś zauważył. Musieli zrobić, co do nich należało i poszli dalej. Gdyby jeszcze tu byli, po prostu patrolowaliby teren otwarcie, a nie czaili się po piwnicach, i nie zamierali na dźwięk ludzkiego głosu. A przynajmniej głosu Pana. Buntownicy natychmiast pojawiliby się na powierzchni, by zobaczyć, kto tu jest.

Któż to więc był? Joseph zastanawiał się, czy może to ktoś z samych Ludbreków, kto zdołał ująć z masakry w swoim Domu i teraz się ukrywa. Czy był to zbyt szalony pomysł?



Musiał to sprawdzić.

Szalonym pomysłem wydawało się zweryfikowanie tej hipotezy samotnie i bez broni. Idąc szybciej, niż pozwalała na to jego chora noga, Joseph przeszedł w kierunku frontu wypatroszonego domu po własnych śladach i wynurzając się w westybulu pomachał do Tubylców, którzy czekali tam, gdzie ich zostawił, zupełnie niewzruszeni jego nieobecnością. Oni także nie byli uzbrojeni i z natury byli łagodni, ale cechowała ich duża siła fizyczna i był pewien, że go obronią, jeśli tylko pojawi się jakiś problem.

– Tam jest ktoś żywy, ukrywa się w piwnicy budynku – powiedział Joseph. – Słyszę dźwięki, jakie wydaje. Chodźcie i pomóżcie mi go znaleźć.

Ruszyli nie zadając żadnych pytań. Poprowadził ich z powrotem przez wypalone czeluście zrujnowanego domu na taras, gdzie wskazał palcem podłogę.

– Tam – powiedział. – Pod tarasem.

Z tarasu do ogrodu prowadziły zakręcone kamienne schody. Joseph zaczął schodzić, a Tubylcy w ślad za nim. Dostrzegł, że pod tarasem znajdował się cały szereg podziemnych pomieszczeń, które otwierały się na ogród. Być może używano ich do przechowywania stołów i innych przedmiotów na przyjęcia w ogrodzie, na których bawili się za dawnych dni Panowie Rodu Ludbrek. Teraz były przeważnie puste. Joseph zajrzał do środka.

– Tam, panie Joseph – rzekł jeden z Tubylców.

Wzrok Tubylców był lepiej przystosowany do ciemności. Joseph nic nie widział. Poruszając się ostrożnie usłyszał jakiś dźwięk – jakby szuranie – a potem kasznięcie, po którym drżący głos zwrócił się do niego w mieszaninie języka Panów i Ludu, błagając go o łaskę dla biednego starego człowieka, błagając go, by okazał współczucie.

– Nie popełniłem żadnej zbrodni. Nie zrobiłem nic złego. Przysięgam. Nie róbcie mi nic złego. Proszę.

– Wychodź i pokaż się – rzekł Joseph językiem Panów.

Z zataczonej ciemności wynurzył się powoli starszy człowiek; miał jakieś sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat, odziany w łachmany, ze skołtunionymi włosami, poprzetykanymi pajęczynami, ze smugami brudu na twarzy. Było oczywiste, że należy do Ludu. Miał szerokie ramiona i obszerną klatkę piersiową, szeroką twarz o wydatnych nozdrzach i ciężką szczękę. Kiedyś musiał być bardzo silny. Był potężnej budowy. Teraz jednak wyglądał na wymizerowanego i osłabionego, z twarzą poszarzałą i brudną, ze skórą luźno zwisającą na policzkach, jakby od wielu dni nic nie jadł, z ciemnymi kołami pod zaczerwienionymi oczami o dzikim wyrazie. Mrugając, drżąc, z przerażonym wyrazem twarzy, podszedł niepewnie do Josepha, zatrzymał się parę stóp przed nim i padł na kolana.

– Oszczędźcie mnie! – krzyknął, patrząc na stopy Josepha. – Jestem niewinny! Niewinny!

– Nic ci się nie stanie, starcze. Spójrz na mnie. O, tak jest dobrze. Mówię, że nikt nie zrobi ci krzywdy.

– Naprawdę jesteście Panem? – spytał mężczyzna, jakby bał się, że Joseph okaże się

zjawą.

– Naprawdę.

– Nie wyglądacie jak inni Panowie, których widziałem. Ale mówicie ich językiem. Macie postawę Pana. Z jakiego Rodu jesteście Panem?

– Z Rodu Keilloran.

– Keilloran – powtórzył mężczyzna. Było oczywiste, że nigdy dotąd nie słyszał tego nazwiska.

– Jestem z Helikis – wyjaśnił Joseph w języku Panów. – To na południu. – Po czym, przechodząc na język Ludu, rzekł: – Kim jesteś i co tu robisz?

– Jestem Waerna z Domu Ludbrek.

– W domu nie ma już nikogo.

– Teraz nie. Już nie. Ale nigdy nie miałem innego domu. Mój dom jest tutaj, Panie. Kiedy inni odeszli, ja zostałem, bo gdzie mam odejść? Co mam robić?

W brązowych, nabiegłych krwią oczach czaiła się bezradność.

– Zabili wszystkich Panów, a ja to widziałem. To było w nocy. Pan Vennek zginął pierwszy, potem Pan Huist, Pan Seebod, Pan Graene i wszystkie żony, i dzieci. Wszystkich. Nawet psy. Żony i dzieci musiały patrzeć, jak zabijano mężczyzn, a potem je także zabito. Vaniye to zrobił. Słyszałem jak mówi: „Zabijcie wszystkich, żaden Pan nie może zostać przy życiu”. Vaniye był dla Pana Venneka jak syn. Wszystkich zabili nożami, a potem spalili ciała i podpalili dom. A później odeszli, a ja zostałem, bo dokąd mam iść? To moje miejsce. Moja żona od dawna nie żyje. Moja córka też. Nie mam nikogo. Nie mogę odejść. Jestem jak ten dom.

– Rzeczywiście jesteś jak Dom Ludbrek – odparł Joseph, z trudem opanowując smutek, jaki go ogarnął.

Starzec szczykał zębami. Kulił się w sobie i przesywały go konwulsyjne dreszcze. Pewnie o mało nie zagłodził się na śmierć, pomyślał Joseph. Poprosił Tubylców o przyniesienie jakiegoś jedzenia z wozu. Dwóch woźniców poszło i przyniosło wędzone mięso, suszone jagody i butelkę tubylczego wina mlecznej barwy. Waerna przyglądał się jedzeniu z zainteresowaniem, ale też z wahaniem. Joseph pomyślał, że może jedzenie Tubylców jest mu nieznanne, ale przyczyna była zupełnie inna – starzec nie jadł od tak dawna, że jego żołądek buntował się na samą myśl o jedzeniu. W końcu przeżuł kawałek mięsa i pociągnął ostrożnie łyk wina. Potem było już łatwiej, jadł spokojnie, bez łapczywości, jeden kęs po drugim, aż pochłonął wszystko.

Policzki lekko mu się zaróżowiły. Najwyraźniej wracały mu siły. Spojrzał na Josepha i rzekł, prawie we łzach:

– Jesteście bardzo dobrzy, Panie. Nigdy nie widziałem niedobrego Pana. Jak zabijali moich, myślałem, że mi serce Pęknie. – Zamilkł na chwilę, po czym odezwał się innym tonem: – Dlaczego tu jesteście, Panie? To nie miejsce dla was. Niebezpiecznie tu.

– Tylko przejeżdżam przez tę okolicę. Jadę na południe, do mojego domu na Helikis.

– Ale jak chcecie to zrobić? Jeśli was znajdą, zabiją. Wszędzie zabijają Panów.

– Wszędzie? – spytał Joseph, myśląc o Domu Keilloran.

– Wszędzie. Taki był plan i tak zrobili. Panowie Rodu Ludbrek i Rodu Getfen, wiem też o Panach z Rodu Siembri i słyszałem o Rodzie Fyelk, Rodzie Odum, Rodzie Garn. Taki był plan, powstać przeciwko Wielkim Rodom Manzy, palić budynki, zabijać Panów. I widziałem, co się dzieje. Zrobili to. Nie żyją, wszyscy nie żyją we wszystkich Domach. Albo prawie wszyscy. Drogi zamknięte. Patrole rebeliantów wyłapują tych, co uciekli.

Waerna znów drżał. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpląkać.

Joseph sam poczuł, jak ogarnia go straszliwa fala rozpacz. Nie był przygotowany aż na takie rozczarowanie. Przez całą ucieczkę przez las miał nadzieję, że znajdzie ratunek w Domu Ludbrek, co zakończy jego samotną tułaczkę i stanie się początkiem powrotu do domu i rodziny, a dotarcie do sterty zgliszcz, gdzie nie ma nic poza popiołem, ruinami i starym steranym człowiekiem, doprowadziło go na skraj duchowej równowagi. Walka o jej utrzymanie nie była łatwa. Zobaczył w duchu cały szereg spalonych i zniszczonych dworów, rozciągający się daleko na południe aż do Przesmyku i triumfujących Ludowych rewolucjonistów patrolujących wszystkie drogi, ostatnich żyjących Panów ściganych i mordowanych jeden po drugim.

Spojrzał na Ulvasa i przemówił w języku Tubylców:

– On mówi, że wszystkie Domy w całej Manzie zostały zniszczone.

– Może tak nie jest, Panie Josephie – odparł łagodnie Tubylec.

– A jeśli tak? Co mam zrobić, jeśli tak jest? – głos Josepha drżał dziwnie i nawet on sam to słyszał. Przez chwilę czuł się samotny i bezradny jak stary Waerna. Te uczucia, słabość, strach, były dla niego nowe. Nie wiedział, że jest do czegoś takiego zdolny. Cóż, nigdy nie miał okazji się w ten sposób sprawdzić. – Co ja zrobię? Dokąd pójdę?

Gdy tylko te pożałowania godne słowa wymknęły mu się z ust, natychmiast ich pożałował. Po raz pierwszy od nocy masakry w Domu Getfen pozwolił sobie na chwilę słabości i zwątpienie co do ostatecznego powodzenia swojej podróży, wydostania się na bezpieczne tereny. „Nie wolno ci niedoceniać trudności, jakim będziesz musiał stawić czoła”, mawiał często Balbus, „ale też nie możesz oddawać się w niewolę strachu”. Joseph od początku wiedział, że samotne pokonanie nieznanego mu kontynentu, aż do miejsc, gdzie jest bezpiecznie, nie będzie łatwe, ale nauczono go odważnie stawiać czoło przeciwnościom, tak też więc zrobił. Gdy tylko z głębin jego umysłu zaczynały wypływać wątpliwości, potrafił odsunąć je na bok. Tym razem, w obliczu strasznej rzeczywistości, tego, co stało się w Domu Ludbrek, pozwolił, by to one wzięły górę, ale tylko na chwilę. Napomniiał siebie w duchu, że nie powinien dopuszczać do tego, by myśli takie przybrały wyraźną formę, a co dopiero wyrażać je głośno w obecności Tubylców i człowieka z Ludu.

Chwile mijały. Jego wybuch nie wywołał u Tubylców żadnej reakcji. Być może wzięli

jego rozpaczliwe pytania za retoryczne albo zwyczajnie nie znali na nie odpowiedzi.

Joseph poczuł, że jego chłodna ocena sytuacji i pewność siebie szybko wracają. To wszystko, pomyślał, jest częścią mojego wychowania, nawet jeśli pozwalam słabościom, by brały górę. Każdy ma jakiś słaby punkt. Nie można pozwalać, by nami rządził, to wszystko. Wszystko, co się wydarza, pozwoli mi odkryć, kim jestem naprawdę.

Zrozumiał jednak, że musi porzucić nadzieję, przynajmniej narazie, na kontynuowanie podróży na południe. Może Waerna miał rację co do upadku wszystkich Wielkich Domów Manzy, a może nie; w każdym wypadku nie mógł jednak prosić Ulvasa i jego towarzyszy, by ryzykowali życiem i eskortowali go dalej, samotna wędrówka też nie miała sensu. Poza wszelkimi innymi problemami, na jakie mógł się natknąć na terytorium opanowanym przez buntowników, jego noga nie wydobrzała jeszcze na tyle, by mógł podjąć samotną podróż. Jedynym racjonalnym wyborem, jaki rysował się przed nim, był powrót do wioski Tubylców i wykorzystanie jej jako bazy dla następnego posunięcia.

Zaproponował Waernie, że zabierze go ze sobą; stary człowiek jednak odmówił. Dom Ludbrek, a raczej to, co z niego zostało, był jego domem. Tu się urodził, powiedział, i tu umrze. Nie wyobrażał sobie życia nigdzie indziej.

Pewnie miał rację, pomyślał Joseph. Próbował sobie wyobrazić Waernę pośród buntowników, którzy wymordowali Panów tego Domu – Panów, których Waerna tak kochał – i którzy obrócili w ruinę ich włości, o które Waerna dbał przez całe swoje życie. Nie, pomyślał, nie, Waerna dobrze zrobił trzymając się z daleka od tych ludzi. Należał do Ludu całym sercem, był lojalnym elementem systemu, który już nie istniał. Tak samo jak Thustin. Dla ludzi z gatunku Thustin i Waerny nie było miejsca w tym strasznym, nowym świecie, który budowali buntownicy w Manzie.

Joseph zostawił Waernie tyle jedzenia, ile tylko, zdaniem Ulvasa, mogli zostawić, i objął go z takim ciepłem i czułością, że stary człowiek przyglądał mu się z niedowierzaniem. Potem wyruszyli z powrotem na północ. Nie pozwalał sobie rozmyślać o tym, że każdy obrót kół wozu oddala go od domu. Być może naiwnością było wyobrażanie sobie, że jego droga powrotna z Domu Getfen do Keilloran będzie przebiegać po linii prostej, ze środka Manzy do Helikis.

Pogoda zaczęła się zmieniać; kiedy ruszyli w stronę wioski, zauważył, że zaczął wiać chłodny wiatr z południa; znak, że zbliża się pora deszczowa.

Joseph żałował, że nie wie nic więcej na temat pogody w Wysokiej Manzie, a teraz stało się całkiem prawdopodobne, że zostanie go tu zima. Jak bardzo może spaść temperatura? Czy spadnie śnieg? Nigdy nie widział śniegu, tylko na obrazku, i nie miał szczególnej ochoty, żeby poznać to zjawisko osobiście. Cóż, przekonamy się, pomyślał.

Ardardin nie wydawał się szczególnie zaskoczony powrotem Josepha do wioski. Zaskoczenie nie odgrywało chyba większej roli w emocjonalnej strukturze Tubylców, czy może raczej Joseph nie wiedział, jak je wyrażają. Naturalne pozdrowienie, jakim przywitał go

Ardardin, podsunęło Josephowi myśl, że wódz plemienia być może od początku wiedział, że Joseph wróci. Zastanawiał się, ile Ardardin wie o zasięgu i powodzeniu rewolucji Ludu.

Ardardin nie wypytywał go o szczegóły dotyczące ich ekspedycji do Domu Ludbrek. Joseph też nie miał ochoty o tym opowiadać, powiedział więc tylko, że w Domu Ludbrek nie znalazł nikogo, kto mógłby mu pomóc. Nie chciał być szczególnie wylewny w obecności wodza Tubylców. Na razie wszystko było zbyt bolesne, by o tym mówić. Ulvas i pozostali, którzy mu towarzyszyli, na pewno zdadzą Adradinowi obszerną relację ze zniszczeń.

Gdy z powrotem znalazł się w pokoju, w którym go uprzednio umieszczono, Joseph spróbował ponownie uruchomić komunikator i skontaktować się z domem. Nie miał specjalnych nadziei na sukces, ale widok zdewastowanego Domu Ludbrek wywołał w nim gorące pragnienie dowiedzenia się, co się dzieje na drugim kontynencie i poinformowania rodziny, że nie zginął podczas rewolucji, która wybuchła w Manzie.

Tym razem urządzenie wydało z siebie dziwny charkot i Joseph dojrzał ciemnoróżową poświatę. Żadne z tych zjawisk nie kojarzyło się z normalną pracą urządzenia, ale przynajmniej komunikator jakoś zareagował, a dotąd był jak martwy od chwili pożaru w Domu Getfen. Może jakaś część systemu znów zaczęła działać.

– Tu Joseph Pan Keilloran – odezwał się. – Chcę rozmawiać z moim ojcem, Martinem Panem Keilloran z Rodu Keillorain na Helikis.

Jeśli komunikator działa, to wygłoszenie tego zdania powinno wystarczyć do ustanowienia połączenia. Spojrzał z niepokojem w różową poświatę, w nadziei, że dostrzeże w końcu znajomy błękit.

– Ojcze, słyszysz mnie? Tu Joseph. Jestem w Górnej Manzie, jakieś sto mil na południe od Domu Getfen.

Zamilkł czekając na odpowiedź. Cisza.

– W Domu Getfen wymordowano wszystkich, w innych Domach także. Byłem w Domu Ludbrek, na południe od Domu Getfen, wszystko leży w gruzach. Stary sługa powiedział mi, że wszyscy Ludbrekowie nie żyją. Słyszysz mnie, Ojcze?

Bezużyteczna różowa poświata. Charkoczący, świszczący odgłos.

– Chcę tylko powiedzieć, Ojcze, że nic mi nie jest. Miałem wypadek w lesie i zraniłem się w nogę, ale ładnie się goi, a Tubylcy troszczą się o mnie. Jestem w pierwszej wiosce Tubylców na południe od Domu Getfen. Kiedy wydobrzeję, ruszam na południe i mam nadzieję, że szybko się zobaczymy. Proszę, odpowiedz. Proszę, próbuj codziennie się ze mną skontaktować.

Przyszła mu do głowy myśl, że to, co powiedział, było bardzo lekkomyślne. Być może system komunikatorów wpadł w ręce rebeliantów, a wtedy mogli przechwycić ten przekaz i wytropić go w wiosce. W takim przypadku już wydał na siebie wyrok.

Przeraziła go ta myśl. Dostrzegł, że nabiera złego nawyku, mówi coś nie przemyślony wcześniej skutków swoich słów. Ale i tym razem nie mógł cofnąć tego, co powiedział. A

może to całe przedsięwzięcie, podróż przez całą Manzę, i tak było skazane na niepowodzenie, prędzej czy później, jakie więc znacznie mogło mieć, że wezwał do siebie rebeliantów? Przynajmniej był cień szansy, że jego wiadomość dotrze do Keilloran, że ojciec usłyszy jego słowa i znajdzie w nich pocieszenie. Może nawet uruchomi jakąś akcję ratunkową. Uznał, że warto podjąć takie ryzyko.

Zdjął bandaże i przyjrzał się nodze. Nadal wyglądała kiepsko. Opuchlizna zmaląła, a siniaki zbladły, brzydkie miejsca, które kiedyś były purpurowo-czarne, teraz zmieniły się w brązowo-żółte cętki. Kiedy jednak usiadł na brzegu swego futrzanego łoża i zaczął ostrożnie zginać nogę, jego kolano zaprotestowało gwałtownie wydając z siebie trzask i Joseph poczuł biegnące wzdłuż całego ciała fale bólu. Być może jego kolano nie ucierpiało w sposób trwały, ale i tak nie było jeszcze w takim stanie, by Joseph mógł wyruszyć w długą podróż.

Joseph poprosił o miskę z wodą i starannie umył nogę. Ulvas przyniósł mu świeżą belę tkaniny i Joseph zabandażował nogę na nowo.

Przez kilka kolejnych dni pozostawili go samemu sobie. Wierny Ulvas przynosił mu regularnie jedzenie, ale inni goście nie pojawiali się. Od czasu do czasu przy otwartych drzwiach gromadziły się wiejskie dzieci i przyglądały mu się bacznie, jakby był eksponatem w muzeum albo dziwolągiem w klatce. Nigdy nie odzywały się ani słowem. W ich małych ukośnych oczkach czaiła się jakaś niezłomna intensywność. Gdy Joseph próbował do nich przemówić, odwracały się i uciekały.

Zaczął się znowu uczyć, po długiej przerwie, wywołując swój podręcznik geografii i wyszukując w nim informacje o klimacie i krajobrazie Manzy, po czym przeszedł do nauki historii, by znów poczytać o Podboju. Chciał zrozumieć, dlaczego Lud z takim okrucieństwem zwrócił się przeciwko Panom, po tylu stuleciach spokojnej akceptacji ich rządów.

Książka nie dostarczała jednak żadnych wskazówek. Zawierała tylko tradycyjny opis, opowiadając o tym, jak Lud przybył na Ojczyznę w pierwszych dniach kolonizacji planet w kosmosie i zajął się uprawą roli; ich cywilizacja uległa degeneracji po kilku stuleciach, gdyż byli to mało inteligentni, zacofani ludzie, którym brakło umiejętności technicznych pozwalających na właściwe korzystanie z gleby i wody ich przybranej ojczyzny. Byli jednak na tyle inteligentni, że zdawali sobie sprawę z tego, iż potrzebna im pomoc i po jakimś czasie zaprosili Panów, by ci pokazali im, jak to robić lepiej; na początku Panowie byli nieliczni, ale wezwali kolejnych, i coraz większa liczba Panów zaczęła wyjaśniać Ludowi, że dojście do dobrobytu nie będzie możliwe, jeśli Lud nie pozwoli Panom na kontrolę środków produkcji i nie zrobi ze wszystkim porządku; wśród Ludu pojawiło się kilku porywczych przywódców, którzy zapoczątkowali ruch oporu wobec Panów; doprowadził on do krótkiej, krwawej wojny, znanej jako Podbój. W całej historii Ojczyzny był to jedyny przypadek tarć między Ludem a Panami – tak twierdził podręcznik. Po jej zakończeniu stosunki pomiędzy oboma tymi klasami ustabilizowały się w sposób stabilny i harmonijny, każda grupa znalazła swoje miejsce i

odgrywała właściwą rolę w życiu planety, i tak było przez bardzo długi czas. Aż do wybuchu rewolucji.

Joseph rozumiał, że naprawdę dynamiczna, ambitna rasa, sprzeciwiałaby się takiemu podbojowi. Nie mógł sobie wyobrazić Panów akceptujących rządy przybyszów z kosmosu; walczyliby, aż Ojczyzna pokryłaby się kałużami krwi, jak to się zdarzało za czasów imperiów na Starej Ziemi. Lud nie był jednak dynamiczny ani ambitny. Przed przybyciem Panów był bliski cofnięcia się do poziomu cywilizacji prehistorycznej. Pod rządami Panów wiodło im się lepiej niż na swoim. I przecież w końcu wcale nie byli niewolnikami. Mieli pełne prawa i przywileje. Nikt ich do niczego nie zmuszał. To, że wykonywali przydzielone im przez Panów zadania na farmach i w fabrykach odbywało się z korzyścią dla nich. Panowie i Lud pracowali razem dla wspólnego dobra: Joseph słyszał to z ust ojca tysiące razy. Wierzył w to. Każdy Pan w to wierzył. O ile Joseph wiedział, wierzył w to także Lud.

Ponieważ system zawsze tak świetnie działał, Joseph nigdy nie miał powodu, by postrzegać ludzi ze swojej klasy jako ciemnościeli, czy Lud jako ofiary agresji. Tymczasem system właśnie przestał działać. Joseph żałował, że nie może podyskutować o niedawnych wydarzeniach w Manzie z Balbusem. Czy rebelianci byli brutalnymi mordercami, czy też ich nienawiść miała jakieś podstawy? Joseph nie dostrzegał żadnego usprawiedliwienia dla palenia i mordowania, ale może z punktu widzenia buntowników było to konieczne? Nie miał pojęcia. Żył dotąd jak pod kloszem; nigdy nie miał okazji kwestionować podstawowych założeń systemu. Teraz nagle wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Wszystko. Był za młody i zbyt niedoświadczony, żeby samodzielnie zmagać się z tymi problemami. Potrzebował kogoś starszego, kogoś z perspektywą, z kim będzie mógł to omówić. Kogoś jak Balbus. Ale Balbusa już nie było.

Kilka dni później, ku swojemu zaskoczeniu, Joseph zaangażował się w parę dyskusji z Ardardinem, które przypominały mu rozmowy z jego nieżyjącym już nauczycielem. Ardardin nabrał nawyku odwiedzania go popołudniami. Teraz, gdy Joseph na dobre rozgościł się w wiosce, a na jego usługi uzdrowiciela istniał stały popyt, Ardardin przychodził i prowadził go do wiejskiej izby chorych, gdzie leżał jakiś wieśniak z paskudnym owrzodzeniem, silnym bólem głowy albo dziwną opuchlizną na udzie i czekał, aż Joseph go uleczy.

Joseph nie próbował już nawet walczyć z niechcianą rolą wiejskiego znachora. Przestał odczuwać zakłopotanie z powodu tej komedii. Chcieli, żeby odgrywał taką rolę, więc odgrywał ją najlepiej jak umiał i z kamienną twarzą. Przede wszystkim jego zabiegi często powodowały dobroczynny skutek, choć Joseph posiadał jedynie podstawowe umiejętności medyczne i nie wiedział, jak sobie radzić ze schorzeniami u istot, które do niego przyprawiano. Tubylcy łatwo ulegali sugestii. Mieli taką wiarę w jego umiejętności, że położenie rąk i wymamrotanie paru słów często wystarczało. Przyzwyczyli się do oglądania takich niewytłumaczalnych rzeczy. Nie wpajali mu bynajmniej wiary w jego własne magiczne moce, tylko przekonanie, że wiara czasem czyni cuda niezależnie od cynizmu

cudotwórcy. A wszystkie magiczne uzdrowienia w jego własnych oczach usprawiedliwiały jego obecność wśród nich. Jadł ich żywność i zajmował miejsce w ich wiosce, gdy kuśtykał po niej czekając, aż noga wyzdrowieje. Dawał im jakąś ulgę w cierpieniu, skoro tylko czuli, że tę ulgę im daje. Musiał tylko pilnować się, żeby nie zacząć wierzyć we własne magiczne moce.

Kolejną możliwością, którą się czasem martwił było to, że jego usługi medyczne nabiorą takiej wartości dla wieśniaków, że będą próbowali go zatrzymać, nawet gdy jego noga wydobrzeje. Nie mieli żadnego powodu, żeby troszczyć się o to, czy Joseph wróci do domu czy nie, a wiele powodów, by chcieć go zatrzymać za zawsze.

Nie był to jednak problem, z którym przyszedłoby mu się zmagać teraz. Tymczasem starał się być przydatny: sprawował cenną funkcję, a to nie była trywialna sprawa. Celem podróży na północny kontynent było przygotowanie go do zadań, jakie kiedyś miały go czekać jako Pana Domu Keilloran, a choć jego ojcu nigdy nie przyszedłoby do głowy, że częścią tego przygotowania będzie aplikowanie zabiegów medycznych w wiosce Tubylców, dla Josepha było wystarczająco jasne, że było to całkowicie stosowne zadanie dla przyszłego Pana. Nie unikał obowiązków. A zwłaszcza nie unikał ich z trywialnego powodu. Tubylcy pozwolą mu odejść, tego był pewien, kiedy nadejdzie czas.

Im więcej znachorskich praktyk skuteczniał, tym częściej kusił go rzeczy wymagające odwagi; chciał wypróbować coś, co będzie prawdziwą medycyną, a nie leczeniem wiarą. Joseph nie czuł się gotowy do przeprowadzenia jakiejś większej operacji i nie sądził, żeby taki moment kiedykolwiek nadszedł, ale, korzystając z narzędzi ze swojego podręcznego zestawu, zaczął zszywać pomniejszych rany, nacinać wrzody i wrywać popsute zęby. Bał się tylko, że kiedyś poproszą go o odebranie porodu, a w tym przypadku brakowało mu całkowicie podstawowej wiedzy. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Proces sprowadzania na świat młodych tej rasy pozostał dla niego tajemnicą.

Zaczął także uczyć się czegoś o tubylczych lekach ziołowych i używał ich jako uzupełnienia własnej pracy. Zastanawiało go, jak Tubylcy zdołali opanować stosowanie tak licznych ziół i naparów i równocześnie nie odkryć przynajmniej podstawowych technik medycznych. Nie znali chirurgii, nie umieli opatrywać ran, nie potrafili nastawić złamania. Doskonale wychodziło im wszak znajdowanie ziołowych leków zmniejszających gorączkę, znoszących ból, odblokowujących przewód pokarmowy, i wiele, wiele innych. Ich całkowita ignorancja dotycząca mechanicznego aspektu medycyny, równa prawie obojętności, była, zdaniem Josepha, jeszcze jednym dowodem na ich obcą naturę. Oni nie są tacy jak my. Mają nie tylko inne ciała, ale i umysły.

Jego nauczycielem w dziedzinie zielarstwa był niejaki Thiyu, wioskowy mistrz w tej sztuce. Joseph nigdy się nie dowiedział, czy Thiyu jest samcem czy samicą, ale jedno było pewne: Thiyu był stary. Jego skóra miała kolor wyblakłego brązu, pomarańczowe refleksy nie były już widoczne, a podgardle straciło jędrność i Joseph nie widział, by kiedykolwiek się



nadymało. Głos Thiyu był cichy i niepewny, jak delikatna nić, która zaraz pęknie na dwie części.

W chacie Thiyu za izbą chorych znajdowało się ze sto różnych, choć wyglądających identycznie, ceramicznych słoików, nieoznaczonych, a każdy z nich zawierał inny proszek czy sok, który Thiyu wyekstrahował z jakiejś tutejszej rośliny. Joseph nigdy nie pojął, jakim cudem Tubylec wiedział, co znajduje się w którym słoiku. Opisywał Thiyu przypadek, nad którym właśnie pracował, a ten podchodził do swojej kolekcji słoików i wybierał dla niego odpowiednie lekarstwo. I to wszystko.

Joseph wiedział, że znajomość tych leków może być cenna, więc pytał Thiyu o każde stosowane lekarstwo, jego nazwę, właściwości, opis rośliny, z której pochodziło. Starannie wszystko zapisywał. Jeśli kiedyś uda mu się wrócić do domu, te zapiski będą częścią służby, jaką Panowie muszą zapewnić światu. Czy ktokolwiek z Panów, zastanawiał się Joseph, zadał sobie kiedyś trud badania tubylczych leków?

On i Thiyu nigdy nie rozmawiali o niczym innym niż zioła i wywary, a i o tym bardzo lakonicznie. Nie prowadzili rozmów. Z innymi też nie rozmawiał, nawet z Ulvasem. Ardardin był jedynym Tubylcem w wiosce, z którym Josepha łączyło coś na kształt przyjaźni. Kiedy Joseph zakończył już pracę w izbie chorych, Ardardin często odprowadzał go do jego izby, co stopniowo przerodziło się w rytuał zostawiania na krótką pogawędkę.

Tematy były dość szerokie, ale zawsze powierzchowne. Rozmawiali o Helikis, o miejscu, o którym Ardardin najwyraźniej nie wiedział nic, albo o problemach, jakie jego lud miał tego lata z plonami, albo pracy Josepha w izbie chorych, albo o coraz lepszym stanie nogi Josepha, albo o pogodzie, albo napotkaniu jakiegoś rzadko występującego dzikiego zwierzęcia w pobliżu wioski, ale nigdy o niczym, co byłoby związane ze stosunkami między ludźmi a Tubylcami czy wojnie domowej między Panami a Ludem. Ardardin narzucał tempo, a Joseph szybko nauczył się, jakie tematy są odpowiednie, a jakich nie można poruszać.

Te rozmowy najwyraźniej sprawiały Ardardinowi przyjemność, najwidoczniej czerpał z nich dużo radości, jakby od dawna tęsknił za inteligentnym towarzystwem w wiosce. Joseph był zaskoczony, gdy spostrzegł, że rozmawiają jak równy z równym, to znaczy siedzą twarzą w twarz, wymieniają pomysły i informacje w proporcjach jeden do jednego, choć on był zaledwie nastolatkiem, który uciekł z pogromu, a Ardardin osobą o znacznej pozycji i władzy, wodzem wioski. Może Ardardin nie zdawał sobie sprawy z tego, jak młody jest Joseph. Pewnie, Joseph był Panem, miał wśród ludzi swojej klasy pewną pozycję, był dziedzicem wielkiego majątku, leżącego daleko stąd. Dlaczego jednak miało to robić wrażenie na Ardardinie? Dlatego, że Joseph wykonywał obowiązki wioskowego szamana? Może. Bardziej prawdopodobne było jednak, że Ardardin obdarzał go uprzejmością, jaką, w swoim przekonaniu, powinien obdarzyć każdą dorosłą istotę inteligentną. Joseph był przekonany, że w ich rozmowach jest jakieś poczucie równości. Poczul, że mu to pochlebia. Nikt dotąd nie rozmawiał z nim w ten sposób. Uznał to za wielki komplement.

Potem charakter rozmów z Ardardinem zaczął się zmieniać. Transformacja była prawie niezauważalna. Joseph nie był w stanie określić, kiedy się zaczęła, ani też kiedy rozmowy zaczęły się skupiać wokół jednego tematu, a mianowicie przekonań religijnych Tubylców i świata, jakie te przekonania rzucały na ostateczne przeznaczenie wszystkich istot na Ojczyźnie. Równość, jaka panowała podczas rozmowy, uległa transformacji. Joseph ponownie znalazł się w doskonale sobie znanej roli ucznia słuchającego mistrza. Choć Ardardin raczej traktował go jak uczonego poszukującego informacji, a nie nowicjusza potykającego się w mrokach własnej niewiedzy, Joseph nie miał złudzeń co do zmiany, jaka zaszła w ich stosunkach.

Być może proces ten zapoczątkowała wzmianka, jaką pewnego popołudnia Ardardin poczynił na temat „widzialnego nieba” i „prawdziwego nieba”.

– Przecież widzialne niebo to prawdziwe niebo – rzekł Joseph ze zdumieniem. – Czyż nie tak?

– Ach – odparł Ardardin – niebo, które widzimy, to coś bardzo prostego i trywialnego. Prawdziwe znaczenie ma niebo leżące za nim, niebo bogów, sfera niebiańska.

Joseph miał problem ze zrozumieniem. Mówił dość biegle językiem Tubylców, ale abstrakcyjne określenia, jakich użył Ardardin, wymagały wielu nowych słów, idei, z którymi dotąd nie miał do czynienia i w miarę rozwoju dyskusji musiał prosić o objaśnienia. Krok po kroku rozumiał w końcu rozróżnienie wprowadzone przez Ardardina: świat zjawisk fizycznych z jednej strony i o wiele ważniejszy świat sił niebiańskich, gdzie żyli bogowie, z drugiej. Niebo, w którym mieszkali bogowie, było rzeczywiste, niebo, którego nie dało się dostrzec oczami śmiertelnych, było niebem, które dawało siłę spajającą cały świat.

Josepha nie zaskoczyło, że Tubylcy mają bogów. Wszystkie ludy miały jakichś bogów. Nic o nich jednak nie wiedział. Nigdy nie natrafił na żadne teksty o mitologii Tubylców. W okolicach Domu Keilloran żyli Tubylcy; spotykało się ich wszędzie, ale – Joseph dostrzegł to teraz – przyjmowano ich za coś zupełnie naturalnego, za element krajobrazu, na który on sam nigdy nie zwracał większej uwagi, poza nauczeniem się ich języka, co i tak należało do obowiązków każdego Pana. Owszem, jego ojciec zbierał artefakty. Można jednak wypełnić całe magazyny garnkami, rzeźbami i tkaninami i nadal nic nie wiedzieć o duszy ich twórców. Choć Balbus mówił, że Martin badał filozofię Tubylców, nigdy nie podzielił się on z synem wynikami.

Joseph wyteżył umysł, by zagłębić się w tajemnice, jakie właśnie ujawniał Ardardin, zastanawiając się, czy te same zagadnienia studiował ojciec. Może zresztą nie. Może nigdy dotąd nie ujawnili ich człowiekowi.

Świat, jaki nas otacza, mówił Ardardin, góry, morza, rzeki i lasy, miasta i pola, wszystkie aspekty dotykalne, to tylko ziemski odpowiednik niebiańskiego świata na niebie. Tamten świat jest światem bogów, światem prawdziwym, a wszystko, co jest tutaj, jest jedynie bladą imitacją. Wszystko, co widzimy wokół nas, wyjaśniał Ardardin, to nieudolna próba

imitowania przez istoty śmiertelne pierwotnego aktu stworzenia własnego świata przez bogów.

– Rozumiesz mnie? – spytał Ardardin.

– Niezupełnie – odparł Joseph.

Ardardin nie wyglądał, jakby go to zmartwiło. Mówił dalej o rzeczach, które dla Josepha były zupełnie nowe, o świętej górze pośrodku świata, gdzie świat widzialny stapia się z niewidzialnym, osi, wokół której wszystko wiruje, miejscu, gdzie spotyka się czas przyziemny z czasem mitycznym, miejscu, będącym pępkiem świata. Rozróżnienie między światem rzeczy żyjących a światem bogów, czasem światowym i czasem boskim, wydawało się Tubylcom oczywiste. Ardardin przedstawił to tak, jakby świat zwykłych zjawisk był zaledwie filmem, powłoką, szkicem, rzeczą płytką i trywialną, lecz połączoną najbardziej potężnymi więzami ze światem boskim, gdzie istniała prawdziwa rzeczywistość.

Wszystko to było na swój sposób fascynujące, ale umysł Josepha nie był przyzwyczajony do takich metafizycznych rozróżnień. Było w tym jakieś dziwne piękno, tak jak piękna bywa teoria matematyczna, mimo że nie ma sposobu na zastosowanie jej w praktyce. Po każdej rozmowie z Ardardinem robił notatki za pomocą dyktafonu i porządkował sobie w głowie informacje, kiedy były jeszcze świeże. W ten sposób utwierdzał się w przekonaniu, że kiedyś wydestanie się z Manzy cało, że dotrze do Helikis i podzieli się z innymi tak znakomitymi odkryciami na temat obcej kultury.

Joseph wiedział, że nawet najbardziej zawiła teoria matematyczna stanowi ważną metodę opisywania wszechświata, przynajmniej dla tych, którzy byli w stanie ją zrozumieć. Joseph nie mógł jednak traktować tego, co opowiadał mu Ardardin, inaczej niż jako zbiór bajek, uroczych, prymitywnych mitów. Można było zachwycać się nimi, ale na poziomie podstawowym nie można było w nie wierzyć, na pewno nie w taki sam sposób, jak w to, że sześć plus siedem daje trzynaście, albo że kwadrat przeciwprostokątnej równa się sumie kwadratów dwóch pozostałych boków. Te rzeczy były w naturalny sposób niepodważalnie prawdziwe. Opowieści Ardardina były metaforami, sprytnymi zmyśleniami. Nie opisywały niczego rzeczywistego. Nie były z tego powodu mniej interesujące, jak sądził. Nie miały dla niego jednak znaczenia, były jedynie ciekawostką związaną z obcą cywilizacją.

Jego rozmowy z Ardardinem trwały już prawie tydzień, kiedy Tubylec nagle przerwał opowiadanie o legendach i nagle wciągnął zaskoczonego Josepha w dyskusję na współczesne tematy polityczne.

– Twoi ludzie nazywają się Panami – rzekł Ardardin. – Dlaczego? Czego jesteście Panami?

Joseph zawahał się.

– Hm, Panami świata – odparł. – To znaczy, tego świata. Używając waszych określeń, widzialnego świata.

– Świetnie. Panami widzialnego świata. Rozumiecie więc, że bycie panami widzialnego

świata nie ma szczególnego znaczenia?

– Dla nas ma.

– Dla was tak. Ale nie dla nas, gdyż sam świat widzialny jest niczym, jaką więc wartość ma bycie jego Panem? Nie chcę być tu nieuprzejmy. Chciałem tylko przedstawić ci coś, nad czym powinieneś się zastanowić, a mianowicie nad tym, że twój lud nie posiada niczego rzeczywistego. Nazywacie się Panami, a tak naprawdę jesteście panami nicości. Na pewno nie naszymi panami; a wygląda na to, że nawet nie jesteście już panami istot zwanych Ludem. Nie mogę nic o nich powiedzieć. Ale dla nas, Panie Josephie, wy, Panowie, nigdy nie mieliście większego znaczenia.

Joseph był zdezorientowany.

– Ale nasze miasta... nasze drogi...

– To wszystko są rzeczy widzialne. Tymczasowe. Nie boskie. Nie naprawdę rzeczywiste.

– A moja praca w izbie chorych? Ludzie chorują. Ich ból jest rzeczywisty, czyż nie? Dotykam chorej osoby rękami i jest jej lepiej. Czy to jest rzeczywiste? Czy to też iluzja?

– To wtórny rodzaj rzeczywistości – odparł Ardardin. – Tu żyjemy w prawdziwej rzeczywistości. W sferze bogów.

Josephowi pękała głowa. Przypomniał sobie, jak Balbus mówił mu coś podobnego: że w religii Tubylców jest coś takiego, co pozwala im uważać obecność ludzkich osadników za rzecz zupełnie nieistotną – jakby Panowie i Lud nigdy tu nie przybyli. Po prostu lekceważyli ten fakt. Joseph miał wrażenie, że Ardardin zmierza do tego tematu. Bez Balbusa czuł się jednak zagubiony. Te abstrakcje go przerastały.

– Nie chciałem umniejszać tego – odezwał się Ardardin – co dla nas zrobiłeś, odkąd przybyłeś do naszej wioski. W przypadku twojego ludu rzeczywiście wygląda to tak, jakbyście mieli moc bogów. Latacie wśród gwiazd jako bogowie. Zlecieliście z nieba jak bogowie. Rozmawiacie na wielkie odległości, co dla nas jest jak magia. Budujecie z łatwością miasta i drogi. Macie sposoby uzdrawiania, których my nie znamy. Tak, to co wy, Panowie, osiągnęliście w naszym świecie, jest na swój sposób wielkie. Macie wiele powodów, by uważać się za bogów. Jeśli nawet tak jest – a wcale tak nie twierdzą – czy sądzicie, że to był pierwszy raz, kiedy bogowie albo istoty podobne bogom, pojawiły się wśród nas?

– Mówisz o innych gościach z kosmosu? – spytał zaskoczony Joseph.

– Z niebios – odparł Ardardin. – Z nieba, które jest za niebem, z niebiańskiego nieba, prawdziwego nieba poza naszym zasięgiem. Dawno temu pojawili się wśród nas bogowie pomniejsi, bogowie-nauczyciele, bogowie, którzy pokazali nam, jak budować domy, jak uprawiać pola, jak wykonywać narzędzia i sprzęty.

– Tak, bohaterowie kultury, tak ich nazywamy.

– Zrobili, co mieli zrobić i odeszli. To byli tylko tymczasowi, podrzędni bogowie. Prawdziwi bogowie niebiańskiego nieba to jedyni bogowie, którzy nie przemijają i oni nie pozwalają się oglądać. Jeśli zachodzi taka konieczność, wysocy bogowie wysyłają nam kogoś

z pomniejszych bogów, by ujawnił nam ich boskie zamiary. Nie należy mylić tych bogów z prawdziwymi. Nie potrafimy powiedzieć, czy to, co robią pomniejsi bogowie jest naśladowaniem tego, co robią bogowie prawdziwi, ani czy to jest właściwe, sami uczymy się tych rzeczy naśladowując pomniejszych bogów, którzy z kolei naśladowają tych potężniejszych. A wy, którzy nazywacie siebie Panami, jesteście tylko najnowszymi wysłannikami wysokich bogów. Nie pierwszymi i nie ostatnimi.

Joseph otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Traktujecie nas jak przelotne zjawisko, tak?

– A czym innym mielibyście być? Taki już jest świat. Będziecie tu przez jakiś czas, a potem zejdziecie ze sceny, jak inni bogowie przed wami. Bo tylko prawdziwi bogowie są wieczni. Zaczynasz to dostrzegać, Panie Joseph? Zaczynasz rozumieć?

– Tak. Tak, chyba tak.

Poczuł się, jakby wielkie wrota stanęły przed nim otworem.

Teraz zrozumiał bierność Tubylców, ich pozorną obojętność na przybycie Panów i Ludu przed nimi. Nie mamy dla nich żadnego znaczenia, chyba że przekazujemy im wolę bogów. Jesteśmy tylko cieniami prawdziwej rzeczywistości. Jesteśmy krótkotrwałym odbiciem prawdziwych bogów. Mamy swoje pięć minut na tej planecie, a kiedy wszystko się skończy, zejdziemy ze sceny, a Tubylcy zostaną, podobnie jak ich wieczni bogowie w niebie.

Może nasz czas już przeminął, rozmyślał Joseph, a przed oczami stanęły mu poczerwiałe ruiny Domu Ludbrek. Zadrżał.

– Zatem fakt, że pojawiliśmy się tu, zajęliśmy znaczne obszary waszej planety, zbudowaliśmy tamy i drogi, i całą resztę, jest dla was całkiem nieistotny – rzekł. – Nie mamy dla was żadnego znaczenia. Czy tak?

– Nie rozumiałeś mnie, Panie Joseph. Ważne jest dla nas to, co bogowie uznają za stosowne. Przesłali was w jakimś celu, choć ten cel jeszcze nie został nam objawiony. Zrobiliście wiele dobrych rzeczy, zrobiliście kilka złych rzeczy, a od nas zależy, czy chcemy się zastanawiać nad waszą obecnością na tym świecie. Chcemy. Przyjrzymy się, poczekamy, dowiemy się. Pewnego dnia dowiemy się, po co was przysłano.

– Ale wtedy nas już nie będzie.

– Pewnie tak. Wasz cykl się skończy.

– Nasz cykl?

– Wszystko na świecie odbywa się cyklami. Jeden przychodzi po drugim w określonej kolejności. Teraz żyjemy w okresie zniszczenia i rozpadu. Będzie coraz gorzej. Już widzieliśmy oznaki. Kiedy nadejdzie koniec cyklu, rok się skróci, miesiąc zaniknie, dzień się skurczy. Przyjdzie ciemność i ogień, a potem nadejdzie odrodzenie, nowy świt, początek nowego cyklu.

Joseph rozumiał, że to coś więcej niż obojętność.

Była to obdarzona całkowitą pewnością negacja wszystkich małości jego ludu. Panowie,

dobre sobie! Joseph dostrzegł, że dla Tubylców nic na świecie nie miało znaczenia poza samymi Tubylcami, których bogowie mieszkali gdzieś wysoko w niewidzialnym niebie i objawiali się w dziwny sposób. Ludzie, którzy zajęli tak znaczne tereny ich świata, byli tylko chwilową niedogodnością, uciążliwym zjawiskiem przyrodniczym, jak burza piaskowa, powódź, gradobicie. Wydaje nam się, że budowaliśmy tu nową cywilizację, rozmyślał. Próbowaliśmy być uprzejmi w stosunku do tubylców, ale uważaliśmy tę planetę za swoją, odebraną im: nazywaliśmy ją naszą Ojczyzną. Błąd. W oczach Ardardina i jego rasy jesteśmy tylko przemijającym zjawiskiem. Jesteśmy narzędziami w rękach nieznanych bogów, przysłanymi, by zaspokoić ich potrzeby, nie nasze.

Dziwne. Joseph zastanawiał się, czy będzie w stanie wyjaśnić to ojcu. Jeśli w ogóle jeszcze zobaczy Dom Keilloran.

Nie mógł zbyt długo pozwalać sobie na luksus uczestniczenia w dysputach. Nadszedł czas, by poważnie pomyśleć o wyruszeniu na południe. Z jego nogą było już prawie dobrze. Choć życie w tej przyjaznej wiosce i długie filozoficzne dysputy z wodzem były bardzo przyjemne, wiedział, że nie może stracić z oczu podstawowego celu: powrotu do domu.

Sytuacja poza granicami wioski Ardardina najwidoczniej ulegała nieustannemu pogorszeniu. Tubylcy z innych wiosek pojawiali się dość często i zdawali relację z tego, co dzieje się w szerokim świecie. Joseph nigdy nie miał okazji sam porozmawiać z tymi gośćmi, ale dowiedział się od Ardardina, że cała Manza stanęła w ogniu wojny: wiele Domów Panów z całego północnego kontynentu zniszczono, drogi były zamknięte, wszędzie można było spotkać maszerujące oddziały rewolucjonistów. Podobno na niektórych obszarach Panowie przystąpili do kontraktaku, choć ta wiadomość nie była pewna. Joseph odniósł wrażenie, że walki ze sobą toczy też Lud różnych grup, niektóre były lojalne wobec Panów, inne przysięgły wierność buntownikom. Bandy uciekinierów przedzierały się na południe, próbując dotrzeć do Przesmyku Helikis, za którym było już bezpiecznie. Jacyś Panowie na pewno przetrwali, pomyślał Joseph. Ardardin jednak nic na ten temat nie wiedział. Nie widział potrzeby wypytywania swoich informatorów o takie szczegóły.

Chaos ten najwyraźniej nie miał wielkiego wpływu na samych Tubylców. Joseph pojął, jak bardzo ich życie było ograniczone do wioski i jak wątłe więzy łączyły jedną wioskę z drugą. Dopóki żadne wojsko nie przemaszerowało po ich polach i plony były dobre, walka Panów z Ludem niewiele ich obchodziła. Dzięki dyskusjom z Ardardinem zrozumiał, jaki był ich stosunek do tego wszystkiego.

Handel między wioskami nadał kwitł, jakby nic się nie wydarzyło. Ardardin zaproponował Josephowi, że można to jakoś wykorzystać. Inne wioski na planowanej trasie pewnie też chętnie skorzystałyby z usług uzdrowiciela. Jako że Joseph mógł teraz podróżować, Tubylcy zaproponowali, że przetransportują go do jednej z najbliższych wiosek, gdzie zajmie się problemami medycznymi wymagającymi jego uwagi, a potem mieszkańcy tej wioski przewiożą go do następnej, i tak dalej, aż dotrze do punktu, z którego będzie mógł

bezpiecznie wyruszyć do Helikis.

Przypominając sobie własne obawy, że ludzie Ardardina mogą nie pozwolić mu na opuszczenie wioski, Joseph poczuł wielką ulgę i wdzięczność za okazaną mu chęć pomocy w takiej podróży.

Przyszło mu jednak do głowy, że uznanie tego za dobroć może być równie mylne, co wcześniejsze obawy o bycie wziętym w niewolę. Błędem było, pomyślał, przypisywać konwencjonalne ludzkie uczucia – altruizm, pychę, wszystko inne – Tubylcom, czy też interpretować ich motywy w sposób wywodzący się z ludzkiego myślenia. W kontaktach z Ardardinem i jego ludem popełniał ten błąd nieustannie, ale teraz już wiedział, że można go uniknąć. To były obce istoty. W ciągu milionów lat pokonały zupełnie inną ścieżkę rozwoju ewolucyjnego. Chodzą jak my, na tylnych nogach, mają język, w którym są rzeczowniki i czasowniki, wiedzą, jak uprawiać pola i wykonywać ceramikę, ale to w żaden sposób nie czyni ich ludzkimi, i należy ich akceptować na ich warunkach, lub wcale.

Doświadczył tego po raz kolejny, gdy nadszedł dzień odjazdu. Wyobrażał sobie, że nastąpi pełne emocji pożegnanie, ale szybko zrozumiał, jak głupie było to wyobrażenie. Ardardin nie zdradził ani cienia żalu z powodu odjazdu Josepha i w żaden sposób nie dał mu do zrozumienia, że to, co między nimi wyrosło, można nazwać przyjaźnią; nie padło ani słowo podziękowań za jego pracę w izbie chorych, ani za popołudniowe rozmowy. Po prostu stał i patrzył, gdy Joseph wchodził na wóz, który znów miał go zabrać na południe, a kiedy wóz wyjeżdżał z wioski, Ardardin odwrócił się i wszedł do chaty, i to było całe pożegnanie.

Nie są do nas podobni, pomyślał Joseph. Jesteśmy dla nich tylko przemijającym zjawiskiem.

### 3

I oto znów jechał na wozie zaprzężonym w tępookie jaramiry, i znów podróżował z nim Ulvas, wraz z dwoma innymi Tubylcami, którzy nosili imiona Casqui i Paca. Joseph nie miał pojęcia o trasie, jaką mieli teraz pokonać. W języku Tubylców najwyraźniej nie istniało takie słowo jak „mapa”, a Ardardin nie przekazał mu informacji o położeniu następnej wioski.

Najpierw posuwali się tą samą niełatwą, krętą drogą, wyłożoną kamieniami i wąską, która zaprowadziła ich do Domu Ludbrek. Niewątpliwie była to stara tubylcza droga. Bardzo stara. Pięć tysięcy lat? Dziesięć? Nadawała się wyłącznie dla takich nieporadnych, skrzypiących pojazdów jak ten wóz. Przez te wszystkie wieki i dziesiątki wieków od jej wybudowania prawdopodobnie nic się w niej nie zmieniło, może czasem ktoś uzupełnił obłuzowany kamień. Była to spokojna wiejska droga; Tubylcy nigdy nie mieli powodu, by zamienić ją w autostradę.

Przyszło mu do głowy, że dla Tubylców czas musi praktycznie stać w miejscu. Patrzyli na wszystko przez pryzmat wieczności, niewidzialnego nieba i ukrytych bogów. Ich bogowie nie byli specjalnie zainteresowani zmianami, i oni też nie. Przy nich nawet tak niemrawe stworzenia jak Lud wyglądały na bardzo energiczne. A i Lud, pomyślał z goryczą, nie zachowuje się dziś niemrawo.

Tak jak i podczas poprzedniej podróży wiał chłodny wiatr z południa, tylko o wiele mocniejszy i bardziej wilgotny, widomy znak, że pora deszczowa już zapanowała na południu, ale wysyła swoje zwiastuny na północ. Joseph miał wrażenie, że wiatr nigdy nie przestaje dmuchać. Obracał się na wozie na wszystkie strony, żeby uniknąć silnych, uporczywych podmuchów.

Drugiego dnia tej nudnej podróży nadal posuwali się drogą prowadzącą w stronę Domu Ludbrek. Joseph miał nadzieję, że nie trafią tam ponownie. Po południu pojawiła się jednak po lewej stronie druga droga, równie niepozorna, jak ta, którą jechali i woźnica Casqui zmusił pojazd do skrętu, wykrzykując do jaramirów jakieś ostro brzmiące słowa.

Teraz jechali bardziej za wschód niż na południe, ale krajobraz nie zmienił się. Były to nadal płaskie tereny rolnicze, czasem tylko pojawiała się pagórkowata łąka, a w oddali niskie wzgórza pokryte purpurowymi drzewami.

Późnym popołudniem dostrzegł na horyzoncie wielką, nowoczesną autostradę. Biegła z



północy na południe i przecinała ich kierunek.

– Wchodź pod futra – odezwał się Ulvas. – Czasem sprawdzają przejeżdżające wozy.

– Kto? – spytał Joseph. – Panowie czy Lud?

Ulvas wykonał gest skrzyżowanymi rękami, tubylczy odpowiednik wzruszenia ramionami.

– Wszystko jedno, kto. Przecież to bez znaczenia, prawda?

Joseph dostrzegł, że droga Tubylców zbliża się do wielkiej autostrady, zaprojektowanej przez Panów i zbudowanej przez Lud. Kończyła się na jej skraju, i – jak sądził – ciągnęła dalej po drugiej stronie. Szeroka i gładka, była jak ściana rozcinająca pole, zaznaczając miejsce, gdzie spotykały się dwie kultury, rdzenna kultura tego świata i kultura Panów. Co myśleli Tubylcy, gdy ich krainę zaczęły przecinać autostrady? Pewnie nic, odpowiedział sobie Joseph. Autostrady nic dla nich nie znaczyły. Panowie nic dla nich nie znaczyli. Ten świat był tylko cienką warstwą nałożoną na niewidzialny świat, który był prawdziwą rzeczywistością.

W obu kierunkach autostrady pędziły wielkie ciężarówki, świeżo przemalowane na wojskowe kolory. Najprawdopodobniej należące do buntowników. Na całym kontynencie nie było tylu Panów, żeby stworzyć prawdziwe wojsko. Wyglądało na to, że zrobił to o wiele bardziej liczny Lud i wyposażył je we wszystkie przemysłowe i handlowe pojazdy z całej Manzy. Wspominając pierwszy dzień w lesie po ucieczce z Getfen, Joseph zadrżał na samą myśl, że rewolucjoniści – ten Lud, uważany za tępy i ograniczony – był w stanie uknuć plan tak potężnego buntu, a potem wprowadzić go w czyn, a Panowie, klasa dominująca, szczytująca się swoim intelektem, nie wykryła, że coś się szykuje. Zastanawiał się, w jakim to niechlubnym celu ciężarówki tak pędzą tam i z powrotem.

Nad autostradą rozciągnięto kładkę, po której takie pojazdy, jak tubylczy wóz, mogły przejechać na drugą stronę. Joseph ułożył się pod stertą kwaśno pachnących futer z tyłu wozu, a Ulvas poprawił je, by nie było nic widać. Joseph nigdy nie przypuszczał, że stos futer może tyle ważyć. Przygniatały go, a znajdujące się najbliżej jego twarzy było tak blisko, że o mało nie udusił się od stęchłego, skórzastego odoru jego spodniej strony. Zacerpnięcie wystarczającej ilości powietrza, by dało się oddychać, także nie było łatwe. Zastanawiał się, ile czasu zajmie mu pokonanie autostrady. Jeszcze minuta albo dwie i nie będzie miał wyjścia, będzie musiał wystawić głowę i odetchnąć. Jeśli będzie miał pecha, zrobi to akurat w obecności jakiegoś patrolu.

Wóz szybko jednak przemknął po pochyłości kładki i znalazł się po drugiej stronie, znów tocząc się po wyłożonej kamieniami tubylczej drodze. Ulvas zdjął z Josepha futra. W samą porę. Josephowi zbierało się na mdłości.

– Jak daleko jeszcze do wioski? – spytał.

– Niedaleko. Niedaleko.

To mogło oznaczać wszystko: godzinę, dzień, miesiąc. Zbliżał się świt. Zobaczył z oddali

jakieś światła i poczuł nadzieję, że to światła wioski, ale po kilku chwilach dostrzegł z rozczarowaniem, że to światła kolejnej autostrady, po której przemieszczały się ciężarówki.

Jakim cudem dotarli tak szybko do następnej autostrady? Była równie duża jak poprzednia, biegła pod kątem prostym w stosunku do ich drogi. W tak słabo zaludnionej okolicy nie było sensu budowania równoległych autostrad w tak bliskiej odległości od siebie.

I nikt niczego takiego nie zrobił, pojął po chwili. Ze znaków wynikało, że to ta sama autostrada co poprzednio, tylko droga Tubylców wiję się, więc teraz pokonali autostradę po raz drugi, w innym miejscu. Widząc, że po jego prawej stronie jest ciemno, uznał, że znowu kierują się na południe. Ulvas ponownie naciągnął na niego stertę skór.

Tym razem przy kładce znajdowało się coś w rodzaju posterunku. Wóz zatrzymał się; Joseph usłyszał gdzieś nad sobą stłumione głosy, rozmawiające w języku, który był chyba mieszkanką języka Tubylców i języka Ludu, ale skóry tłumiły dźwięki na tyle, że rozumiał tylko pojedyncze słowa; następnie rozległ się odgłos, którego nie sposób z czymkolwiek pomylić: kroki obutych stóp, bardzo blisko. Oglądali wóz. Tak.

Po co ktokolwiek, zastanawiał się Joseph, buntownik czy Pan, miałby przeszukiwać wóz Tubylców? Przecież każdy, kto wiedział o nich cokolwiek, nawet by nie podejrzewał, że powściągliwi i obojętni Tubylcy mogą się wmieszać w sprawy ludzi na tyle, by przewozić cokolwiek, co mogłoby zainteresować którąkolwiek z walczących stron.

Joseph leżał bez ruchu. Zastanawiał się, czy nie wstrzymać oddechu, który mógł zdradzić jego obecność, i uznał, że to zły pomysł, bo prędzej czy później musiałyby gwałtownie wciągnąć powietrze, co mogłoby go zdradzić, albo musiałyby zakaszleć, co byłoby jeszcze gorsze. Rozsądniejsze wydawało się oddychanie małymi, płytkim oddechami, tylko tyle, by dostarczać płucom tlen. Potworny zapach futer stanowił kolejny problem: Joseph walczył z mdłościami, dusił się. Przygryzł wargi i starał się nie zauważać zapachu.

Ktoś grzebał po wozie, szperał, czegoś szukał.

Co się stanie, jeśli ktoś odsunie te skóry i go zobaczy? Ile czasu zajmie im rozpoznanie Josepha jako zbiegłego Pana, a co się stanie z Panem, nawet z takim z innego kontynentu, który wpadnie w ręce buntowników?

Postukiwanie ustało. Głosy ucichły. Wóz znów zaczął się toczyć.

Joseph miał wrażenie, że minęły całe wieki, zanim Ulvas znów zdjął z niego futra. Zapadła noc. Na niebie pojawiły się dwa księżyce, te małe, Mebriel i Keviel. Usłyszał odgłosy ruchliwej autostrady, jak cichną gdzieś za nim.

– Co się stało? – spytał Joseph. – Czego oni chcieli? Szukali uciekinierów?

– Szukali wina – wyjaśnił Ulvas. – Myśleli, że jakieś wieziemy i chcieli je nam zabrać. Noce są coraz dłuższe i strażnicy na punktach kontrolnych się nudzą.

– Wina! – mruknął Joseph. – Wina!

Poczuł, jak ogarnia go fala ulgi i wybuchnął śmiechem.

Wóz toczył się dalej, odgłosy autostrady całkiem ucichły. Zatrzymali się i rozbili obóz na

noc, a jeden z woźniców przygotował posiłek. Joseph próbował potem zasnąć, ale był zbyt zdenerwowany i w końcu zrezygnował.

Mijały godziny, a on leżał, patrząc w niebo, w gwiazdy. Noc była pogodna, gwiazdozbiory były wyraźnie widoczne. Dostrzegł Młot, Trąbę Powietrzną, Górę, Topór. Widać też było Boginię, jej długie, powiewające włosy, piersi, olśniewające szerokie uda, jasny trójkąt gwiazd w miejscu łona. Joseph pamiętał noc, kiedy ojciec pokazał im ją po raz pierwszy, nagą kobietę na niebie. Coś, co mężczyzna pokazuje synowi, kiedy syn osiągnie pewien wiek – tak powiedział ojciec. Od tego czasu widywał prawdziwe nagie kobiety, ale raczej rzadko i z daleka. Zawsze był to fascynujący widok, choć nie mógł się równać zmysłowości gwiazdzistej bogini rozciągniętej na niebie na wiele parseków.

Joseph zastanawiał się, czy kiedyś będzie trzymał w ramionach kobietę, czy będzie z nią robił to, co mężczyźni robią z kobietami.

Oczywiście, gdyby tylko chciał, miał dotąd wiele okazji. Żadna z dziewcząt z Ludu nie ośmieliłaby się odmówić młodemu Panu. Joseph jednak nie chciał tego robić z dziewczyną z Ludu. To byłoby za łatwe. Było w tym coś niewłaściwego, coś taniego, brutalnego i okrutnego. Poza tym mawiano, że dziewczęta z Ludu tracą dziewictwo w wieku jedenastu lub dwunastu lat, więc zestawienie jego niewinności z szerokim doświadczeniem dziewczyny mogłoby być krępujące, zarówno dla niej, jak i dla niego. W przypadku dziewcząt z jego klasy, oczywiście dookoła było ich mnóstwo, wiele z nich chętnych do flirtu, jak przyjaciółki jego siostry albo śliczna córka Ancepha, czy długonoga, rudowłosa siostrzenica Ancepha. W Domu Getfen zdarzało mu się marzyć o Kesti, choć zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie niesie wplątanie się w miłosną aferę przez syna Pana jednego z Wielkich Rodów z córką Pana innego Rodu.

Nie chciał miłosnych afer. Nie wiedział, czego chce. Jakaś wybredność powstrzymywała go przed zrobieniem tego z byle jaką dziewczyną. Myślał, że na to będzie miał jeszcze mnóstwo czasu.

A teraz wcale nie był tego taki pewien. Przecież mógł umrzeć nawet tej nocy, gdyby oficer rewolucjonistów zamiast tubylczego wina znalazł na wozie ukrytego Pana.

Leżał i patrzył na Boginię, wyobrażając sobie, że sięga do nieba i kładzie ręce na jej piersiach. Uśmiechnął się blado na samą myśl. Potem na niebo wypłynął trzeci księżyc, wielki, rumiany Sanivark, i Bogini znikła. Joseph zdrzemnął się, a gdy wstał świt, zjedli szybko śniadanie złożone z suszonego mięsa i jagód, po czym ruszyli dalej.

Krajobraz zaczął się zmieniać. Nie było już farm, ale szerokie pola porośnięte karłowatymi samosiejkami, płaskowyże z gęstwami turzycy i kępami wrzośca. Gleba wyglądała na kiepską, suchą i kamienistą, poprzecinana od czasu do czasu głębokimi wąwozami, w których widać było czerwone i białe warstwy geologiczne, pasy gliny i piasku.

Potem okolica znów zaczęła wyglądać obiecująco i trzeciego dnia wreszcie przybyli do wioski Tubylców, która była ich punktem docelowym. Wyglądała dość podobnie do wioski,

w której Joseph był poprzednio, wysokie, stożkowate budynki z gliny grubo choć nieregularnie nakładanej na plecionkę i gałązki, wszystkie zbudowane jeden przy drugim, po łukowatych liniach tak, że otaczały centralny plac z ceremonialnymi budynkami, zaś pola otaczały wioskę pierścieniem. Rozmieszczenie było tak podobne, że Joseph spodziewał się powitania przez Ardardina. Tutaj jednak zamiast jednego władcy najwyraźniej panował triumwirat: trzech dostojnie wyglądających starszych Tubylców, każdy z nich odziany w podobną skórzaną pelerynę i dekorowaną muszlami skórzaną spódnicę, jaką nosił Ardardin, pojawiło się, gdy Joseph zsiadał z wozu. Stali obojętnie, obserwując jego przybycie z ponurą uwagą, milcząc.

Inni wieśniacy okazali się bardziej komunikatywni. Całe dziesiątki, dzieci i dorośli, podbiegli i zaczęli się tłoczyć wokół Josepha. W tym entuzjazmie była jakaś wzbudzająca sympatię niewinność. Tłoczyli się, wąskie, rurowate głowy uderzające w niego jak młotki, ich twarze o parę cali od jego twarzy, nos przy nosie. Ich mięsiste podgardla falowały, nadymały się i kurczyły, w jakimś spazmatycznym podnieceniu. Kilku najbardziej odważnych z wahaniem wyciągnęło dłonie w stronę zwisających strzępów jego odzienia i lekko za nie pociągnęło, jakby to było zabawne. Otoczyli go i z podnieceniem mruczeły coś do siebie, ale mówili na tyle niewyraźnie albo takim dialektem, że Joseph wyłapywał tylko pojedyncze słowa.

Jeden z nich, niosący małą torbę z tkaniny wypełnioną błyszczącym, czarnym proszkiem, z namaszczeniem wysypał trochę proszku na dłoń, zanurzył w nim dwa długie, giętkie palce i powoli, ostrożnie wymalował Josephowi na policzkach kółka. Joseph zniósł to cierpliwie. Zauważył, że twarze wielu zebranych były podobnie zdobione wzorami z czarnego pigmentu, nie tylko kółka, ale spirale, trójkąty, krzyżyki.

Ulvas tymczasem zaangażował się w rozmowę z wieśniakiem słusznej postury, który – tak z wyglądu – musiał być ważnym ministrem w rządzie triumwirów, choć sam nie nosił żadnych atrybutów władzy. Joseph nie słyszał, co mówią, ale stopniowo dotarło do niego, że to nie konwersacja, ale negocjacje; Ulvas był sprzedającym, a wielki wieśniak potencjalnym nabywcą, zaś głównym tematem była cena.

Joseph błyskawicznie zrozumiał, że sprzedawanym towarem był on sam.

Nie miał być stroną transakcji. Cała wymiana zdań przebiegała cicho i szybkimi, urywanymi frazami, większość słów była Josephowi nieznana, wszystko było tak szybkie i tajemnicze, że Joseph nie miał szans, by nadażyć. Dużą część informacji przekazywano gestami. Po każdej serii ofert i odpowiedzi wieśniak biegł do triumwiratu i zdawał raport. To z kolei wywoływało intensywną wymianę zdań między nimi, po której jeden z władców dawał sygnał, a ktoś ze zwykłych wieśniaków biegł i przynosił towary: futra, naszyjniki z paciorków, misy z suszonymi nasionami i jagodami. Wyglądało na to, że Ulvas odrzuca każdą ofertę jako niezadowalającą. Podjęto nowe negocjacje, które znów doprowadziły do kolejnych dysput między władzami a ich ministrem, i przyniesiono kolejne towary:

wegetariański posiłek w formie lepionych kulek, stertę brązowego suszonego mięsa i oczyszczoną czaszkę jakiejś leśnej bestii.

Ulvas prawdopodobnie zaproponował wysoką cenę. W pewnym momencie Joseph odniósł wrażenie, że negocjacje się załamały, uczestnicy odwrócili się do siebie plecami, dotykając czoł rozstawionymi palcami w geście negacji. Być może jednak była to oznaka przełomu, nie zapaści; prawie natychmiast pojawiły się pojednawcze gesty, oznaki zgody, cała seria gestów świadczących o tym, że oto dobito targu. Chyba istotnie tak było. Ulvas, Casqui i Paca zaczęli ładować na wóz sterty towarów ułożone na środku placu.

Wielki minister machnął na Josepha ręką w geście, którego nie dało się z niczym pomylić: należał do nich.

Teraz zrozumiał, jak niewiele altruizmu, jeśli w ogóle jakiegoś, można było się doszukać w decyzji Ardardina, by odwieźć Josepha do następnej wioski. Ardardin słusznie przypuszczał, że Joseph odejdzie, gdy tylko będzie zdrowy; usługi medyczne Josepha były potrzebne w innych wioskach Tubylców leżących wzdłuż drogi na południe; nic dziwnego, że wydało się o wiele bardziej pożyteczne, nie tylko moralnie słuszne, oddelegowanie wozu, by dostarczyć tam Josepha, a równocześnie nieźle na nim zarobić, sprzedając go kolejnej wiosce z łańcucha, zamiast go po prostu przekazać.

Ulvas, Casqui i Paca odjechali bez słowa, ale Joseph już przyzwyczyił się, że oni nie żegnali się szczególnie wylewnie.

Jego nowi gospodarze – czy raczej właściciele – wskazali mu jego kwaterę, znacznie mniejszą niż poprzednia, jeszcze bardziej stęchłą i słabo oświetloną, gdzie za posłanie służyło kilka wystrzępionych szmat. Zaprosili go jednak na solidny posiłek: dwie butelki mlecznego wina, różne jagody, duszone mięso, gotowane zboża, cała taca gruzłowatych, zielonkawo-fioletowych owoców, których nigdy dotąd nie widział. Były kwaśne i cierpkie, ale dziwnie przyjemne w smaku, choć po zjedzeniu kilku zauważył, że od gęstego czerwonego soku puchł mu język, a całe usta miał dziwnie suche. Zostawił resztę nietkniętą.

Także i w tej osadzie czekało na niego całe mnóstwo zaniedbanych przypadków medycznych w izbie chorych położonej w pewnej odległości od centralnego punktu wioski. Wśród nich były powszechnie spotykane skręcone kończyny i niewielkie infekcje, ale Joseph już nauczył się radzić sobie z nimi. Jeden przypadek wydawał się jednak skomplikowany. Na polowaniu wydarzył się wypadek, a jedyne wyjaśnienie, jakie mu zaoferowano, było dość nieprawdopodobne – jeden Tubylec zaatakował drugiego. Pacjentowi, młodemu osobnikowi płci męskiej, kawałek pocisku utkwiał w górnej części pleców z prawej strony. Najwyraźniej stało się to jakiś czas temu i rana, choć zainfekowana, częściowo się zagoiła. Nikt nie podejmował prób wyjęcia pocisku. Joseph zastanawiał się, jak głęboko utkwiał odłamek. Pacjent nie czuł się najlepiej: był osłabiony, gorączkował, trudno było się z nim porozumieć. Joseph przyłożył rękę do rany i poczuł gwałtowne pulsowanie, jakby coś usiłowało się wydostać na zewnątrz.

Trudno, pomyślał. Muszę go operować.

Cała ta medyczna maskarada tak dalece weszła już Josephowi w krew, że nie czuł najłżejszych wyrzutów sumienia podejmując się tego zadania. Leżąca przed nim istota musiała już teraz odczuwać olbrzymi dyskomfort, który zapewne się zwiększy, jeśli nic nie zostanie zrobione, aż infekcja opanuje jakieś żywotne organy i zabije pacjenta. Joseph poprosił o pomoc wiejskiego zielarza i otrzymał ją; na polecenie Josepha młodzieńcowi zaaplikowano solidną dawkę ziół uśmierzających ból. Joseph rozłożył swój skromny zbiór medycznych przedmiotów, oczyścił ranę gałgankiem maczanym w winie, które powinno mieć jakieś właściwości antyseptyczne i delikatnie rozdzielił zagojoną część rany, by włożyć tam ostrze noża jak sondę.

Pacjent nie skarżył się, więc Joseph przystąpił do dalszej eksploracji wnętrza złocistej tkanki. Zastanawiał się, jak głęboko ośmieli się zajrzeć; należało jednak być spokojnym i opanowanym, a to przychodziło mu z dziwną łatwością. Być może po paru tygodniach spędzonych pośród Tubylców nabył jakąś formę obojętności na banalną oczywistość widzialnego świata. Pod naciskiem noża zaczęła płynąć krew, szkarłatna krew o szmaragdowym połysku. Krew jest tylko złudzeniem, pomyślał Joseph. Nóż, którego używam, także. Ból, który może odczuwać pacjent, to również ułuda. Pocisk, którego szukam – kolejne złudzenie.

Jego ręka nawet nie drgnęła, a myśli miał jasne.

Dotknął czegoś twardego w środku. Czy to pocisk, czy kość? Przekreślił lekko ostrze i poczuł ruch pod jego czubkiem. Kość się nie porusza, pomyślał. To musi być pocisk. Ostrożnie poszerzył nacięcie. Cień czegoś ciemnego w środku, prawda? Zmył krew i przyjrzał się uważniej. Pocisk, tak. Głęboko w tkance Tubylca.

A teraz miała nastąpić najtrudniejsza dla pacjenta część. Skinął na dwóch z przyglądających się Tubylców.

– Przytrzymajcie go – rzekł, używając trybu gramatycznego używanego do bezpośredniego wydawania poleceń, nie wyrażania prośb. Teraz był najważniejszą osobą w pomieszczeniu. Nie musiał błagać o pomoc, jeśli jej potrzebował.

– Ty połóż rękę tutaj, a ty przytrzymaj go tam. Nie pozwólcie mu się ruszyć.

Nie było sposobu, żeby zrobić to delikatnie. Wsunął ostrze, usłyszał, jak zgrzytnęło o ukryty pocisk, wykonał obrotowy ruch nadgarstkiem i przesunął końcówkę ostrza do przodu, odruchowo przygryzając przy tym wargę. Przez Tubylca, który leżał z twarzą ukrytą w stercie szmat, przebiegł potężny dreszcz. Dwóch wieśniaków trzymających go ani nie drgnęło.

– O, wychodzi – oznajmił Joseph, gdy pojawił się czubek pocisku.

Wyjął go z ciała Tubylca jednym zręcznym ruchem i przez chwilę przytrzymał w dłoni, demonstrując go z dumą publiczności. Potem rzucił go na ziemię. Krew płynęła jeszcze obficie. Joseph przykrył ranę dłonią i z fascynacją patrzył, jak spływa mu między palcami. Zatomował krew, przemył ranę, znów zatomował. Wypływ zaczął słabnąć. Czy zamknięcie

nacięcia było w tym momencie bezpieczne? Przytrzymał razem oba brzegi rany, przyjrzał się im, pokiwał głową z namysłem, jak ktoś, kto naprawdę wie, co robi.

– Podaj mi to – rozkazał, wskazując na małą maszynkę ze swojego zestawu podręcznego, która służyła do zszywania ran. Nie wiedział jeszcze zbyt dobrze, jak się nią posługiwać, ale domyślał się na tyle, że postanowił spróbować.

Trzy szwy załatwiły sprawę.

Nakazał, by umożliwiono pacjentowi odpoczynek i podano mu lek uśmierzający ból, a potem wpadł jeszcze na myśl, by napojono go winem. Tubylcy przekazywali sobie wydobyty kawałek pocisku z ręki do ręki. Patrzyli na Josepha z podziwem. Joseph zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem tym razem nie odegrał swej roli zbyt dobrze; chciał, by te istoty przekazały go dalej do kolejnej wioski leżącej na południu, a nie zatrzymały jako cenny wioskowy skarb. Przekonał się jednak, że po raz kolejny pomylił się w ocenie dróg, jakimi chadzały ich umysły. Trzymali go tylko tak długo, by zbadał wszystkie chore osoby w wiosce, a potem, jakieś dwa albo trzy tygodnie później, gdy doprowadził wszystko do jako takiego stanu, poinformowali go, że nadszedł czas, by wysłać go na południe.

Nie miał zamiaru tęsknić za tym miejscem. Joseph zadał sobie trud przedstawienia się głównemu ministrowi, zielarzowi i paru innym, ale wchłonęli tę informację nie wykazując żadnego widocznego zainteresowania, a przez cały pobyt w wiosce nikt nie zwrócił się do niego po imieniu. Nie nawiązał z nikim stosunków takich, jak z Ardardinem, czy nawet Ulvasem. Czuł się strasznie bezosobowo. Miał wrażenie, jakby dla tych istot był jedynie parą sprawnych rąk. Dostrzegał wszakże powód takiego postępowania: kiedy przybył do pierwszej wioski, był uciekinierem, a oni przyjęli go tak, jak się przyjmuje gościa. Tutaj jednak został kupiony. Był czyjąś własnością. W najlepszym razie niewolnikiem.

Droga do następnej wioski prowadziła przez tereny, gdzie znajdowały się porzucone farmy. Nic nie sugerowało, że gdzieś w pobliżu znajduje się jakiś Wielki Dom. Wyglądało na to, że są regiony, także na Helikis, gdzie Panowie zarządzali swą własnością zdalnie: reprezentowali ich rządcy, którzy sami wywodzili się z Ludu. Lud, który tu gospodarował, musiał być lojalny wobec Panów, bo zniszczenie było całkowite, rewolucjoniści uderzyli na własnych pobratymców z mściwością i gwałtownością, jaką przedtem wykazywali tylko wobec Panów. Joseph zobaczył równie zdewastowany krajobraz jak w okolicach Domu Ludbrek, smutne pustkowie wypalonych domów, porzuconych wozów, padłych zwierząt, zalanych pól. Wzdłuż piętnastomilowego odcinka drogi takich farm było siedem, wszystkie zniszczone w podobny sposób. Nigdzie nie było widać śladów życia.

Pora deszczowa nadeszła w dniu, gdy minęli ostatnią ze spustoszonych farm. Trzej Tubylcy, którzy go eskortowali, nie zwrócili na deszcz żadnej uwagi. Nie odezwali się ani słowem i nie zrobili nic, by się okryć. Joseph, który jechał na osłoniętym tyle wozu, był jednak niemile zaskoczony, gdy niebo, od wielu dni o barwie żelaza, przybrało czarno-srebrną barwę i zaczął padać zimny, ostry, gęsty deszcz. Joseph przemókł do suchej nitki, zanim

zorientował się, co się dzieje. Udało mu się sklecić prymitywny daszek z futrzanych mat, które leżały na wozie i kilku patyków, ale była to koślawa konstrukcja, a Joseph był już przemoczony.

Deszcz padał przez cały dzień i następny. Joseph wiedział, że we wschodniej części północnego kontynentu pory roku są zmienne i po deszczowej nadchodzi sucha, a co roku deszcz zaczyna padać na południu i przemieszcza się na północ, ale wyobrażał sobie, że przejście będzie mniej gwałtowne. Deszcz wyglądał, jakby ktoś lał wodę z wiadra na ziemię, która schła całymi miesiącami, wielkimi wiadrami o niewyczerpanej pojemności. Joseph nigdy w życiu nie był tak zmarznięty i mokry. Nawet nie wiedział, że taki dyskomfort w ogóle można odczuwać.

Na początku deszcz wsiąkał w glebę, gdy tylko na nią spadł. Drugiego dnia jednak ziemia, która tu składała się głównie z gruboziarnistego piasku, wyglądającego, jakby nie padało od wieków, nasiąkła wodą i przestała ją pochłaniać. W starych, wyschniętych korytach, pojawiły się rzeczki i strumyki, które płynęły w licznych wąwozach przecinających równinę. Tworzyły się też małe stawy. Jeszcze parę dni, pomyślał Joseph, i powstaną rzeki i jeziora.

Zastanawiał się, jakim cudem chaty z błota i plecionki, jakie preferowali Tubylcy, mogą wytrzymać taki napór deszczu. Taka ulewa powinna po prostu je spłukać. Tylko że nie budowałiby takich konstrukcji, gdyby rozpląły się po pierwszym deszczu, a wioska, do której jechali, kolejne zbiorowisko stożkowatych chat poustawianych ciasno wokół centralnego placu, wytrzymywała wodne bombardowanie, jakby była zbudowana ze stali i betonu. Pewnie dodają do błota coś, co sprawia, że są odporne na deszcz, pomyślał Joseph. Może sok jakichś roślin. Cała wiedza naukowa tych istot składała się najwyraźniej z informacji o właściwościach chemicznych roślin w ich środowisku. Nie znali fizyki, astronomii, techniki i prawdziwej medycyny innej niż ziołowe wywary. Potrafili jednak budować z gałązek i błota domy, które wytrzymywały napór tak intensywnego deszczu.

Przybycie Josepha poprzedzały wieści o jego leczniczych mocach. Wieśniacy chyba przygotowali za niego solidny wykup, bo wypełnili całe pomieszczenie budynku na centralnym placu wioski skarbami, jakie mieli do zaoferowania: nie były to już pospolite maty z futer i naszyjniki z koralików, ale wielkie gałęzie błękitnych koralowców z morza wschodniego, sakwy z turkusowymi kamieniami, jaskrawe, niebiesko-czerwone pióra ptaków z jakichś dalekich, tropikalnych krain, i wiele innych rzeczy. Mimo to negocjacje trwały bardzo długo i najwyraźniej nie przebiegały gładko. Prowadzono je głównie za pomocą gestów wspomaganych szybko wyrzucanymi zwrotami, które musiały być jakimś kupieckim żargonem, którego Joseph nie znał, a z tonu głosu i twarzy, które wyrażały nie dającą się z niczym pomylić irytację, wnosił, że osiągnięcie konsensusu nie było rzeczą łatwą. Kuląc się z zimna i zmęczenia, gdy jego obecni właściciele targowali się z chcącymi kupić jego usługi, Joseph pomyślał w pewnej chwili, że sprzedający uznali, że cała ta sterta towaru nie jest



wystarczająca. Wyglądało, jakby mieli zamiar zerwać negocjacje i wyruszyć do jakiejś innej wioski, jeszcze zanim uda mu się wyschnąć.

Cóż, skoro tak, niech tak będzie, pod warunkiem, że będzie to wioska na trasie jego powrotu do domu. A jeśli – odezwał się stary, nieprzerwany lęk – po prostu zabiorą go z powrotem do swojej wioski i zatrzymają już na zawsze?

Tak się jednak nie stało. Zawzięci kupcy doszli do porozumienia tak nagle, jak nagle zaczęła się pora deszczowa, i sprzedaż Josepha doszła do skutku. Uginając się pod ciężarem mat, naszyjników, gałęzi koralowca i wszelkiego innego dobra, sprzedający odeszli w deszczu w stronę wozu, a nabywcy stłoczyli się wokół niego i zaczęło się dobrze mu znane plemienne powitanie.

Te istoty chciały, żeby Joseph nie tylko leczył ich chorych, ale i obdarzał błogosławieństwem zapasy żywności zgromadzone podczas żniw. Odegrali jakąś dziwną pantomimę: zaprowadzili go do spichlerza i zademonstrowali mu gestami, co ma robić, aż odezwał się z niecierpliwością w głosie:

– Możecie powiedzieć to słowami. Znam wasz język.

Odniosł wrażenie, że ich to jedynie rozdrażniło. Nadal machali rękami, kiwali i potrząsali głowami.

– Nie rozumiecie co mówię? – zapytał.

Może mówili dialektem tak odmiennym od języka Tubylców, jakiego nauczył się w Keilloran, że uznali go za mówiącego innym językiem. Zrozumiał jednak po chwili, że to nieprawda: kiedy rozmawiali między sobą, używali słów, które doskonale rozumiał. W końcu udało mu się zmusić ich, by zwracali się do niego bezpośrednio. Wyglądało to tak, jakby nie chcieli z nim rozmawiać. Sam fakt, że on mówi ich językiem, sprawiał, że czuli się niepewnie. Mieszkańcy tej wioski chyba nie utrzymywali zbyt ożywionych kontaktów z Panami, ani z Ludem, i patrzyli na niego jak na zupełnie obcą istotę, która pojawiła się wśród nich jak dar bogów, ale z którą nie należało rozmawiać. Joseph pomyślał, że to kolejny etap odbierania mu osobowości. Przemieszczając się na południe Joseph oddalał się coraz bardziej od życia, jakie prowadził w wiosce Ardardina. Tam nie czuł się samotny, opuszczony, traktowany jak rzecz – a tak się czuł tutaj.

Starał się jednak pamiętać o tym, że przez cały czas zbliża się do domu, choć wiedział, że Keilloran i Dom znajdowały się nadal bardzo daleko stąd.

Nie miał nic przeciwko błogosławieniu zapasów jedzenia, skoro takie było ich życzenie. Joseph od dawna przestał się już przejmować tym, jakie to hokus-pokus odprawiał przed Tubylcami, by zarobić na swoją podróż na południe. Na samym początku, zaledwie kilka miesięcy wcześniej, był o wiele bardziej naiwny niż teraz i miał wrażenie, że to co robi jest jakimś pogwałceniem kodeksu honorowego Panów, takie udawanie, że wie cokolwiek o medycynie, ale bardzo szybko przestało to sprawiać mu trudność, także i obecne życzenia nie były dla niego problemem. Skoro chcieli, by odgrywał rolę półboga albo demona, czy kogo

tam chcieli, chętnie to zrobi. Wszystko, dzięki czemu znajdzie się bliżej domu: takie było jego motto.

Pozwolił się więc zaprowadzić do spichrzy, gdzie stały stągwie z ziarnem i jagodami, z sufitu zwisały półcie suszonego mięsa, a pod ścianami stały beczki z winem – wszystko, co zgromadzili na nadchodzącą zimę – odrzucał ręce do tyłu, wznosił głowę do nieba, wymachiwał rękami o rozcapierzonych palcach i wykrzykiwał, co mu ślina na język przyniesie: „Cailin, Rickard, Etain, pobłogosławcie tę żywność! W imię Kesti, Wykkina i Domiana, niech cnota zstąpi na tę żywność! Wołam cię, o Balbusie! Wołam cię, o Ancephie! Wołam cię, o Rollinie!” Wzywał także wielkich ze Starej Ziemi: Agamemnona, Cezara i Dżyngis-chana, Napoleona i Gilgamesza. Przecież nie robił nic złego. Tym stągwiom z ziarnem nic się od tego nie stanie. A wioska zapłaciła za niego wysoką cenę: musi ich przekonać, że dostali to, za co zapłacili.

Staję się okropnym hipokrytą, pomyślał Joseph.

I wtedy przysłała ta myśl: nie, ja tylko dorastam.

Często rozmawiał ze sobą w duchu, podczas długich, deszczowych dni, gdy nastawiał skrecone stawy, leczył nadwreżenia i zszywał rany oraz wykonywał skomplikowane gesty w powietrzu nad pochylonymi z czią Tubylcami, którzy cierpieli z powodu chorób, których nie potrafił zdiagnozować. Ja po prostu dorastam. Będąc nastolatkiem, zastanawiał się często, jak to jest być dorosłym. Wiedział, że się zmieni, to było jasne. Ale jak? Czego się nauczy? O czym zapomni? Jaka część jego teraźniejszej osobowości przetrwa, kiedy już będzie mężczyzną jak ojciec, i będzie jak on ponosił obowiązki? Czy będzie nieustępliwy i okrutny, jak wielu dorosłych, których znał? Czy będzie robił głupie rzeczy? Narobi sobie niezliczonych wrogów?

Cóż, teraz dorastał błyskawicznie, a dorastanie wydawało się odsuwać na bok wszystkie wzniosłe ideały, które ojciec wpajał mu swoim przykładem, a Balbus wykladał bezpośrednio, a Joseph po prostu robił, co musiał, dzień po dniu, żeby tylko przeżyć. W przeciwnym razie groziło mu, że tej dorosłości nie dożyje. Jeśli w ogóle była przed nim jakaś przyszłość, zależała od tego, jak sobie poradzi podczas tej dziwnej, nieoczekiwanej podróży przez nieznaną mu Manzę.

Padalo praktycznie codziennie, przez cały czas jego pobytu w wiosce. Kiedy uznali, że już odpracował cenę, jaką za niego zapłacili i trzeba go sprzedać kolejnej wiosce, rzeki już występowały z brzegów, a łąki zmieniły się w mokradła. Na szczęście w dniu, gdy wyruszyli, deszcz nie padał. Znow jechał na otwartym wozie, wykładaną kamieniami tubylczą drogą.

Niebo było szare i położenia słońca nie dało się określić, ale chyba jechali na południe; a przynajmniej taką Joseph miał nadzieję. Od dawna stracił rachubę czasu i nie wiedział, ile dni upłynęło od strasznej nocy ucieczki z Domu Getfen, nie miał też pojęcia, jaką odległość pokonał podczas tych przejazdów od wioski do wioski w trzęsących się wozach. Miał nadzieję, że opuścił już Górna Manzę i był gdzieś w środkowej części kontynentu, ale nie

sposób było się tego dowiedzieć od Tubyłców; książki, które miał przy sobie, wspominały tylko, że środkowa część kontynentu była górzysta.

Była to dobra nowina, bo wyglądało na to, że wjeżdżają w bardziej górzysty kraj. Zobaczył nagie, postrzępione wzgórza na zachodzie, a za nimi coś, co wyglądało na wyższe szczyty. Powietrze było chłodniejsze. Każdy kolejny dzień był zimniejszy od poprzedniego. Joseph nigdy dotąd nie doświadczył tak zimnego klimatu. W jego stronach na południu dominował łagodny klimat, przez większość czasu panowała wieczna wiosna. W jednej z wiosek Josephowi udało się otrzymać od Tubyłców nowe płócienne szaty, dzięki czemu pozbył się wystrzępionych i zniszczonych ubrań, które nosił od dnia ucieczki, ale Tubyłcy nie wyglądali na wrażliwych na zmiany temperatury, więc tkanina była cienka, zupełnie nieodpowiednia na zimę. Używając trybu proszącego skłonił ich, by dali mu następne, ale nawet mając na sobie podwójną albo potrójną warstwę cały czas drżał z zimna.

Wychudł. Zawsze był aktywny i dobrze zbudowany, z natury miał też długie ręce i nogi i był szczupły, ale niedostatek, jakiego doświadczył podczas tej podróży, oraz dieta, złożona głównie z mięsa i owoców, sprawiły, że pozbył się całego tłuszczu, jaki miał pod skórą i martwił się, że niedługo zacznie tracić mięśnie i kości. Kiedy się szczypał, nie czuł między palcami nic poza samą skórą. We wioskach nie żałowano mu jedzenia, ale i tak nie przybierał na wadze. Nie miał tu lustra, ale czuł, co się dzieje z jego twarzą. Miał wyniszczoną, napiętą skórę, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Cały był wymizerowany, sama skóra i kości. Wiedział, że pewnie wygląda jak dzikus. Choć czasem próbował się strzyć, gdyż Panowie nie miewali długich włosów, wiedział, że ma niesforną, potarganą czuprynę. Miał brodę, którą także próbował przystrzygać, ale rosła szorstka i gruba, czarne futro, które pokrywało większość jego twarzy, aż po górne części policzków. Nikt by go teraz nie poznał, gdyby został w jakiś cudowny sposób przetransportowany do Domu Keilloran. Uciekliby z krzykiem na jego widok.

Dziwną i niepokojącą rzeczą było, że chudł, a jego apetyt, dotąd nieposkromiony, najwyraźniej malał. Rzadko kiedy bywał teraz głodny. Wystarczało mu to, co mu dawano. Musiał zmuszać się, by zjeść więcej, niż chciał i czasem, wbrew wszelkiej logice, nawet to mu się nie udawało. Stał się lekki, tak bardzo, że wydawało mu się, iż wkrótce oderwie się od ziemi i odleci jak balon spuszczone z uwięzi, wysoko do góry. Fantazja była interesująca, ale jednocześnie był to znak, że coś złego dzieje się z jego głową. Być może groziły mu halucynacje. Musiał być silny, musiał doprowadzić swe ciało do takiego stanu, by wytrzymało podróż przez tysiące mil, jakie dzieliły go od domu.

Jeszcze dwie transakcje i znalazł się w wiosce znajdującej się w podgórskiej okolicy, która niewątpliwie przylegała do górskich terenów znanych jako Środkowa Manza. Nadal panowała pora deszczowa, a na szczytach dalekich gór zalegał śnieg. Powietrze było chłodniejsze, ale i rzadsze, czuł, że jego serce musi pracować mocniej z każdym krokiem, czasem waliło jak młotem, a czasem dostawał zadyszki i musiał się zatrzymać, by złapać

oddech, gdy spacerował po wiosce. Czasami robiło mu się słabo. Raz nawet myślał, że zemdleje. Nie wiedział, w jakim stopniu jego obecna słabość i brak apetytu są skutkiem wysokości, a w jakim – utraty wagi.

Kiedy opuszczę te góry, obiecał sobie, będę jadł więcej, by odzyskać siły. Będę jadł wszystko, co mi dadzą, będę jadł wszystko, a jak zjem, poproszę o więcej.

Świat Panów i Ludu wydawał się bardzo oddalony od tej górzystej okolicy. Uprawa roli, jaką prowadzono na nizinach, była tu bardzo trudna, jeśli nie niemożliwa, z powodu kamienistej gleby, a choć trafiały się, tu i tam, różne siedziby, wyglądało na to, że okolica jest w większości niezamieszkała. Nie było tu nowoczesnych autostrad, zapór wodnych, miast, Wielkich Domów. Joseph czasem dostrzegał daleko na horyzoncie smugę dymu, która pewnie ulatniała się z kominów jakiejś wioski Tubylców na skraju kolejnego wysokiego zbocza. Słyszał, że w tych oddalonych wiejskich okolicach zdarzały się jeszcze miejsca, gdzie Lud żył nie utrzymując kontaktu z nowoczesnym światem, żył tak, jak przed Podbojem, utrzymując się z rolnictwa i myślistwa, nie niepokoiony przez Panów. Utrzymywali okazjonalne kontakty z przybyszami z zewnątrz, ale nigdy nie stali się częścią systemu gospodarczego tego świata. Joseph nigdy nie znalazł się na tyle blisko takiego pióropusza dymu, by określić, czy miał rację czy nie. Górzysta okolica była przeważnie niezamieszkała, czasem gdzieś natrafiało się na Tubylców, żyjących w małych, oddalonych od siebie wioskach.

Co parę tygodni przrzucano go do kolejnej wioski. Za każdym razem znajdował się wyżej: powietrze nie było już chłodne, ale tak zimne, że oddychanie było bolesne, a czapy śniegu widać było już nie tylko na oddalonych szczytach, ale na pobliskich wzgórzach. Miał wrażenie, że w tych wioskach jest dla niego mniej pracy niż na nizinach, może górcy Tubylcy byli wychowywani w trudniejszych warunkach niż ich kuzyni z nizin. Cena, jaką za niego płacono podczas tego etapu tej podróży, również spadła do poziomu paru garści paciorków i kilku wyliniałych mat. Jego nabywcy nadal jednak rozumieli, że jest człowiekiem w podróży i mają go zatrzymać tylko na jakiś czas, a potem przekazać jakiemuś plemieniu na południu.

W tych wioskach rzadko z nim rozmawiano. Im bardziej Joseph oddalał się od Tubylców z północy, którzy żyli na terenach między Domami Getfen a Ludbrek i mieli chociaż okazjonalne kontakty z Panami, tym mniej komunikatywni byli wieśniacy. Było całkowicie jasne, że dla nich jest najwyżej towarem, wędrownym szamanem, kimś, kim można handlować od wioski do wioski, w zależności od potrzeb. Nie uważali, by konieczne było wchodzenie z nim w jakąkolwiek interakcję. Czasem miał wrażenie, jakby dla nich nie istniał. Utracił w ich oczach status istoty ludzkiej, bez względu na to, kim naprawdę dla nich był. Życie pośród Tubylców na północy było nawet ciekawe, nie tylko w charakterze uciekiniera, ale obserwatora badającego zwyczajnie inteligentnej i fascynującej rasy, ale to najwyraźniej należało do przeszłości. Znalazł się w jakiejś nowej sferze istnienia, gdzie zyskał status przedmiotu nieożywionego, sprzedawanego i kupowanego jak sterta futer. Była to ponura,

przerazająco samotna egzystencja. Joseph nieraz budził się zalany łzami.

Większość komunikacji z nim, zawsze sprowadzona do minimum, przebiegała za pomocą gestów. Coraz częściej odnosił wrażenie, że ich w ogóle nie obchodzi, czy Joseph rozumie ich język, a kiedy demonstrował im znajomość ich mowy, nie robiło to na nich wrażenia. Jego słowa padały na próżno, a potem i tak wracali do języka gestów. Poza tym traktowali go raczej dobrze, dawali mu dużo jedzenia i przyzwoitą izbę. W jednej wiosce, gdy zobaczyli, jak bardzo cierpi z powodu zimnego górskiego powietrza, przynieśli mu opończę z ciemnego futra, w którą mógł się zawinąć i pozwolili mu ją zatrzymać, gdy sprzedali go następnemu plemieniu.

Problem tkwił w tym, że już nie przemierzał się na południe. Padał deszcz, czasem śnieg, więc Joseph rzadko oglądał niebo na tyle czyste, że był w stanie określić kierunek, w którym podróżował. Miał jednak wrażenie, że przekazują go tam i z powrotem między wioskami leżącymi wzdłuż pasa wzgórz, opierając się na własnych potrzebach, a nie jego, zaś z obliczeń wynikało, że pozostaje na tej samej szerokości geograficznej.

– Idę na południe – oświadczył w następnej wiosce. – Wracam do mojej rodziny na południowym kontynencie. – Najwyraźniej nie obchodziło ich, dokąd się udaje. – Rozumiecie mnie? Muszę iść na południe. – Krzyżowali ramiona, słysząc to. Rozumieli, co do nich mówi, ale byli wobec jego słów całkowicie obojętni. Taka była druga strona stoickiego podejścia Tubylców do wszystkiego. Nie czuli żadnej niechęci wobec faktu, że ktoś podbił ich planetę, ale byli też dalecy od składania hołdów. Następnego dnia wiozący go wóz wyruszył na wschód.

Nieemożność posuwania się do przodu była równie zła jak posuwanie się do tyłu. Joseph zrozumiał, że ten etap jego podróży, etap, kiedy próbował podróżować przez Manzę w charakterze ruchomego majątku uczynnych Tubylców, zbliża się do końca. Przestali być uczynni. Nigdy nie dotrze do Helikis, jeśli będą go przerzucać tam i z powrotem po Środkowej Manzie. Doszedł do wniosku, że powinien się uwolnić i podróżować dalej sam.

Wahał się jednak przed podjęciem tego kroku. Pomysł wyruszenia w samotną podróż przez góry, w zimie, przy padającym codziennie zimnym deszczu, a czasem śniegu, trochę go przerażał. Co będzie jadł? Gdzie będzie spał? Jak uchroni się przed zamarznięciem na śmierć?

Zastanawiał się także, czy nie rozjuszy w ten sposób mieszkańców z ostatniej wioski, jeśli wymknie się, zanim będą mieli okazję na nim zarobić, czy choćby odzyskać zainwestowany w krótkotrwałe posiadanie go kapitał. Czy będą go ścigać? Nigdy nie słyszał o rozłuszczonym Tubylcu. Tubylcy z gór byli jednak zupełnie inni od tych, jakich znał z okolic Keilloran czy nizin Manzy. Mogą przyjąć jego zniknięcie co najmniej z niechęcią. Było zupełnie możliwe, że stanie się pierwszym Panem, który będzie uciekał nie tylko przed Ludem, ale i Tubylcami.

Poczekam jeszcze trochę, powiedział sobie. Może zima wkrótce się skończy albo sprzedadzą mnie do jakiejś wioski na południu, lub do jakiejś na pogórzcu, skąd będę mógł

uciec na niziny, gdzie jest cieplej i jest nadzieja na znalezienie czegoś do jedzenia.

I rzeczywiście odniósł wrażenie, że przerzucają go na południe. Wykonali dwa długie skoki; raz była to długa jazda do wioski na szczycie góry, gdzie było tak straszliwie zimno, że nie padał nawet śnieg, a ziemia było skuta mrozem tak, że skrzypiała jak lód, gdy się po niej chodziło, a drugi – jazda do kolejnej wioski u stóp długiego zbocza, gdzie było znacznie przyjemniej: były tam rwące potoki i zielone wąwozy porośnięte paprociami. Każde z tych miejsc, i wioska skuta lodem, i zielona od paproci, leżały chyba w znacznej odległości na południe od swoich poprzedniczek. W serce Josepha wstąpiła otucha. Jeszcze dwa skoki i może znajdzie się w ogóle poza górami.

Radość jednak była przedwczesna. Gdy opuścili Tubylców z paprociowej wioski, udali się wijącą się drogą na szczyt pasma wzgórz, poza osłonięty teren, i na drugą stronę, a potem, przez cały dzień, gdy panowała ładna pogoda, i drugi, dość podobny, prostą drogą, ze słońcem świecącym im prosto w plecy jak szydercze oko. Joseph wypatrywał, czy droga gdzieś nie zakręci, ale biegła prosto na północ. Kiedy w końcu przekazano go kolejnym nabywcom, zauważył, że wioska, do której go przywieziono, leży na pochyłej przełęczy biegnącej na zachód, zaś w dolinie poniżej leżały zamglone tereny nizinne, na wschodzie zaś wznosił się łańcuch strzelistych szczytów. Niewiele więc zyskał, zbliżając się do zachodniej strony wyżynnego kraju, gdzie, jak miał nadzieję, łatwiej będzie zacząć podróż na niziny, ale dużo stracił cofając się na północ, poza tym skąd miał wiedzieć, dokąd go teraz poślą? Już wcześniejsze przerzucanie tam i z powrotem było niekorzystne, ale teraz wozili go w kółko. Bez względu na ryzyko, nadszedł czas, by wziąć wszystko w swoje ręce.

Był wieczór trzeciego dnia pobytu Josepha w ostatniej wiosce. Nie było tu wiele pracy dla znachora; jeden przypadek, który wyglądał na odmrożenie, zapalenie szczęki, zainfekowana ręka. Uznał, że miejsce jest ponure i niegościnne. Wioska była mała, a mieszkańcy ponurzy i posepni, choć Joseph już dawno temu zrozumiał, że próba interpretacji postaw i wyrazów twarzy Tubylców zgodnie z ludzkimi regułami była z góry skazana na niepowodzenie. Przypomniawszy sobie, że te istoty nie są ludźmi i myślenie o nich, jakby nimi byli, jest błędne.

Trudno było jednak interpretować ich zachowanie inaczej niż niechęć. Nigdy nie odzywali się do niego, chyba że istniała absolutna potrzeba, na przykład gdy informowali go o różnych rzeczach, o których musiał wiedzieć poruszając się po wiosce. Nigdy też bezpośrednio na niego nie patrzyli; zawsze odwracali wzrok i rzucali mu ukradkowe spojrzenia skośnych oczu. Wykazywali nim pewne zainteresowanie, ale nie prowadziło ono do jakiegokolwiek porozumienia. Być może w tym oddalonym, odciętym od świata miejscu nigdy nie widzieli człowieka. Był dla nich jedynie jakąś dziwną anomalią, intruzem z innej części świata, z którym nie chcieli mieć nic wspólnego. Cóż, to mu ułatwi odejście bez wyrzutów sumienia.

Pomyślał, że zanim odejdzie, jeszcze raz wypróbuje komunikator. Joseph nie tykał go

przez wiele tygodni, ale poza funkcjami komunikacyjnymi urządzenie było wykorzystywane do nawigacji i miał nadzieję, że na tej wysokości będzie działać lepiej niż na nizinach. Uruchomił je i zobaczył tę samą różowawą poświatę co ostatnio, rozległy się też chaotyczne dźwięki, które usłyszał jeszcze w wiosce Ardardina. Gdy jednak chciał włożyć urządzenie z powrotem do sakwy, zza jego pleców wychynęła długa ręka o dwóch stawach i delikatnie, lecz stanowczo wyjęła mu je z dłoni.

Nie słyszał jak wchodzili, dopiero teraz dostrzegł, że w izbie jest trzech Tubylców. Josephowi wydawało się, że rozpoznaje w tym, który zabrał mu komunikator, wioskowego przywódcę, ale nie był tego pewien, bo tutaj rzadko się komunikował z Tubylcami, a wzdowie w tej części kontynentu nie nosili żadnych specjalnych oznak swej władzy, zaś od przybycia Josepha upłynęło zbyt mało czasu, by nauczył się ich odróżniać.

Tubylec trzymał komunikator jedną dłonią, a palcami drugiej naciskał ostrożnie guziki.

– To urządzenie do komunikowania się – wyjaśnił Joseph. – Ale od dawna już nie działa.

Tubylec nadal bawił się panelem sterowania komunikatora. Jakby Joseph nie odezwał się. Tubylec najwyraźniej chciał uzyskać taką samą różową poświatę, jaką zobaczył Joseph chwilę wcześniej.

– Mam pokazać, jak to się robi? – spytał Joseph wyciągając rękę. Nie uważał za rozsądne zabieranie Tubylcowi komunikatora w sposób bardziej bezpośredni.

Tubylec jednak znalazł sam właściwy przycisk. Pojawiła się różowa poświata i zabrzmiał charkot. To go najwyraźniej bardzo zainteresowało. Podniósł komunikator i trzymał go o parę cali od swojej twarzy o płaskich rysach, przyglądając mu się ze szczerą fascynacją. Potem odwrócił się i pokazał komunikator dwóm swoim towarzyszom, a następnie zaczął go obracać, jakby próbował zmusić urządzenie do czegoś innego niż świecenie i charczenie.

To bardzo dla was nietypowe, pomyślał Joseph. Przecież wy nie powinniście się interesować naszymi maszynami. Wszak nimi pogardzacie, czyż nie tak? Uważacie je za iluzoryczne produkty iluzorycznej rasy.

Zapewne albo źle zrozumiał słowa Ardardina, albo niesłusznie założył, że wszyscy Tubylcy wyznają takie same przekonania filozoficzne, albo też dla tego Tubylca z gór komunikator był jakimś szczególnie atrakcyjnym świecidełkiem. Cała trójka przekazywała go sobie z rąk do rąk, po kolei naciskając guziki. Joseph zaniepokoił się. Komunikator nie działał poprawnie już od dawna, pewnie dlatego, że był zepsuty albo dlatego, że obejmująca całą planetę sieć komunikacyjna została zniszczona, i w każdym z tych wypadków ewentualna szkoda wyrządzona przez te istoty nie miała większego znaczenia, ale widok urządzenia w ich rękach sprawiał, że Joseph czuł niepokój. Zasada głosiła, że Tubylcom nie należy udostępniać produktów ludzkiej techniki. Kiedyś mu objaśniono przyczynę: mogłoby to mieć negatywny wpływ na czystość ich kultury, albo coś takiego. Choć Joseph nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób czystość tubylczej kultury mogłaby ucierpieć od tego, że paru Tubylców z górskiej wioski pobawiło się komunikatorem, jego umysł Pana wzdrygnął się na myśl o

pogwałceniu zasad.

Poza tym komunikator był jego własnością. Zostało mu tak niewiele pamiątek po życiu, jakie kiedyś prowadził jako Joseph Pan Keilloran. A jeśli uznają urządzenie za ciekawe na tyle, że zechcą je zatrzymać, uznając za dodatkową korzyść, jaka im się należy w ramach transakcji z wioską, gdzie rosły paprocie?

I najwyraźniej taki mieli zamiar. Trzech Tubylców odwróciło się i ruszyło w stronę wyjścia, zabierając ze sobą komunikator.

– Czekaście – rzekł Joseph. – To urządzenie jest moje. Nie możecie go zabrać.

Zatrzymali się przy drzwiach i spojrzeli na niego. Ich wyraz twarzy, o ile w ogóle był w stanie go zinterpretować, wyrażał zdziwienie samym faktem, że coś powiedział. Nic nie wskazywało na to, że go zrozumieli, choć był pewien, że tak było.

Wyciągnął rękę.

– Oddajcie – rzekł używając trybu proszącego. – To jest mi potrzebne.

Mieszkaniec z wioski Ardardina prawie na pewno odpowiedziałby „Uznaję twoją potrzebę” i oddałby komunikator. Dla tych istot jednak nie było to oczywiste. Znow ruszyli do wyjścia.

– Nie – rzekł Joseph – muszę to mieć. Oddać.

Tym razem nie używał trybu proszącego, ale zwrócił się z bezpośrednim żądaniem. A kiedy zobaczył, że nie reagują, użył rzadko stosowanego trybu rozkazującego, który w tym kontekście mógł zostać uznany za obraźliwy. Nie dostrzegł żadnej różnicy. Nie zwracali uwagi na jego gramatykę; pewnie byli zaskoczeni, że w ogóle potrafi wypowiedzieć jakieś zrozumiałe słowa. Jednak jego życzenia, prośby, rozkazy, były dla nich całkowicie pozbawione znaczenia. Wyszli z izby zabierając ze sobą komunikator.

A niech go zatrzymają, pomyślał Joseph ponuro, kiedy już minął mu pierwszy gniew i frustracja. I tak był niesprawny.

Choć wiedział, że jest to równoznaczne z utratą komunikatora, był nadal zdecydowany na ucieczkę. Przez ostatnich kilka dni utrzymywała się bezdeszczowa pogoda. Pozostawanie wśród Tubylców było pozbawione sensu. Nie zostanie tu już ani dnia, ani godziny, ani chwili. Odejdzie jeszcze tej nocy.

Czując, jak narasta w nim podniecenie, Joseph rozpoczął przygotowania, wypychając swoją sakwę suszonym mięsem i jagodami, ile tylko mógł unieść, napełniając wodą butelkę po winie, która służyła mu za manierkę w lesie od dnia ucieczki z Domu Getfen, zwijając opończę z ciemnego futra, którą dostał w poprzedniej wiosce i obwiązując ją wokół pasa. Wyjrzał na korytarz. Nie było widać żadnych straży.

Noc była jasna i zimna, choć nie aż tak zimna jak poprzednie noce. Gwiazdy na niebie Manzy, które kiedyś wyglądały dla niego dziwnie, a teraz były aż nadto znajome, krążyły wolno nad jego głową. Jedyne księżyc, jaki był widoczny, to mały, szybko przemieszczający się Mebriel, sam niewiele jaśniejszy od gwiazdy. Słaba czerwona poświata na wschodzie za



górami mówiła mu, że wkrótce nad horyzontem pojawi się wielki Sanivark i oświetli wszystko ceglastą jasnością, ale Joseph miał nadzieję, że wioska będzie już daleko za nim, kiedy to się stanie.

Na głównym placu wioski płonęło ognisko. Słysząc było śpiew. Tubylcy często zbierali się tam o zmroku, niepomni przenikliwego zimna. Joseph odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, mijając wioskową izbę chorych i kupę gnoju. Wcześniej wypatrzył tam ścieżkę, która omijała gnojówkę i prowadziła w górę, w stronę lasu podchodzącego pod wioskę od zachodu.

Idąc minął kilka zacienionych postaci. Rzuciły mu szybkie spojrzenia, ale nikt go nie zatrzymał, nikt go nie wypytywał. W końcu nie był tu więźniem. Bariera, jaka istniała między nim a Tubylcami, teraz go chroniła. Żałował jednak, że został dostrzeżony, bo kiedy jego zniknięcie zostanie rankiem odkryte, będą wiedzieli, w jakim kierunku się udał.

Ścieżka była bardziej stroma niż pierwotnie sądził. Wioska leżała na zboczu nachylonym ostro na zachód pod kątem zbliżonym do dwudziestu stopni, aż do oddalonego krańca doliny w kształcie siodła, gdzie teren skręcał pod górę, ale nachylenie było bardzo nieregularne, w niektórych miejscach było prawie płasko, w innych – ostro pod górę. Kilka razy Joseph musiał brnąć skrajem potężnego wąwozu. Ścieżka szybko się zwężała i w pewnej odległości od wioski trudno już było ją dostrzec w świetle księżyca między krzakami jeżyn i dzikiej róży, które się na nią wdzierały, a ze dwa razy zgubił ścieżkę i musiał ją znajdować po omacku. Tym razem ostrożnie wybierał drogę, pamiętając o swoim tragicznym upadku w lesie Getfen. Pośpiech może być zabójczy. Jego skręcone kolano już dawno się zagoiło, ale wiedział, że kolejny taki wypadek, w zimie, w lesie, może oznaczać śmierć.

W lecie pohukiwały jakieś zwierzęta. Wszędzie dookoła coś trzeszczało i szumiało. Nie przejmował się tym. Zmusił się, by iść w jednostajnym tempie, tak szybko, jak tylko się odważył, kierując się na wielką, świecąca lodowatym światłem gwiazdę przed nim. Najważniejsza dla niego była rosnąca odległość między nim a wioską Tubylców.

Była to ciężka praca. Choć wiele tygodni spędzonych w górach przyzwyczało go do wysokości, odczuwał zmęczenie. Serce waliło mu w piersiach, oddychał gwałtownie, a często wręcz dyszał, przez co czuł suchość w ustach. Odczuwał nieustanną pokusę zaczerpnięcia cennej wody z butelki, ale udało mu się ją zwalczyć. Na tej przełęczy nie było strumieni, więc nie był w stanie określić, kiedy i gdzie znajdzie następne źródło wody; najwcześniej po drugiej stronie.

Ścieżka zaczęła biec jeszcze bardziej stromo, a nachylenie osiągnęło stałą wartość, co odpowiedziało mu, że dotarł do oddalonego krańca doliny, płytkiego zachodniego garbu, który oddzielał wioskę od nizin. Będąc tak blisko celu, Joseph przyspieszył, zmuszając się do utrzymywania maksymalnego tempa. Wysiętek generował ciepło, które chroniło go przed zimnem. Czuł, jak pot spływa mu po klatce piersiowej, co było nawet przyjemne, gdy tak zmuszał się do szybkiego marszu pod górę. Później będzie czas na odpoczynek. Modlił się,

żeby zejście w stronę nizin okazało się łatwe, gdy już minął szczyt zachodniego pasma.

Rozpoczynając schodzenie Joseph rozumiał, że łatwa droga nie będzie mu jednak dana. Sanivark wyłonił się w końcu nad szczytami gór na wschodzie, a mały Keviel podążał tuż za nim, błyszcząc mu nad głową jak czerwona latarnia, i w ich świetle Joseph dostrzegł zniechęcający widok: kolejną siodłową dolinę ciągnącą się na zachód, a jeszcze dalej – następną. Żadna z nich nie była widoczna z wioski. Będzie musiał sobie poradzić z obiema, a kto wie, jakie jeszcze przeszkody czekają na niego, zanim dotrze na niziny.

Na szczęście jednak nie podjęto za nim pogoni. Wioska była prawie niewidoczna, daleko na wschodzie – widać było tylko dym z ogniska, światła paru domów – nic nie sugerowało, że ktoś go ściga przez porośnięty gęstymi krzakami las, drogą, którą właśnie pokonał. Był więc wolny, nie był już towarem, nie był już przedmiotem przekazywanym z wioski do wioski. Musiał tylko utrzymać się przy życiu, zimą, w lesie.

Blisko szczytu przysiadł na chwilę po zawietrznej, by złapać oddech, wyschnąć, zjeść kawałek suszonego mięsa, przyjrzeć się drodze leżącej przed nim. Nie odpoczął jednak. Gdy zaczął marznąć, wstał i zaczął iść dalej, posuwając się w dół drugiej siodłowej doliny, a potem trzeciej, która okazała się płytką, płaską niecką, a pokonywanie jej nie było zbyt trudne. Szlak zanikł, czy może Joseph go zgubił, ale to nie miało już dużego znaczenia. Złapał rytm i parł do przodu. Nie było już grzbietów; prosta droga prowadząca w dół do zasłoniętych mgłą dolin.

Kilka razy pomyślał o tym, by zatrzymać się i przespać, ale zdecydował, że jeszcze nie czas. Sanivark przepłynął mu nad głową, żeglując po zachodnim niebie i wskazując mu cel, zamgloną krainę unoszącej się w powietrzu bieli. Mgła rzedła, gdy schodził, a gdy pierwsze białe promienie słońca zaczęły padać znad jego ramienia, zobaczył tuż przed sobą zieloną łąkę, strumień czy rzeczkę, która sama była prawie niewidoczna, ale wskazywała na nią długa chmura mgły uczeplona do niej jak kłaczek bawełny.

Dalej nie mógł już iść bez odpoczynku. W miejscu, gdzie ostatnie drzewa górskiego lasu ocieniały łąkę nad brzegiem rzeki, znalazł opuszczone obozowisko, gdzie pewnie jesienią zatrzymali się myśliwi, i postanowił z niego skorzystać. Była tam mała jaskinia, którą ktoś wygrzebał w zboczu wzgórza, ułożony z kamieni krąg na ognisko, gdzie nadal leżała garstka węgla drzewnego i kupka poczerniałych kości jakiegoś sporego zwierzęcia, stosik drewna pewnie czekający na powrót myśliwych wiosną. Joseph pożywił się suszonym mięsem i jagodami, po czym wpełzł do jaskini, gdy ostatnie gwiazdy zniknęły z rozświetlającego się gwałtownie nieba. Owinął się swoją opończą i zwinął w kłębek, wtykając ręce w fałdy futra. Zamknął oczy, a sen spadł na niego jak toczący się głaz.

Obudził się w południe. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie pokrzykiwaniem ptaków o ciemnym upierzeniu, które zataczały kręgi na tle bezchmurnego nieba. Mgła znikła i świeciło jasne słońce. Joseph zmówił poranne modlitwy i pożywił się oszczędnie, po czym siedział przez długą chwilę i patrzył na góry, z których właśnie zszedł, rozmyślając o

zygzakowatej trasie, jaką przemierzał wyżyny przez ostatnie kilka tygodni czy miesięcy i zastanawiając się, czy udało mu się pokonać jakąś znaczącą odległość. Wątpił w to. Oczywiście, udało mu się pokonać pewien dystans dzielący go od południowych krain, od dnia, gdy wyruszył z poczerńiałych zgliszcz Domu Ludbrek, ale podejrzewał, że mapa pokazałaby mu, że z całego dystansu dzielącego go od domu ojca pokonał odległość szerokości palca.

Teraz już pewnie wszyscy stracili nadzieję, że żyje. Keilloranowie byli zasadniczo optymistami, ale nie byli głupcami, a taki przejaw optymizmu byłby czystą głupotą. Był tu, a oni tam, i dzieliła ich taka odległość, że zaczął sam myśleć o sobie jako o zaginionym, co może nie było tym samym, co bycie martwym, ale niewiele się różniło.

Jestem jedyną osobą na świecie, która wie, gdzie jestem. Wiem tylko, że jestem tu, choć nie mam pojęcia, gdzie jest to tu.

Joseph spojrział na pusty, błękitny ekran nieba.

– Ojcze! – krzyknął, aż echo odbiło się od gór, które właśnie opuścił. – Ojcze, to ja, Joseph! Słyszysz mnie? Jestem w Manzie, ojcze! Jestem w drodze do domu!

Było to równie użyteczne, jak mówienie do zepsutego komunikatora. Dobrze było jednak znowu usłyszeć dźwięk ludzkiego głosu, nawet jeśli był to tylko jego głos.

Zszedł nad strumień, rozebrał się i wykapał. Woda była tak zimna, że aż parzyła, ale w wioskach nie miał zbyt wiele okazji do kąpieli, więc zmusił się do dokładnego mycia. Wyprał także ubranie i ułożył je na słońcu do wyschnięcia, i siedział obok, nagi, drżący, ale dziwnie szczęśliwy w tej ciszy, oddaleniu, w pogodny dzień, w świeżym, czystym powietrzu.

Trzeba było ruszać w drogę. Nie było tu żadnej drogi w dosłownym sensie tego słowa, nie było nawet ścieżki, ale teren był płaski, a po nocnym przedzieraniu się przez pogórze szło się wręcz łatwo. Wystarczyło stawiać jedną stopę przed drugą i iść, z górami po lewej stronie, strumieniem po prawej i słońcem świecącym prosto w twarz, czując, że idzie się do domu, coraz bliżej z każdym krokiem.

W tej okolicy chyba nikt nie mieszkał. Zastanawiał się dlaczego. Gleba wyglądała na żywną, było tu mnóstwo czystej wody, klimat był łagodny. Nie dostrzegł jednak żadnych znaków, że Lud może tu uprawiać ziemię, ani żadnych kamiennych słupów oznaczających, że ziemia ta należy do któregoś z Wielkich Rodów, ani śladu osad Tubylców. Kontynent był jednak ogromny i pewnie większa jego część pozostawała dokładnie taka sama, jak przed wylądowaniem pierwszych badaczy z Ludu.

Badacze z Ludu, co za dziwny pomysł. Joseph nigdy dotąd nie zastanawiał się nad sprzecznością tkwiącą w tych słowach. Lud był stateczny, powściągliwy, flegmatyczny, bierny, a przynajmniej zawsze za taki był uważany. Wszyscy tak myśleli. Nikt nie uważał Ludu za badaczy. Trudno było ich sobie wyobrazić jako ludzi, którzy mieli na tyle odwagi, by wsiąść do statków kosmicznych, pokonać całe lata świetlne i odkryć Ojczyznę, a przecież tak właśnie się stało. Niewiele osiągnęli od tego czasu, ale przynajmniej udało im się znaleźć tę

planetę i osiedlić się na niej.

Poza tym, choć byli stateczni, powściągliwi, flegmatyczni i bierni, mieli na tyle energii, by zorganizować powstanie na całym północnym kontynencie, a może na całej planecie, i wymordować Panów, spalić im domy, zniszczyć majątki. Może nigdy nie wiedzieliśmy, czym jest Lud, rozmyślał Joseph. Może są dla nas tak obcy, jak Tubylcy czy noktambula, albo obce rasy zamieszkujące inne planety galaktyki.

Posuwał się naprzód w jednostajnym rytmie, maszerował od wschodu do zachodu słońca, zatrzymywał się na posiłek, gdy poczuł głód, znajdował jakąś jaskinię, jamę czy inne schronienie na noc. Pogoda poprawiała się z każdym dniem. Czasem padały krótkie, gwałtowne deszcze, niegroźne i przyjemne, w niczym nie przypominające ostrych, mroźnych ulew na wyżynach. Joseph często zdejmował ubranie i stał nagi w deszczu, ciesząc się kroplami czystej, chłodnej wody, uderzającymi o skórę.

Kraina była piękna, choć całkowicie pozbawiona osadnictwa. W powietrzu czuło się wiosnę. Wszędzie pojawiała się młoda zieleń. Po każdym deszczu wyrastały całe dywany małych kwiatków, różowych, żółtych. Wyglądały, jakby wystrzeliły prosto z ziemi, bez liści. Joseph nie próbował śledzić upływającego czasu. Uczepił się fantastycznej myśli, że jeśli będzie tak szedł ze stałym tempem, dziesięć albo piętnaście mil dziennie, ile tylko zdoła, prędzej czy później dotrze na samo południe kontynentu i dalej, do Helikis, gdzie, jak próbował przekonać sam siebie, znajdzie ludzi, którzy pomogą mu pokonać dalszą drogę.

Wiedział, że w tym przekonaniu tkwi jakiś element naiwności, bo nie miał niczego, co mogłoby służyć za dowód, że tak może być w istocie, że na Helikis nic się nie stało. Jeśli na południowym kontynencie nie doszło do rewolucji, dlaczego Panowie z południa nie przybyli z pomocą zaatakowanym kuzynom z północy? Dlaczego na niebie nie pojawiły się wojskowe samoloty? Dlaczego armie nie maszerowały na północ, by zaprowadzić porządek? Wołał jednak myśleć, że na południu nie stało się nic złego, bo w taki wypadku cały ten długi marsz na południe nie miałby sensu. Joseph powtarzał sobie, że nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, co dzieje się w innych miejscach na planecie. Wędrując przez tyle miesięcy pokonał zaledwie mały odcinek kontynentu. Gdzieś tam może się toczyć krwawa wojna domowa na setkach pól bitewnych, nawet teraz, gdy on, odcięty od wszystkiego i wszystkich, przemierza ten opustoszały region, brnąc na południe w samotności.

Region, w którym nie było ani Panów, ani Ludu, ani Tubylców. Za to było mnóstwo zwierząt. Joseph nie rozpoznawał żadnych stworzeń, na które się natykał, choć niektóre z nich wyglądały na północne odmiany zwierząt występujących na południowym kontynencie. Była pękata, okrągła bestia, dość duża, o poczochrany czerwonym futrze i zabawnym, tłustym ogonie, najwyraźniej spokrewniona z benewongami z południa. Pojawiały się inne, rozmiarów kota, o wielkich, niespokojnych oczach, pokryte potężnym płaszczem rozedrganych, błękitnych kolców – te z kolei były lokalną odmianą nieśmiały, strachliwych torkinów, które czasami widywał, jak wykopują smaczne korzenie na brzegach strumieni.

Reszta była mu całkowicie nieznaną: krępe, szerokonose, wspinające się po drzewach stworzenia o sierści w żółte i brązowe cętki; wielkie stworzenia o luźnych stawach i grubych udach, które wyglądały, jakby ich malutkie, spiczaste główki pożyczyci im jakieś inne zwierzę, oraz obwisłe, wężące stwory, długie i smukłe, które przemieszczały się stadami, jedno tuż obok drugiego.

Żadne z tych zwierząt nie okazywało cienia strachu na jego widok, nawet to przypominające torkina. Torkin z południa na widok człowieka wykonałby w tył zwrot i popędziłby w przeciwnym kierunku, a to zwierzę po prostu stało i gapiło się. Smukłe stworzenia, które występowały stadami, chyba szukały w ziemi gniazd owadów, przechodziły i robiły swoje, nie zwracając na niego uwagi. Wielka bestia o małej głowie chyba przejawiała jakieś przyjacielskie uczucia, bo trzymała się blisko i to Joseph próbował się od niej oddalić.

Pewnego dnia natknął się na małe obozowisko poryfarów, na polanie, w gaju pięknych małych drzewek o białej korze i zrozumiał, dlaczego nie było tu żadnych wiosek Tubylców. Tubylcy po prostu nie wkraczali na terytoria innych inteligentnych ras, a poryfary, jak noktambula, melioty i parę innych tutejszych gatunków, wykazywały ślady inteligencji. Były to wielkie, nagie, wędrujące zwierzęta, ale miały język, coś w rodzaju struktury plemiennej i były na tyle zaawansowane technicznie, że używały ognia i prostych narzędzi. To było wszystko, co Joseph o nich wiedział. Parę wędrujących plemion poryfarów znaleziono na Helikis, ale były gatunkiem raczej występującym na północy.

Natknął się na nie nagle, a one chyba były równie skonfundowane na widok tej dziwnej istoty, która nagle pojawiła się wśród nich, co on widząc je. Było ich kilkanaście, wdzięczne stworzenia o imponującym wyglądzie, o rozmiarach zbliżonych do człowieka, sprężystych, umięśnionych ciałach, pokrytych gęstym, czarno-białym futrem w paski. Ich długie, wąskie, skórzaste stopy były zakończone potężnymi, zakrzywionymi pazurami; miały czarne, połyskujące ręce o małych, zręcznych palcach. Ich trójkątne twarze miały wystające wilcze pyski zakończone błyszczącym czarnym nosem. Ich oczy, wielkie, jasne, okrągłe, barwy głębokiego, wpadającego w czerń błękitu, były osłonięte wielkimi, ciężkimi łukami brwiowymi.

Poryfary siedziały w kręgu wokół prymitywnego rusztu z kamieni, piekąc na nim nadziane na patyki kawałki ryby. Kiedy Joseph wyłonił się zza wielkiego, szarego kamienia i stanął między nimi, był równie zaskoczony jak one. Zareagowały niepokojem i zacieśniły krąg, naprężyły mięśnie, nozdrza im zaczęły drgać. Świdrowały go wzrokiem, ostrożnie, jakby samotna ludzka istota, podróżująca pieszko i chyba nie mająca przy sobie broni, mogła stanowić zagrożenie dla grupy silnych, potężnych zwierząt.

Joseph odezwał się, mówiąc w języku Tubylców wolno i wyraźnie:

– Jestem podróżnikiem. Jestem sam. Idę na południe. Żadnej odpowiedzi. Te same podejrzliwe spojrzenia.

– Jestem głodny. Dacie mi trochę jedzenia?

Nadal spojrzenia, ani słowa.

Zapach pieczonej ryby był niesamowity. Wypełniał powietrze wokół. Joseph miał wrażenie, że jest zagłodzony, prawie półprzytomny z głodu. Od wielu dni nie jadł niczego poza suszonym mięsem i jagodami, w coraz mniejszych ilościach, bo wiedział, że zapasy niedługo się skończą. Teraz nie miał już prawie nic.

– Rozumiecie mnie? – spytał. Poklepał się po brzuchu. – Głodny. Jedzenie.

Cisza.

Często słyszał, że różne inteligentne formy życia na Ojczyźnie mówiły językiem Tubylców, ale to mogła nie być prawda. Joseph wypróbował też język Panów i Ludu, ale skutek był taki sam. Kiedy jednak ponownie poklepał się po brzuchu i w milczeniu wskazał na jeden z patyków z nadzianą rybą, po czym udał, że żuje, i połyka, zrozumieli natychmiast. Wywiązała się krótka dyskusja. Język, którym się posługiwali, był pełny mlasków i bzyjących tonów, pewnie ludzka krtań nie byłaby w stanie go naśladować.

Jeden z poryfarów wstał – był o głowę wyższy od Josepha i pewnie mógłby go zabić jednym pacnięciem potężnej łapy – i wziął z ognia kawałek ryby. Ostrożnie, z jakąś obsesyjną precyzją, oddzielił cienki filet ryby od reszty i podał go Josephowi.

– Dziękuję – rzekł z naciskiem Joseph.

Wykonał skomplikowany gest powitania, dotykając czoła i piersi oraz kłaniając się. Gest ten prawdopodobnie i tak był dla nich zupełnie nieczytelny, ale starał się jak mógł. Żałował, że nie może im zaoferować czegoś w zamian, ale wątpił, czy jego resztki jagód by ich zainteresowały, a nie miał niczego, co mógłby poświęcić.

Pokusa, by wpakować sobie rybę do ust i pożreć ją od razu była bardzo silna, ale Joseph oparł się jej i jadł najwolniej jak tylko zdołał. Miała słodki, dymny posmak i była pyszna. Poryfary patrzyły bez ruchu, gdy jadł. Czasem któryś skomentował to mlaskiem czy bzyknięciem. Nadal były zaniepokojone. Ich niepokój był prawie namacalny.

Joseph był sam od tak wielu dni, że chciał na chwilę zostać i jakoś porozmawiać z nimi, opowiedzieć im o sobie, może dowiedzieć się czegoś o drodze, jaka go czekała, albo o wojnie domowej. To było jednak niemożliwe; nie było sposobu, by się porozumieć. Nie musiał mieć stopnia naukowego z psychologii obcych ras, by zrozumieć, że nie mają najmniejszej ochoty na zawarcie z nim znajomości, a jedyne, czego pragną, to pozbyć się go jak najszybciej.

Tak też zrobił; wygłosił krótką mowę w języku Tubylców, w nadziei, że jednak coś zrozumieją. Przeprósł za zakłócanie im spokoju i powiedział, jak bardzo jest wdzięczny za ich dobroć, za nakarmienie samotnego podróżnego, i że kiedyś odwzięczy się im za gościnność. Nie zareagowały i nie dały po sobie znać, że cokolwiek rozumiały. Ruszył w dalszą drogę, nie oglądając się za siebie.

Kilka dni później zobaczył przelatujący samolot – pierwszy znak, odkąd uciekł od Tubylców, że gdzieś tam istnieje jakiś świat zewnętrzny. Joseph stał i patrzył, zastanawiając się, czy to nie jest halucynacja wywołana głodem. Samolot był daleko nad nim – ciemna,

uskrzydłona kropka na niebie – i ledwo go słyszał, tylko daleki pomruk, jaki mógł wydawać owad; Joseph nie potrafił go zidentyfikować. Leciał na północny zachód. Czyj to samolot? Czy nadal istnieją regularne loty między Helikis a Manzą?

Miał wrażenie, że od jego lotu na północ upłynęły całe tysiące lat. Dziesięć tysięcy. Milion. Lotnisko w Keilloran; podniecenie związane z podróżą; ojciec, bracia i siostry obławowujący go podarkami dla Getfenów; Anceph i Rollin wspinający się na pokład z bagażem. Balbus, machający na niego, by się pospieszył. Cały lot trwał jedenaście godzin, najdłuższy lot w jego życiu. Kiedy wysiadał na lotnisku Getfen, ledwo trzymał się na nogach, ale zaraz otoczyli go roześmiani, jasnowłosi kuzyni i kuzynki, solidnie zbudowany Wykkin, jasnooki Domian, śliczna, pachnąca Kesti i ciemnowłosa, przysadzista Grylin Pan Getfen za nimi, jego gospodarze przez całe lato, jego nowi przyjaciele, towarzysze dorastania...

Milion lat temu. Miliard.

Samolot, jeśli to rzeczywiście był samolot, znikł gdzieś na północnym niebie. Gdy go już nie było, Joseph zaczął wątpić, czy rzeczywiście go widział. Pewnie żadne samoloty już nie latają, powiedział sobie. Jeśli chcesz się dostać z kontynentu na kontynent, musisz iść pieszo i zajmie ci to trzy lata albo pięć. Wróciliśmy do epoki prehistorycznej. Coś strasznego stało się na Ojczyźnie i wszędzie zapadła wielka cisza. Buntowniczy Lud powstał i cofnął Ojczyznę do średniowiecza – ale nie do czasów średniowiecza na Ojczyźnie, ale na Starej Ziemi, do czasów świec, turniejów i rycerstwa. Jak wyglądały konie, zastanawiał się. Pewnie trochę jak bandary, pomyślał, szybkie, dynamiczne zwierzęta, na których można było jeździć z miejsca na miejsce, albo ścigać się na nich w wyścigach.

Samolot, prawdziwy czy też nie, przypomniał mu, jak łatwo kiedyś podróżowało się z jednego miejsca na Ojczyźnie do innego, a teraz jakie to się stało trudne, jeśli nie niemożliwe. Przepętniony tęsknotą, pomyślał o wielkiej krzywiznie planety, jaką musiał pokonać, o wielkiej odległości, jakiej nie sposób było ogarnąć. Jakim szaleństwem było sądzić, że kiedykolwiek dotrze z Getfen do Keilloran! Joseph opadł na ziemię, przycisnął czoło do kolan. W głowie aż pulsowało mu z rozpacz.

Wstań, rzekł do siebie stanowczo.

Wstań i rusz się. Jeszcze krok, a za nim następny, aż dotrzesz do domu.

Może.

Jedzenie, które zabrał ze sobą z wioski Tubylców, skończyło się. Joseph przyłapał się na tym, że myśli z tęsknotą o duszonym mięsie, jakie jadali w wioskach, owsiance, mlecznym winie. Wtedy za tym winem nie przepadał, ale teraz przypomniał sobie jego smak i wydał mu się boski, jak najcudowniejszy smak na świecie. Wyobraził sobie, że powietrze przed nim zaczyna migotać na srebrno i z tej srebrnej mgielki wypada butelka tego wina, materializując się u jego stóp, i może patelnia z duszonym mięsem illimani. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Cała euforia pierwszych dni wiosny, której doświadczył opuściwszy góry, gdzieś znikła. Kobierce różowych kwiatów, intensywna zieleń młodych liści, słodki, świeży

wiosenny deszcz na jego skórze – to wszystko było już za nim, jakby mu się przyśniło. Umre z głodu, pomyślał Joseph.

Kopał na brzegach strumieni, w nadziei na znalezienie błotnych pełzaczy, ale przypuszczał, że tu nie występują. Znalazł trochę bulw i korzeni, które wyglądały na jadalne i żuł je ostrożnie, zapamiętując te, które jego żołądek przyjmował bez sensacji, oraz te, przeciwko którym się buntował. Żuł młode pędy krzewów i wysysał z nich słodki sok. Znalazł gniazdo chrząszczy i chłodno, metodycznie, wyjadł żółte larwy. Były prawie bez smaku; jakby jadł siano. Jakieś odżywcze składniki musiały zawierać, w końcu były żywe.

Nie mogę zagłodzić się na śmierć, powtarzał sobie. Jestem Joseph Pan Keilloran i jestem w drodze do domu i rodziny, i muszę zachować siły na długą podróż, jaka mnie czeka.

Nie miał już siły, żeby się myć. Świeża, musująca woda ze strumieni była za zimna – prawie nie miał już ciała, które oddzielałoby skórę od kości. Na jego skórze pojawiły się czerwone wypryski z białymi punkcikami, ale był to najmniejszy z jego problemów. Przestał prac ubranie, ale z innego powodu: tkanina tak się wytarła, że Joseph bał się, że poddana tarcia podczas prania całkiem się rozleci.

Rzucał kamieniami w wygrzewające się w słońcu jaszczurki, ale nigdy nie udało mu się żadnej trafić. Wyglądało to, jakby specjalnie wyczekiwały na ten moment, kiedy podniesie rękę z kamieniem i uciekały z niesamowitą prędkością. Oddzierał korę z drzewa, by odkryć pod nią żuczki w jasne paski – zdumiony swoją odwagą, czy może – uznał – desperacją – włożył je do ust, jeden po drugim. Jadał mrówki. Raz ułamał gałąź z drzewa i machał nią, próbując ubić jakieś owady – kilka w ten sposób złowił. Zdumiał się widząc, jak szybko przywykł do nowego menu.

Mówił do zwierząt, które spotykał. Wychodziły i patrzymy na niego bez strachu, Joseph zaś kłaniał się im, uśmiechał i przedstawiał, pytał, czy nie słyszały czegoś o wojnie między Ludem a Panami i pytał je, czy rosnące w pobliżu rośliny są jadalne. Ponieważ istoty te nie przekroczyły progu inteligencji, nie rozumiały go i nie odpowiadały, ale zatrzymywały się i słuchały. Josephowi przyszło do głowy, że powinien spróbować je łapać i zabijać na mięso, zamiast wdawać się z nimi w bezsensowne pogawędki, ale był za wolny i za słaby, poza tym wydawało mu się to nieuprzejme. Były jego przyjaciółmi, towarzyszami w podróży.

– Jestem Joseph Pan Keilloran – mówił im – i będę wdzięczny za przekazanie mojej rodzinie, że jestem w drodze do nich.

Przez większość czasu szedł bardzo chwiejnie. Przestawał ostro widzieć. Wiedział, że głód sieje spustoszenie w jego mózgu. Miał nadzieję, że uszkodzenia nie będą trwałe.

Pewnej nocy Joseph obudził się i dostrzegł dziwną łunę nad horyzontem, piękną czerwonożółtą kopułę, która szybko przekształciła się w rzekę światła pnącą się prosto do nieba. Wreszcie zrozumiał, że to jakiś wielki pożar daleko stąd i zaczął się zastanawiać, czy wojna domowa nadal trwa, kto atakuje kogo i gdzie. Jasność ustąpiła czarnemu dymowi, a potem wszystko znikło.



O wiele później tej samej nocy, tuż przed świtem, Josephowi przyszło do głowy, gdy tak leżał w zawieszeniu między snem a jawą, że gdyby podwinął w pewien sposób palce u nóg, mógłby iść dwa albo trzy razy szybciej niż zwykle, może nawet unieść się w powietrze i ślizgać jakieś dwie albo trzy stopy nad ziemią. Pomysł wydał mu się wspaniały. Nie mógł się doczekać, aż nastanie świt i będzie mógł go wypróbować. Gdy się obudził i przypomniał sobie te myśli, dostrzegł ich zupełny absurd i przeraził się, że w ogóle mógł myśleć poważnie o czymś tak szalonym, nawet w półśnie.

Mijały całe dni, a on nie znalazł do jedzenia nic poza mrówkami. Nawet już nie próbował rzucać kamieniami w jaszczurki, choć dookoła było ich mnóstwo, zielone, pękate, ze strzępiastymi zielonymi ogonami. Wyobrażał sobie, jakie soczyste mają mięso. Były jednak za szybkie. Choć spędził mnóstwo czasu nad strumieniami, próbując łapać małe, szybkie rybki, uciekały mu jednak z nadzwyczajną prędkością. Przestał wykopywać korzonki i wrywać młode pędy roślin, bo zaczął się bać, że są trujące i nie chciał ich jeść.

Zaczął miewać bóle głowy. Miał spuchnięty język i czuł smak miedzi w ustach. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Trząsł się bez przerwy i szedł otaczając się ramionami, jakby chronił się przed zimnym deszczem w zimowej krainie, choć zewnętrzne znaki świadczyły o tym, że dni są coraz cieplejsze i niedługo lato będzie w pełni. Czasem mógł iść zaledwie przez pół godziny – musiał usiąść i siedział tak przez dziesięć albo piętnaście minut. Aż kiedyś nadszedł dzień, kiedy po takim odpoczynku nie wstał, siedział pod krzakiem i miał wrażenie, że czas się rozciąga, a on dalej nie mógł wstać.

Gdy tak leżał, próbował wyczarować dla siebie posiłek z wyobraźni: talerz słodkich rzecznych krabów, potem pieczony udziec hegana w miętowym sosie z dodatkiem pieczonych kompoli, a na deser parujący pudding z bizbili. Prawie udało mu się przekonać siebie, że naprawdę zjadł taki obiad, że właśnie pożywił się obfitym, smacznym jedzeniem, po którym poczuł się znacznie lepiej, kiedy zrozumiał, że to tylko przyjemna fantazja, że jego żołądek nadal jest pusty, a on bliski śmierci głodowej. Wiedział, że umiera i prawie go to nie obchodziło.

Położył się na plecach i zamknął oczy. Wydawało mu się, że słyszy odgłos toczących się w pobliżu kół albo szybko przemieszczających się pojazdów, jakby tuż za żywoplotem przebiegała autostrada. Musiała to jednak być halucynacja. Szedł przez tę piękną krainę całymi dniami, tygodniami, może nawet miesiącami i nie znalazł nawet śladu cywilizowanego życia poza obozowiskiem myśliwych, na które natknął się pierwszego dnia po opuszczeniu gór. Najbliższa osada, jakiegokolwiek rodzaju, znajdowała się pewnie o całe setki mil stąd. Nie dożyje, by ją zobaczyć.

Uświadomił sobie, że to też go nie obchodzi, ani trochę go nie obchodzi, że jego życie dobiega końca.

Jak wstyd, pomyślał Joseph, tak umierać, nie mając nawet szesnastu lat, dziedzic Domu Keilloran zmieniony w kupkę kości pokrytych skórą, leżący pod krzakiem w jakimś

nieznanym miejscu Środkowej Manzy. Zawsze był taki zaradny, tak świetnie sobie radził z dbaniem o własne potrzeby. Co oni sobie pomyślą w Keilloran, gdy wreszcie dotrą do nich wieści, co się ze mną stało? Martin nie będzie płakał, o nie. Najwyżej mrugnie okiem i to będzie jedyna oznaka emocji, na jaką sobie pozwoli. Ojciec nie płakał nawet wtedy, gdy zmarła jego ukochana żona, tak bezsensownie, od ukąszenia niegroźnie wyglądającej czerwonej ropuchy, która spadła jej z drzewa na rękę. Pewnie nigdy w życiu nie płakał. Joseph wiedział jednak, co jej śmierć z nim zrobiła i wiedział, że z jego śmiercią byłoby tak samo.

A jego młodszy brat, Eitan, który był sześć lat młodszy od niego i zawsze go uwielbiał – Eitan po prostu nie uwierzy, że jego cudowny brat Joseph zginął w taki głupi sposób. Eitan będzie zaprzeczał nowinom; będzie się złościł, rzuci się z pięściami na posłańca, zwróci się do ojca i na swój poważny sposób, przypominający sposób mówienia dorosłego człowieka, oświadczy: „To nie może być prawda. Joseph nigdy by nie dopuścił, żeby coś takiego się z nim stało”.

A Rickard, o trzy lata starszy od Eitana – też będzie zły, ale z innego powodu. Rickard będzie teraz dziedzicem Domu Keilloran; będzie szalał z wściekłości, kiedy sobie uświadomi, że te wszystkie obowiązki nieoczekiwanie spadną na niego. Rickard nie był z tych, którym należy powierzać prowadzenie Wielkiego Domu; wszyscy o tym wiedzieli, a Rickard chyba najlepiej. Był sprytnym chłopcem, zbyt sprytnym, by obróciło się to na jego korzyść, tak inteligentnym, że jego inteligencja działała również przeciwko niemu. Rickard zawsze znajdował różne sposoby, żeby unikać wszystkiego, co było za trudne. Omijał wszelkie wyzwania albo pozwalał, żeby one omijały jego, jak woda w rzece omija głaz na dnie, w zależności od tego, co akurat było łatwiejsze. Nigdy jednak nie stanął w obliczu sytuacji, w której musiałby postąpić inaczej. Był tylko drugim synem. To Joseph był dziedzicem; Rickard wiedział, że czeka go łatwe i przyjemne życie.

Być może teraz Rickard się zmieni, kiedy już nie będzie Josepha i to on będzie pierwszym w kolejności dziedziczenia. Teraz obowiązki dziedzica Rodu Keilloran spadną na niego jak lawina. A przynajmniej taką Joseph miał nadzieję. Może Cailin mu pomoże. Miała czternaście lat, była wystarczająco duża, by wiele rozumieć, by pokazać Rickardowi, że prześlizgiwanie się po trudnościach dzięki sprytowi już się skończyło, że musi zaangażować swój spryt w coś pożytecznego, bo jego starszy brat nie żyje, a on pewnego dnia sam zostanie Panem Domu. Była mądrą dziewczynką, Cailin, niedoceniana przez nikogo, jak to dziewczęta. Żałował, że nie traktował jej lepiej.

Joseph myślał też o ojcu, poważnym, surowym, pracowitym człowieku, którego Joseph nigdy nie poznał tak, jakby chciał. I teraz już nie pozna. Jedna myśl rodziła następną i nagle zobaczył, że otaczają go inni członkowie rodziny, jego matka, Pani Wireille, która opuściła ich, umierając tak młodo, i ojciec jego ojca, stary Pan Eirik, z wielką białą brodą i groźnym obliczem o wystającym nosie i zaciśniętych ustach, a w rzeczywistości jeden z

najsympatyczniejszych i dobrotliwych ludzi, władca Domu przez sześćdziesiąt lat, kochany przez wszystkich. Joseph przypomniał sobie, jak dziadek lubił opowiadać o dawnych czasach Domu Keilloran, o ich przodkach noszących, jak oni, imiona Joseph, Martin i Eirik, dawno temu, w pierwszych latach pobytu Panów na Ojczyźnie, śmiałych wizjonerach, którzy stworzyli rodzinne włości w szczodrej subtropikalnej krainie Południa i zarządzili nią dzięki swej mądrości, przewidywaniu i sprawiedliwości. Joseph, który był wtedy małym chłopcem, słuchając tych opowieści czuł niezmierną dumę z tego, że jest potomkiem długiej linii Keilloranów, że któregoś dnia zasiądzie tam, gdzie oni siadywali, i będzie wywiązywał się ze swoich obowiązków tak, by pokazać, że jest godzien tego dziedzictwa, i będzie kontynuował tę linię płodząc przyszłych Panów...

– Uważajcie z nim – usłyszał czyjś głos. – Rozleci się na kawałki, jak będziecie go szarpać.

– Sama skóra i kości. Nic mięsa. Nic. Prawie trup.

– Więcej niż prawie. Uważajcie z nim. Do góry go. Do góry.

Głowę miał pełną myśli o dziadku, i o dziadkach jego dziadka, dawno temu. Wydawało mu się, że jeden z głosów, jakie słyszy, szorstki i głęboki, był głosem dziadka, głosem Eirika Pana Keillorana, który odbył podróż aż do Środkowej Manzy, by uratować swego wnuka. Czy to możliwe? Jeg° dziadek nie żył od dziesięciu lat, prawda? Może nie. Może był tu z nim, ojciec jego ojca, ten wspaniały człowiek o zaciętej minie. Kto inny podniósłby go, wziął w ramiona i niósł, idąc od prowincji do prowincji, aż doszliby do domu?

– Dziadku? – rzekł Joseph. Nie otwierał oczu. – Czy to naprawdę ty, dziadku?

Nikt mu nie odpowiedział. Joseph nie był nawet pewien, czy w ogóle wypowiedział te słowa na głos.

Czuł jednak, że to się dzieje naprawdę: ktoś go podniósł, ostrożnie, bardzo ostrożnie i niósł w ramionach jak przewieszony płaszcz. Świeże powietrze przywróciło mu na chwilę przytomność i Joseph spróbował otworzyć oczy, spoglądając spod półprzymkniętych powiek. Byli to dwaj mężczyźni – żaden z nich nie był dziadkiem, choć jeden, o szorstkim i głębokim głosie, był rzeczywiście stary i miał brodę. Jego broda była jednak niechlujną plataniną włosów; był niskim, mocno zbudowanym mężczyzną w ciasnym, żółtym kaftanie i luźnych spodniach, które rozszerzały się na dole nogawek. Ubranie, jakie nosił Lud. Jego twarz, obramowana niechlujnymi posiwiałymi włosami, była twarzą człowieka z Ludu, miał tępe rysy, ciężką szczękę, pękaty nos. Drugi z mężczyzn, którzy go nieśli, wyglądał na o wiele młodszego i także pochodził z Ludu. Mówili językiem Ludu, choć był to język dziwacznie zniekształcony, bardzo nosowy, jakby nieznan.

Joseph uświadomił sobie w tej chwili, że wzywając dziadka na pewno przemówił w języku Panów. Jeśli rzeczywiście wypowiedział te słowa na głos, muszą wiedzieć, kim jest, i całe te miesiące tułaczki poszły na marne. Został schwytany przez buntowników, a teraz na pewno go zabiją.

Cóż, jakie to miało znaczenie? I tak nie przeżyłby dłużej niż dzień albo dwa, nawet gdyby go nie znaleźli. Jeśli jednak mieli go zabić, po co zadają sobie tyle trudu, żeby go gdzieś zanieść? Mogli go wykończyć błyskawicznie skręcając mu kark, jak noktambulo zabijał błotne pęłzacze w lesie Getfen.

Może jednak nie powiedział nic głośno. W takim przypadku nie mieli pojęcia, kim albo czym jest, jakiś żalosny nędzarz śpiący pod krzakiem, zagubiona dusza potrzebująca pomocy. Po raz pierwszy od chwili, gdy opanowała go słabość i senność, Joseph poczuł cień nadziei, że będzie jeszcze żył.

Trzymali go we dwóch, starszy mężczyzna niósł go za kostki, a drugi pod ramiona, unieśli go w górę i delikatnie włożyli do jakiegoś pojazdu; nie był to otwarty wóz, do jakiego się przyzwyczaił podczas podróży między wioskami Tubylców, ale prawdziwa ciężarówka. Ułożyli go w pozycji półsiedzącej. Joseph oparł się, łapiąc oddech i czekał, co się stanie.

– Chcesz kawałek chleba? – spytał starszy.

Joseph pokiwał głową. Czuł się tak otępiały, że nawet nie próbował poskładać zdania w języku Ludu, a bał się odpowiadać w języku Panów.

Drugi z mężczyzn ujął Josepha za rękę i włożył mu do niej coś: oderwany kawałek chleba, twardy, szary, podobny to tego, co ta kobieta z Getfen – jak ona miała na imię? – Joseph nie był w stanie sobie tego przypomnieć – dała mu tej nocy, kiedy to wszystko się zaczęło. Choć bardzo głodny, Joseph długo na niego patrzył zanim podniósł do ust. Nie wiedział, czy zdoła coś przełknąć. Przypomniał sobie tego starego człowieka z Ludu, który ukrywał się w podziemiach Domu Ludbrek – aha, miał na imię Waerna, przynajmniej tyle pamiętał – i jak dał mu jedzenie i picie, które staruszek pewnie zobaczył po raz pierwszy od wielu dni, i patrzył na nie nieśmiało, bojąc się jeść. Teraz on sam był bliski śmierci głodowej jak Waerna, unosząc się w jakimś półsensnym świecie, w którym wzięcie do ust kawałka chleba wydawało się zadaniem niemożliwym. Wiedział, że musi spróbować. Jego dwóch wybawców z Ludu delikatnie go namawiało, w swoim dziwnym, rozwlekłym języku, by trochę zjadł. Kiedy Joseph w końcu podjął próbę, nie potrafił odgryźć ani kawałka. Chleb wydawał się twardy jak kamień, a kiedy dotknął go językiem i poczuł smak, ogarnęło go obrzydzenie i coś szarpnęło mu się w trzewiach jak dzikie zwierzę pragnące wyrwać się na wolność. Joseph odwrócił głowę na bok i mrugał.

– Bardzo spragniony – powiedział. – Najpierw pić. Nie można jeść.

Powiedział to w języku Ludu. Zrozumieli go? Tak. Starszy uniósł butelkę i przytknął mu do ust. Woda. Joseph pił, najpierw ostrożnie, potem bardziej łapczywie. Jaka ulga. Znow uniósł chleb do ust i tym razem zdołał ugryźć kawałek. Żuł go bardzo długo, wreszcie połknął, czując, jakby zaraz miał go zwymiotować, ale jakoś udało mu się utrzymać chleb w żołądku. Zjadł kolejny kawałek. I kolejny. Lepiej.

– Kawałek mięsa? – spytał młodszy.

Już sama myśl sprawiła, że Josepha zemdlilo. Potrząsnął głową.

– To pewnie nie chcesz teraz wina.

– Nie. Nie.

– W mieście się nim zajmą – rzekł starszy. – Musimy jechać.

Joseph usłyszał dźwięk uruchamianego silnika. Przypomniał sobie, że miał ze sobą jakieś rzeczy, sakwę, podręczny zestaw, futrzaną pelerynę, którą dostał w wiosce Tubylców. Nie chciał ich zostawiać na pastwę losu, porzucone gdzieś w krzakach.

– Czekaście – powiedział. – Tam coś jest... moje rzeczy.

Młodszy mężczyzna mruknął coś i wyskoczył z ciężarówki. Kiedy wrócił, chwilę później, niósł coś ze sobą. Delikatnie położył Josephowi pelerynę na kolanach i podał mu pozostałe przedmioty, przyglądając się z zainteresowaniem podręcznemu zestawowi. Ciężarówka ruszyła.

Z tego, jak szybko mężczyzna wrócił, Joseph wywnioskował, że miejsce, gdzie odpoczywał musiało znajdować się o parę jardów od drogi, którą właśnie jechali. Odgłosy ruchu, jakie słyszał leżąc w oszołomieniu, nie były żadną halucynacją. Prawie zdołał dotrzeć do cywilizacji, czy na skraj cywilizacji, choć siły opuściły go dokładnie w chwili, gdy osiągnął cel i pewnie umarłby pod tym krzakiem, gdyby ci ludzie go nie znaleźli. Pewnie weszli w krzaki, żeby sobie ulżyć i ten przypadek ocalił mu życie. O ile rzeczywiście tak się stanie. Wiedział, że jego osłabione ciało może już nie wrócić do formy po trudach długiego, samotnego marszu. A jeśli nawet odzyska siły, nadal nie było jasne, co się z nim stanie, z Panem, który wpadł w ręce Ludu.

## 4

Jechali całymi godzinami. Joseph tracił przytomność i na nowo ją odzyskiwał. Od czasu do czasu słyszał, że mężczyźni do niego mówią i odpowiadał, jak mógł, ale chwilę potem już nie pamiętał, co oni mówili i co im odparł. Czy pytali go, dokąd szedł? Czy im powiedział? Miał nadzieję, że jadą na południe i próbował wydedukować kierunek z położenia słońca, gdy zobaczył je przez malutkie okienko boczne ciężarówki.

Na początku nie wiedział, jak zinterpretować to, co widzi. Gdy jechali autostradą, słońce było przed nimi, a on miał wrażenie, że coś jest nie tak. Potem Joseph przypomniał sobie, że na tej półkuli słońce ma się znajdować na południu. Więc wszystko było w porządku. Jadą w kierunku słońca, zatem muszą jechać na południe. Potem widział je w oknie z prawej strony, co znaczyło, że jest popołudnie, bo słońce przesunęło się ze wschodu na zachód, a zachód musi być po prawej stronie, jeśli jadą na południe. Tak? Tak. Czuł, że myśli ma jasne, umysł sprawny, a mimo to trudno mu było myśleć normalnie: wszystko było strasznym wysiłkiem. Uszkodziłem sobie mózg, pomyślał znów. Oglupiłem się, może trwale. Jeśli nawet wrócę do Domu Keilloran, nie będę się już nadawał do wykonywania pracy Pana, będę musiał ustąpić miejsca Rickardowi, i on odziedziczy Dom, i to mu się bardzo nie spodoba! Cóż jednak mogę zrobić, jeśli okażę się za głupi, by rządzić majątkiem?

Była to bolesna myśl. Zapadł w sen i obudził się dopiero, gdy ciężarówka się zatrzymała, a dwóch mężczyzn wyniosło go, tak jak poprzednio, delikatnie, jakby mocniejszy uchwyt miał sprawić, że się rozpadnie.

Joseph z trudem mógł ustać na nogach. Oparł się na młodszym ze swych wybawców, chwytając go pod rękę i robił co mógł, by stać prosto, ale kiwał się i przechylał, i co chwila musiał podciągać się do pozycji stojącej.

Dotarli do wioski: wioski zamieszkałej przez Lud, jak Joseph przypuszczał. Zupełnie nie przypominała wiosek Tubylców, w których przebywał przez tyle miesięcy. Nie był to ciasny, mroczny labirynt w stylu Tubylców, ciasne rzędy stożkowatych chat z błota i plecionki, stojących koło siebie jak ule wokół centralnego placu z ceremonialnymi budynkami, otoczonego pierścieniem pól uprawianych przez społeczność. Tutaj Joseph dostrzegł rozproszone, kwadratowe drewniane budynki z dachami krytymi strzechą i kamiennymi kominami wystającymi z nich, rozstawione w pewnej odległości od siebie; każdy domek miał

z przodu ładny, mały ogródek otoczony niskim płotem, a z tyłu – coś, co wyglądało na obory dla domowych zwierząt. Między domkami wieśniaków rosła dzika trawa. Zaczynało się ściemniać. Trochę światła dawały powbijane w ziemię pochodnie. Z jednej strony biegł kanał, przez który tu i ówdzie przerzucono łukowate, drewniane mostki. Po drugiej stała wielka, wolno stojąca, zwieńczona kopułą budowla, z symbolem religii Ludu na szczycie – słonecznym dyskiem, z którego na wszystkie strony wychodziły promienie. Wioskowe miejsce kultu. Najbliżej głównego placu znajdował się pusty, nieporośnięty niczym teren, gdzie zatrzymała się ciężarówka, ale to był zwykły parking i nie miał żadnego znaczenia kultowego. Stały na nim w beładzie różne pojazdy, wozy, wózki, ciężarówki i kombajny.

Zauważył, że jego przybycie wywołało poruszenie. Małe grupy wieśniaków opuszczały domy, by go zobaczyć. Większość z nich trzymała się z tyłu, wskazując go palcami i mruczając, ale jeden niski człowiek na szeroko rozstawionych nogach, o najszerszych ramionach, jakie Joseph widział w życiu, prawie pozbawiony szyi, z głową w kształcie pocisku, podszedł wprost do niego i przyjrzał mu się badawczo, przenikliwie.

– To Stappin – szepnął mężczyzna, który go podtrzymywał. – Wójt.

Joseph istotnie wyczuł w mężczyźnie jakąś władczość, siłę, niezmaconą pewność siebie, które z niego emanowały. Nie miał problemu z rozpoznaniem tych cech. Jego ojciec je miał – jak i Pan każdego Wielkiego Rodu – i Joseph dostrzegał je także w Ardardinie, a do pewnego stopnia i u innych wodzów wiosek. Były to niezbędne elementy przywództwa. Celem całej edukacji Josepha było rozwinięcie w sobie podobnych cech.

– O, to przecież jeszcze chłopiec! – rzekł Stappin, przyjrzawszy się Josephowi przez chwilę. – Tak, wygląda staro. Ale oczy ma młode. Kim jesteś, chłopcze? Co tu robisz?

Joseph nie ośmielił się przyznać, że jest Panem. Nie był jednak przygotowany na ten moment. Powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy, ale miał nadzieję, że tak będzie dobrze.

– Jestem Waerna z Domu Ludbrek.

Nie było żadnego powodu, dla którego mieliby kiedykolwiek usłyszeć tę nazwę. Gdyby jednak tak było i gdyby wiedzieli, że Waerna to niemłody człowiek, po prostu powiedziałby, że jest wnukiem Waerny, noszącym to samo imię.

Stappin nie zareagował na to imię ani na domniemane przyznanie się do pochodzenia z Ludu. Joseph mówił więc dalej:

– Buntownicy zniszczyli majątek, gdzie żyłem. Uciekłem w góry. Teraz nie mam domu.

Wypowiedzenie tych słów wyczerpało jego resztkę sił. Kolana mu zmiękły i osunął się prosto na mężczyznę, który go podtrzymywał. Potem wszystko wokół niego zamgliło się, a kiedy otworzył oczy, zobaczył, że leży w jednej z chat i na prawdziwym łóżku – żadnej stercie futer – przykryty prawdziwym kocem i z poduszką pod głową. Kobieta z Ludu przyglądała mu się z matczyną troską. W świetle padającym od powkładanych do kinkietów świec Joseph dostrzegł cztery czy pięć innych postaci w izbie, chłopca czy młodego

mężczyznę, dziewczynkę, kilkoro innych słabo widocznych w cieniu.

– Napijesz się herbaty, Waerna?

Pokiwał głową i usiadł na łóżku. Koc opadł i Joseph zobaczył, że zdjęli z niego ubranie; zobaczył je przy łóżku, brudna sterta tubylczych ubrań. Chyba go też umyli; dotknął skóry i była czysta, chłodna; nie zaznał tego uczucia od wielu dni.

Kobieta włożyła mu do ręki kubek z gorącą herbatą. Joseph pił powoli. Była bardzo łagodna, lekko słodka, łatwo się ją połykało. Kobieta obserwowała go przez chwilę, patrząc, czy zdoła ją wypić. Udało mu się. W sąsiedniej izbie coś się gotowało, jakaś zupa czy potrawka bulgocząca na małym ogniu, której zapach sprawiał, że zaczynał odczuwać mdłości, ale herbata pomogła mu uspokoić żołądek.

– Zjesz coś? – zapytała kobieta.

– Chętnie – odparł Joseph.

Kobieta odwróciła się i powiedziała coś do dziewczynki, a ta wyszła z izby. Joseph bał się, że przyniosą mu coś, co się tam gotowało, a z tym nie będzie mógł sobie poradzić, kiedy jednak chwilę później wróciła, zobaczył, że niesie dwie kromki chleba na talerzu i kubek ciepłego mleka. Przyklękła przy łóżku by podać mu jedzenie i uśmiechnęła się. Zaczął przeżuwać chleb, który był miękki i puszysty, zupełnie inny niż twarda skorupa, którą podsunęto mu w ciężarówce, i łyknął trochę mleka. Dziewczyna nadal na niego patrzyła, trzymając z uśmiechem talerz, na wypadek, gdyby chciał jeszcze.

Podobał mu się jej uśmiech. Pomyślał, że ślicznie się uśmiecha. Sama też była śliczna, jak na dziewczynę z Ludu: miała szeroką twarz, jak one wszystkie, grube kości, szeroki nos, pełne usta, ale miała jasną skórę i proste, krótko przycięte włosy koloru delikatnego złota. O ile potrafił to ocenić, była w jego wieku, może rok albo dwa starsza. Chyba mi się polepszyło, pomyślał, skoro zauważam takie rzeczy.

Czuł się niezręcznie, bo kiedy tak siedział, cała górna połowa jego ciała była naga, i widać było, jaki jest wymizerowany. Wstydził się. Wyglądał jak nieboszczyk, jak szkielet, tylko nadal okryty skórą. Zadrżał i kobieta – ciekawe, czy była matką dziewczyny? – zauważyła to od razu, okryła mu ramiona wełnianym szalem, ciężkim i chropowatym, który nieprzyjemnie drapał jego nagą skórę, ale przynajmniej ukrywał wychudłe ramiona i zapadniętą klatkę piersiową, i oczywiście grzał. Zjadł jeszcze kilka kęsów chleba i dopił mleko.

– Jeszcze? – spytała kobieta.

– Nie. Na razie nie.

Byli dla niego tacy dobrzy. Czy oni nie podejrzewali, patrząc na jego smukłą budowę ciała i delikatne rysy, albo ślady akcentu Panów w głosie, których nie był w stanie ukryć, że należy do wrogiej rasy? Chyba nie. Nie mieli pojęcia o tym, jak tu może brzmieć akcent Panów z Południa, a jeśli chodzi o subtelne rysy, smukły nos i wąskie wargi, to przecież między obydwojma rasami od dawna istniała wymiana genów i nie było niczym dziwnym, że



u przedstawicieli Ludu pojawiały się cechy klasy panującej. Wyglądało na to, że zaakceptowali tę historyjkę o młodym człowieku z ich rasy, uciekinierze ze zniszczonego Domu, daleko stąd.

– Powinieneś teraz odpocząć – rzekła kobieta i wszyscy wyszli z izby.

Znów zapadł w półsen. Później, ale Joseph nie był w stanie określić, ile czasu minęło, chłopiec, czy też młody mężczyzna, który był wcześniej w izbie, przyniósł mu miskę potrawy, która się gotowała i talerz tłuczonej jarzynowej papki. Joseph próbował to zjeść, ale bez większego powodzenia.

– Zostawię trochę, może zjesz później – rzekł chłopiec i Joseph znowu został sam.

Obudził się jakiś czas później z pełnym pęcherzem, wygrzebał z łóżka w ciemnościach nie mając pojęcia, dokąd pójść i potknął się o jakiś mebel, upadając tak, że zahaczył o inny, mały nocny stolik, na którym zostawiono dla niego dzbanek z wodą. Dzbanek wylądował na kamiennej podłodze i roztrzaskał się, robiąc tyle hałasu, że na pewno obudził cały dom, ale nikt nie przyszedł. Joseph przykucnął tam, gdzie się przewrócił, drżący i oszołomiony. Po chwili niepewnie wstał i podreptał do sieni. Ponieważ od pasa w dół też był nagi, a nie chciał, żeby ktoś oglądał jego wychudzone uda i brzuch, a zwłaszcza, żeby zobaczyła go dziewczyna, zdjął kapę z łóżka i owinał ją wokół bioder. Sień była oświetlona światłem księżycy, więc dostrzegł inne izby sypialne i z jednej czy dwóch usłyszał chrapanie. Nie znalazł jednak niczego, co mogło być toaletą.

Potrzeba ulżenia sobie stała się bardzo pilna. Spróbował kolejnych drzwi i te okazały się głównymi drzwiami domu, wyszedł więc na zewnątrz, nie zatrzymując się, ale powolnym, niepewnym krokiem kaleki. Na zewnątrz było cicho. Cała wioska spała. Noc była ciepła, ani śladu wiatru. Na niebie świeciły dwa księżyce. Pod płotem leżał zwinięty wielki, bury pies. Otworzył jedno żółte oko i warknął cicho, ale była to jedyna reakcja na obecność Josepha. Joseph minął psa i szedł wzdłuż ogrodzenia, aż uznał, że oddalił się wystarczająco od domu, odwinął kapę i oddał mocz pod krzakiem. Wszystkie funkcje jego ciała ucierpiały, więc zajęło mu to bardzo dużo czasu, miał wrażenie, że stoi tam godzinami. Jakie to dziwne, pomyślał, stoję na podwórku w wiosce zamieszkałej przez Lud i sikam w świetle księżycy, wolno i długo, jak stary człowiek. To na pewno sen, prawda? To musi być sen. Na pewno sen.

Bez większych problemów odnalazł drogę do własnej sypialni i zapadł w głęboki sen, pierwszy prawdziwy sen od wielu tygodni. Kiedy się obudził, był już od dawna dzień: do pokoju wlewały się potoki słonecznego światła. Podczas jego snu ktoś wchodził do pokoju, ustawił przewrócony stolik i posprzątał kawałki rozbitego dzbanka. Miska potrawy i talerz z tłuczonymi jarzynami nadal leżały na kredensie, gdzie zostawił je chłopiec. Joseph poczuł silny głód i gwałtownie wyskoczył z łóżka, czy raczej próbował, bo zawrót głowy zmusił go, by usiadł, drżąc, wstrząsany niewielkimi spazmami. Kiedy drzenie ustało, znów się uniósł, tym razem ostrożnie, powoli przeszedł przez pokój, zjadł kilka łyżek jarzyn, kilka łyków potrawy. Nie był tak głodny, jak mu się wydawało. Najważniejsze, że jest w stanie utrzymać

jedzenie w żołądku; po chwili zdołał zjeść jeszcze trochę.

Przygotowali dla niego ubranie: przyzwoite odzienie, w jakim chadzał Lud, brązowe spodnie z bawełny, koszulę z szarej wełny, skórzaną kamizelkę, parę otwartych sandałów. Nic na niego nie pasowało: spodnie były za krótkie, koszula za ciasna, kamizelka za luźna w ramionach, sandały za małe. Pewnie większość tych rzeczy należała do chłopca. Wkładając je czuł się jednak lepiej niż pozostając nago, bez względu na to, czy ubranie pasowało czy nie, i było też lepsze od owijania się kapą, czy też włożenia z powrotem brudnego ubrania od Tubyłców.

Do izby weszła kobieta, która opiekowała się nim zeszłej nocy. Miała jakieś czterdzieści lat i była pulchna, ze zmęczonymi, podkrążonymi oczami, ale ciepłym, przymilnym uśmiechem. Za nią weszła dziewczyna i młody chłopak, którzy poprzedniego wieczora byli w pokoju.

– Jestem Saban – rzekła kobieta. – A to moja córka Thayle i mój syn Velk.

Velk miał jakieś osiemnaście albo dwadzieścia lat, był niski, mocno zbudowany, o tępych oczach, pewnie niezbyt inteligentny. Thayle nie wyglądała na aż taką piękność, jak wczoraj wieczorem, teraz wszak Joseph dostrzegał pewną toporność jej budowy, jak to u przedstawicieli Ludu, ale była urocza i radosna, a Josephowi spodobała się jej gładka, czysta skóra i połysk jej blond włosów. Nie przypuszczał, żeby miała więcej niż szesnaście lat, może nawet o rok czy dwa mniej. Kobiety i mężczyźni z Ludu zawsze wyglądali na starszych niż w rzeczywistości byli, z powodu krępej budowy, szerokiej piersi i cienkich ramion. Saban wskazała trzecią osobę, przygarbioną, stojącą w dalszej części pokoju, i rzekła:

– To mój chłop, Simthot.

Miał jakieś pięćdziesiąt lat i był jeszcze niższy od syna, przysadzisty mężczyzna o potężnych ramionach i dłoniach, mocno opalanej skórze i niezliczonych zmarszczkach na pozbawionej wyrazu twarzy, świadczących o latach ciężkiej pracy.

– Jesteś gościem w naszym domu i możesz zostać, jak długo zechcesz – rzekła Saban, a Simthot z emfazą pokiwał głową. Chyba był przyzwyczajony do tego, że żona mówi za niego.

– Dziś rano czuję się o wiele lepiej – rzekł Joseph. – Dobrze znów spać w takim wygodnym łóżku i wreszcie się najeść. Dziękuję wam za waszą dobroć.

Czy nie wypadło to zbyt formalnie, za bardzo w pańskim stylu? Choć przemówił w języku Ludu, bał się, że zdradzi swoje arystokratyczne pochodzenie, jeśli będzie się za dobrze wyrażał. Zastanawiał się, czy piętnasto – lub szesnastoletni chłopiec z Ludu tak opanowałby sztukę wymowy.

Saban nie okazała jednak cienia podejrzeń. Powiedziała mu tylko, że cieszy się, iż nocny odpoczynek tak mu pomógł, i ostrzegła, żeby nie próbował się za szybko forsować. Podsunęła mu, że tymczasem powinien wrócić do łóżka.

Rada wydała się rozsądna. Nie miał już wrażenia, że stoi na skraju śmierci, ale wiedział, że jeszcze trochę czasu musi minąć, zanim odzyska swój zwykły wigor.

Thayle przyniosła mu herbatę z miodem i stała przy jego łóżku, gdy pił. Gdy skończył, spytał, czy mógłby dostać więcej chleba, tego, który jadł wczorajszego wieczora, przyniosła mu więc chleb i z satysfakcją patrzyła, jak je. Zupełnie jak jej matka, interesowała się jego powrotem do zdrowia w sposób prawie matczyzny.

Musiał znów udać się za potrzebą, i to poważniejszą niż w nocy, a od wielu dni mu się to nie udało. Nadal jednak nie wiedział dokąd pójść. Choć będąc w jakimkolwiek Wielkim Domu Joseph nie zawahałby się przed zapytaniem pierwszego lepszego służącego o drogę do ustronnego miejsca, czuł jakiś dziwny opór w obecności tej dziewczyny. Nie był nawet pewien, czy zna właściwe słowo w języku Ludu i to również stanowiło problem. Po chwili zwrócił się do niej, czując, że policzki mu płoną:

– Thayle, muszę... gdybyś mi pokazała, gdzie jest...

Oczywiście zrozumiała od razu. Nie pozwolił, by pomogła mu podnieść się z łóżka, choć doznał nieprzyjemnego zawrotu głowy i nie dał się podtrzymać, gdy szli do toalety, która znajdowała się z tyłu domu. Wiedział, że czeka na niego, by odprowadzić go do pokoju, więc spróbował załatwić sprawę jak najszybciej, ale i tak nie potrafił jej spojrzeć w oczy, gdy się stamtąd wynurzył, bo jego ciało nadal nie funkcjonowało normalnie. Powiedziała tylko:

– Chciałbyś wyjść na dwór, na świeże powietrze i słońce?

– Bardzo chętnie – odparł.

Wyszli do kuchennego ogrodu. Ciepłe promienie słońca padały mu na twarz. Stała blisko niego, jakby się bała, że może być zbyt słaby, by utrzymać się na nogach. Jej pierś lekko dotykała jego boku i Joseph zdziwił się, jak wielką przyjemność mu to sprawia. Czuł, że jest dla niego atrakcyjna, mimo że pochodziła z Ludu, co było nieco niepokojące, ale na swój sposób ciekawe. Chyba za długo już przebywam z dala od swoich, pomyślał.

Przypuszczał, że zbliża się południe. W pobliżu nie było widać zbyt wielu wieśniaków, tylko kilkoro małych dzieci bawiło się w piasku, a starzy ludzie wysiadali na gankach domów. Reszta pewnie pracuje na polach, pomyślał, albo wypasa stada. Jaka sielska scena. Pies, który spał pod płotem, nadal leżał zwinięty na ziemi i obrzucił go szybkim spojrzeniem jednego oka, po czym warknął, zanim znów zapadł w sen. Niełatwo było uwierzyć, że wszędzie indziej toczy się krwawa wojna, majątki pali się i burzy, ludzie udają się na wygnanie.

– Jak się nazywa ta wieś? – spytał Joseph po chwili.

– To miasto, nie wieś – odparła Thayle. Najwyraźniej miało to jakieś znaczenie.

– To miasto, w takim razie.

– Nie wiesz? Przystań Eysara.

– Aha. Przystań Eysara.

– Kiedyś nazywano je inaczej, ale było to tak dawno temu, że nikt już nie pamięta. Potem zmieniono nazwę na Przystań Eysara, bo on tu kiedyś naprawdę był.

– On? Ten Eysar?

– Tak, oczywiście, któż inny? Naprawdę tu był. Niektórzy ludzie nie wierzą, że Eysar istniał naprawdę, myślą, że to tylko mit, ale to nieprawda. Był tu. Całe tygodnie, kiedy dokonywał Przejścia. Wiemy, że tak było. A potem nazwano jego imieniem miasto. Jak cudownie chodzić po tej samej ziemi, po której kiedyś stąpił Eysar, prawda?

– Tak. Na pewno – odparł ostrożnie Joseph.

Poczuł, że znalazł się na niebezpiecznym gruncie. W głosie Thayle była cześć i trwoga. Eysar musiał być jakimś bohaterem z Ludu, którego imię znali wśród Ludu wszyscy. Joseph nigdy jednak o nim nie słyszał. Był tu całe tygodnie, kiedy dokonywał Przejścia. Co to może znaczyć? Wykształcenie Panów nie obejmowało obszernego kursu historii Ludu, ani jego mitologii. Joseph przypuszczał, że Eysar był jakimś królem Ludu w dawnych czasach poprzedzających Podbój, czy też liderem pierwszej wyprawy Ludu na Ojczyznę, a może jakimś charyzmatycznym, czyniącym cuda, przywódcą religijnym. Sama myśl, że Lud kiedyś miał swoich wielkich królów, sławnych bohaterów, czy czczonych przywódców, wydawała mu się dziwna, bo nigdy nie przyszło mu to do głowy. Nie chciał zdradzać Thayle, że nie ma pojęcia, kim był Eysar, co to było Przejście, ani nie zna żadnych istotnych faktów z historii Ludu.

Zaczął się zastanawiać, jak by tu zmienić temat, ale Thayle zrobiła to za niego.

– Skąd jesteś? – spytała. – Mówiłeś, że z Domu Ludbrek. Gdzie to jest?

– Na północy. Po drugiej stronie gór.

– Tak daleko? Straszny kawał drogi. Naprawdę szedłeś pieszo? Nic dziwnego, że taki jesteś wymizerowany. Jaka to dziwna nazwa miasta – Dom Ludbrek.

– To nie jest nazwa miasta. To nazwa Wielkiego Domu, który zarządzał tym regionem.

– Domu Panów? – upewniła się Thayle. – To masz na myśli?

Brzmiało to, jakby system Wielkich Domów z przylegającymi do nich miastami zamieszkałymi przez Lud był dla niej czymś równie tajemniczym, jak dla niego czyny Eysara.

– Tak, Domu Panów – przytaknęła. – Wszyscy należeliśmy do Domu Ludbrek. Całe setki. Ale buntownicy spalili Dom, a ja uciekłem. Wy tutaj nie należycie do żadnego domu, tak?

– Oczywiście, że nie. Jesteś wśród kajlingów. Nie zauważyłeś tego?

– Tak, tak, oczywiście, sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem...

Kajlingowie.

Także i to słowo było dla niego nieznanne. Pewnie odnosiło się do wolnego Ludu, który jakimś cudem pozostał poza jurysdykcją Panów, poza dominującą strukturą ekonomiczną tego świata. I znów Joseph dostrzegł, jak niewiele wie o tych ludziach i jakie zagrożenia mogą na niego czyhać. Jeśli będzie dalej ciągnął tę rozmowę, dziewczyna na pewno odkryje, że Joseph jest oszustem. Musiał ją jakoś przerwać.

Potrząsnął głową, jakby chciał oprzytomnieć i zachwiał się, po czym przechylił w jej stronę, jakby miał zamiar upaść. Złapała go – był tak lekki, tak wychudzony – i podtrzymała, obejmując ramieniem, aż znów udało mu się stanąć pewnie.

– Przepraszam – wymamrotał Joseph. – Tak ni stąd, ni zowąd zakręciło mi się w głowie...

– Może powinniśmy wejść do domu – zaproponowała.

– Tak. Chyba tak. Chyba jeszcze nie jestem na tyle silny, żeby tak dużo chodzić.

Zaczęli iść w stronę domu, a Joseph bezwstydnie oparł się na niej. Dziewczyna prędej przejdzie do porządku dziennego nad jego pomyłkami i niewiedzą, jeśli będzie przekonana, że nadal jest wyczerpany i ogłupiały. Z przyjemnością wśliznął się do łóżka. Gdy spytała, czy chce czegoś do jedzenia, Joseph przyznał, że chętnie by coś zjadł, przyniosła więc miszkę wczorajszej potrawy, którą zjadł z rosnącym entuzjazmem. Potem oświadczył, że chciałby się trochę przespać, więc odeszła.

Nie spał jednak. Leżał i roztrząsał ich rozmowę: Eysar, kajlingowie, Przejście – rozpamiętywał także miłe uczucie, jakie zapewniała pierś Thayle przy jego boku. Dobrze mu było w jej towarzystwie. A ona chętnie przypisywała sobie sukces związany z jego powrotem do zdrowia. Joseph dostrzegał jednak, że bardzo łatwo może się zdradzić. Jego wiedza na temat podstawowych faktów związanych z życiem i historią Ludu miała wielkie luki.

Stappin, wójt miasta, odwiedził Josepha późnym popołudniem. Joseph leżał nadal w łóżku, gapiąc się w przestrzeń, żałując, że nie ma odwagi wyjąć jakiejś książki z plecaka i zacząć czytać, gdy pojawił się ten energiczny mały człowiek o szerokich ramionach i głowie o kształcie pocisku. Joseph natychmiast poczuł się nieswojo. Skoro omal nie ujawnił prawdy w luźnej rozmowie z dziewczyną, jakie miał szanse przy tym człowieku o stalowym spojrzeniu, robiącym wrażenie bezlitosnego? Człowieku, który przybył, by go przesłuchać? A co się z nim stanie, rozmyślał, gdy Stappin odkryje jego tajemnicę?

Wójt najwyraźniej czegoś się już dowiedział. Nie tracił czasu na formalności. I od razu dał po sobie poznać, że ma podejrzenia co do historyjki Josepha.

– Powiedziałeś, że pochodzisz z Domu Ludbrek. Tak mówiłeś wczoraj. Jak to możliwe? Są tu ludzie, którzy słyszeli o tym miejscu. Mówią, że Dom Ludbrek jest bardzo daleko stąd. Za górami.

– Tak – odparł beznamiętnie Joseph. Patrzył prosto w oczy wójtowi. Jestem Joseph Pan Keilloran, powtarzał sobie w duchu, a ten mężczyzna, choć potężny, jest tylko wójtem jakiejś zamieszkałej przez Lud miejsciny. Jeśli będę ostrożny, poradzę sobie bez problemu. – Po drugiej stronie, w Górnej Manzie.

Jeśli będę ostrożny, właśnie.

Pozwolił jednak, by wymknęły mu się słowa o Górnej Manzie. Od razu tego pożałował. Zastanawiał się, czy Lud w ogóle używał tego określenia na północną część kontynentu, czy też był to wyłącznie pomysł Panów?

Wyglądało na to, że już pierwszą wypowiedzią wpędził się w tarapaty. Uznał, że musi być mniej spontaniczny przy udzielaniu odpowiedzi. Im mniej będzie mówił, tym mniejsza szansa, że popełni błąd, który ujawni jego prawdziwą tożsamość. To błąd, że jeszcze przed chwilą przypominał sobie, że jest Josephem Panem Keilloranem; teraz był Waerną z Domu

Ludbrek, i musi być Waerną od stóp do głów.

Stappin najwyraźniej nie zwrócił uwagi na to określenie – zastanawiał się nad niemożnością odbycia takiej podróży. Powiedział więc:

– To są setki mil. Była zima. W zimie pada deszcz, czasem śnieg. Nie ma za wiele jedzenia. Nikt nie mógłby przeżyć takiej podróży.

Joseph wskazał na swoje wymizerowane ciało, na postrzępioną, splątaną brodę.

– Jak widzisz, niewiele brakowało, żebym jej nie przeżył.

– Tak. Ale nie przeżyłbyś jej, gdybyś był całkiem sam. Ktoś ci musiał pomóc. Kto?

– Tubylcy – odparł Joseph. – Myślałem, że wiesz!

Stappin wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Nie zrobiliby nic takiego. Tubylcy zajmują się wyłącznie sobą. Nie zrobiliby nic dla kogoś, kto jest z innej rasy.

– Ale tak było! – upierał się Joseph. – Patrz, patrz tylko – wskazał wystrzępione tubylcze ubrania, które miał na sobie, gdy przywieziono go do Przystani Eysara. Saban czy Thayle wyprały je i położyły, starannie poskładane, w kącie pokoju. – Ta tkanina – to robota Tubylców! Patrz, wójcie Stappin! Dotknij! Czy to może być coś innego niż tubylczy splot? I ta futrzana peleryna. Dali mi ją. Przyjęli mnie do siebie, nakarmili, przewozili z wioski do wioski.

Stappin przetrwał to wszystko w milczeniu. Nie sposób było określić, co się kryje za tymi oczami o twardym i zimnym spojrzeniu.

Potem nagle odezwał się:

– Czemu mówisz tak dziwnie?

Joseph zmusił się, by spojrzeć wójtowi w oczy i wytrzymać to spojrzenie.

– A co takiego dziwnego jest w mojej mowie, wójcie Stappin?

– Jest inna niż nasza. Twój ton głosu. To, jak składasz słowa.

Spokojnie, pomyślał. Tylko spokojnie.

– Jestem z Domu Ludbrek z Górnej Manzy, i tak tam mówimy. Może trochę z mowy Panów przeszło do naszej i ją zmieniło. Nie wiem.

– Tak. Zapomniałem, wy tam jesteście stendligami.

Kolejne nowe słowo. Joseph odgadł z kontekstu, że jest to przeciwieństwo „kajlingów” i pewnie oznacza poddanego, niewolnika albo wasalą. Coś w tym rodzaju.

Wzruszył tylko ramionami. Nie zamierzał się wdawać w dyskusję na temat słowa, które nie do końca rozumiał.

– A jak to się stało – spytał Stappin, z podejrzliwością w głosie – że ty i Tubylcy staliście się takimi wielkimi przyjaciółmi?

– Rewolucja – wyjaśnił Joseph. – To przede wszystkim.

Przyglądał się Stappinowi uważnie. Joseph wydedukował, że Lud z Przystani Eysara nie tylko nie wziął udziału w rebelii, ale i nie wiedział wiele na ten temat. Stappin nie

zakwestionował użycia tego określenia. W ogóle nie zareagował. Stał jak dotąd, w bezruchu, przy łóżku Josepha, na szeroko rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami na biodrach, czekając.

– To było w nocy – rzekł Joseph. – Przyszli i pozabijali Panów. – Szukał w pamięci imion, jakie wymienił stary Waerna, imion zabitych Panów, ale nie przypomniał sobie. Jeśli Stappin go o to zapyta, coś wymyśli i będzie miał nadzieję, że się uda. Stappin jednak nie pytał o imiona.

– Zabili wszystkich, mężczyzn i kobiety, a nawet dzieci, i spalili ich ciała, a potem spalili dom. Wszystko zniszczone. Nic nie zostało, tylko zgliszcza, a wszyscy Panowie Domu Ludbrek nie żyją.

– Ty też ich zabijałeś?

– Ja? Nie, skąd! – udawanie zaszokowanego przyszło mu bez trudu. – Wójcie Stappin, pochodzę z Ludu Domu Ludbrek. Nigdy nie podniosłbym ręki na Panów Domu.

– Tak, jak to stendling – rzekł Stappin. Jego ton nie wyrażał potępienia, po prostu stwierdzał fakt. Z drugiej strony, Joseph nie miał już wątpliwości co do znaczenia tego słowa.

– Wystąpienie przeciwko Panom nie leży w mojej naturze – rzekł. – Jeśli to świadczy na moją niekorzyść, trudno. Ale taki jestem.

– Nic takiego nie mówiłem – rzekł Stappin, po czym mrugnął oczami i spytał: – Jaka była twoja praca w Domu Ludbrek?

Joseph był zupełnie nieprzygotowany na takie pytanie.

– Pracowałem w stajniach – zaimprovizował niezrażony. – Zajmowałem się bandarami i ganilami.

– A gdzie byłeś, kiedy zabijali Panów i podpalali Dom?

– Ukrywałem się. Pod gankiem, który wychodzi na ogród. Bałem się, że mnie też zabiją. Słyszałem, że Lud zabija swoich, którzy są wierni Panom, wszędzie w Górnej Manzie, i gdzie indziej.

– A co zrobiłeś, jak rzeź się skończyła?

– Wyszedłem, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Uciekłem do lasu i jakoś przeżyłem parę dni. Potem spotkałem w lesie noktambula, a on zaprowadził mnie do wioski Tubylców. Zraniłem się w nogę i nie mogłem iść, Tubylcy przyjęli mnie i pomogli.

W głosie wójta pobrzmiwał sceptycyzm. Pewnie te opowieści brzmią dla niego jak bajki dla dzieci, pomyślał Joseph. Jako że wszystko, o czym mu teraz opowiadał, było najprawdziwszą prawdą, Joseph pomyślał, że chyba już pokonał krytyczny etap przesłuchania. Kiedy zmyślał, składał historyjkę z kawałków zapożyczonych od starego Waerny, zawsze istniało ryzyko, że Stappin przyłapie go na kłamstwie. Od tego jednak momentu nie musiał już niczego wymyślać, więc prędzej czy później Stappin powinien uznać jego historię za prawdziwą.

– Kiedy wyzdrowiałem – mówił dalej – zacząłem służyć Tubylcom. Wiem, że to może

brzmi dziwnie, ale mam pewne umiejętności lekarskie, od pracy w stajni. Kiedy to odkryłem, Tubylcy z wioski zaczęli korzystać ze mnie jako lekarza. – Joseph wyjaśniał dalej, jak go sprzedali swoim pobratymcom, a potem – jak go przekazywali od wioski do wioski na wyżynach, kiedy nadeszła pora deszczowa. Tutaj też wójt nie może dopatrywać się znamion kłamstwa, bo wszystko było prawdą. – I wreszcie – powiedział – zmęczyło mnie życie wśród Tubylców. Uciekłem z wioski i opuściłem góry. Ale nie wiedziałem, że ta kraina jest taka pusta. Nie było Wielkich Domów, nie było wioski Ludu, nie było nawet Tubylców. Skończyło mi się jedzenie, jakie miałem ze sobą, i nie mogłem znaleźć nic do jedzenia. Przez wiele dni jadłem tylko owady, a czasem nic. Myślałem już, że umrę. I wtedy znalazło mnie dwóch ludzi z Przystani Eysara.

Oparł się na poduszkach, wyczerpany długim przemówieniem, i usiłował sobie wyobrazić, o co jeszcze Stappin może go zapytać. Nie byłoby rozsądnie przyznawać się do tego, że idzie na południe, bo z jakiego niby powodu miałby chcieć się tam dostać? Najlepsza chyba będzie odpowiedź, że nie miał żadnego planu, jego Dom legł w gruzach, nie miał dokąd pójść, nie miał przed sobą żadnego celu. Mógł powiedzieć, że nie zdołał jeszcze opracować żadnego planu, a przecież przez najbliższe tygodnie i tak nie będzie w stanie gdziekolwiek iść. Później, jak już wyzdrowieje, wymknie się jakoś z Przystani Eysara i będzie podróżował dalej, do Helikis, ale teraz wójt Stappin nie musi o tym wiedzieć.

Pytanie, na które czekał, jednak nie padło. Stappin milczał jeszcze przez chwilę, po czym rzekł, tonem nie znającym sprzeciwu:

– Miałeś wielkie szczęście, młody Waerno. Tu znajdziesz dom. Saban i Simthot chcą dać ci schronienie w swoim domu i przyjąć cię do rodziny. Kiedy odzyskasz siły, będziesz dla nich pracował, i w ten sposób pokryjesz koszty swojego utrzymania.

– To uczciwy układ. Mam nadzieję, że nie będę dla nich ciężarem.

– W Przystani Eysara nie pozwalamy przybyszom umrzeć z głodu – oświadczył Stappin i ruszył do drzwi. Przekonany, że rozmowa dobiegła końca, Joseph poczuł ogromną ulgę. Wójt jednak chciał jeszcze o coś zapytać. Zatrzymał się w progu i rzucił:

– Kto był twoim dziadkiem, chłopcze? Joseph oblizał usta.

– Waerna. Także miał na imię Waerna.

– To imię z Ludu, Waerna. Pytałem o twój prawdziwy dziadka, którego krew płynie w twoich żyłach.

– Kogo? – Joseph był zbity z tropu i nieco wystraszony.

– Nie udawaj. Masz w sobie krew Panów, czyż nie? Myślisz, że tego nie widać? Spójrz na siebie! Ten nos. Te oczy. Nic dziwnego, że pozostałeś lojalny swojemu Rodowi, kiedy wybuchła rewolucja. Krew jest lojalna krwi. Powiedziałbym, że jest w tobie tyle samo krwi Panów, co krwi Ludu. Stendlingowie! – Pogarda w jego głosie była wyraźna.

I wtedy wyszedł, a Joseph opadł na poduszkę, otępiały, pusty.

Był jednak bezpieczny. Mimo podejrzeń, przyjęli go. W ciągu dni, które nadeszły, siły



wracały mu szybko. Karmili go dobrze; Joseph czuł się winny, wiedząc, że nie zostanie tu na tyle długo, by odplacić Saban i Simtothowi za ich wysiłek, ale może będzie można coś z tym zrobić, kiedy dotrze do domu. Na razie jego główną troską było, jak podjąć dalszą podróż. Gdy Joseph przyzwyczał się do regularnych posiłków, jadł coraz bardziej obficie. Czasem jadł za dużo i musiał się oddalić, by ukryć mdłości i przesyty, jakich nabawił się z powodu swojej łapczywości. Wracał do swojej normalnej wagi. Nie wyglądał już jak chodzący szkielet. Thayle obcięła mu włosy, zmierzwione i zmatowiałe, sięgające ramion, i teraz były znacznie krótsze, o długości preferowanej przez ludzi z Przystani Eysara. Velk przyniósł mu lustro i nożyczki, Joseph więc mógł przyciąć sobie brodę, która rozrosła mu się chaotycznie na twarzy i szyi. Od miesięcy nie widział własnego odbicia i przeraził się tym, co zobaczył w lustrze: wystające policzki jak ostrze noża i płonące szaleństwem oczy. Ledwo poznał sam siebie. Wyglądał na starszego o pięć lat i bardzo się zmienił.

Jak dotąd nikt nie wspominał o pracy. Kiedy był na tyle silny, by samodzielnie się poruszać, wychodził zwiedzać miasteczko, zwykle sam, czasem w towarzystwie Thayle. Odkrył, że w jej towarzystwie bardzo miło spędza czas. Jej toporne kształty, charakterystyczna dla Ludu szerokość ramion i szerokie biodra nie stanowiły już dla niego niemiłego widoku; zrozumiał, że jego ideał kobiecej urody dostosował się do realiów. Uważał ją za atrakcyjną, nawet bardzo. Czasem, gdy leżał, czekając aż nadejdzie sen, marzył o tym, żeby przycisnąć wargi do jej ust, dotknąć jej piersi, wśliznąć się między jej rozłożone uda. Intensywność tych fantazji była dla niego czymś zupełnie nowym.

Oczywiście robił wszystko, by nie okazywać Thayle swoich fascynacji. Podróż zmieniała go na wiele sposobów, a niepewność, jaką odczuwał w obecności dziewcząt, była teraz zaledwie dalekim wspomnieniem z dzieciństwa, ale nadal uważał, że byłoby bardzo niewłaściwe, gdyby odplacił się gospodarzom za ich życzliwość uwodząc ich córkę. I tak rzadko przebywał z nią sam na sam. Podobnie jak ojciec i brat, a czasem matka, codziennie pracowała całymi godzinami w polu. Był środek lata i uprawy szybko dojrzewały. Joseph stopniowo też odkrył, że Thayle ma romans z jednym z młodych ludzi z miasta, niejakim Grovinem, który chyba był jej kochankiem, a pewnie też narzeczonym. I to też należało mieć na uwadze.

Joseph widywał go czasem w mieście: szczupły chłopak o twarzy cwaniaczka i ruchliwych oczach; miał może osiemnaście albo dziewiętnaście lat i wyglądał pospolicie. Joseph nie był wcale zaskoczony, gdy odkrył, że Grovin go nie lubi, ale nieco go to zmieszało. Nie spotykał się z nim bezpośrednio.

Samo miasteczko było cichą, skromną miejscowością, zamieszkaną przez jakieś dwa albo trzy tysiące ludzi, choć rozpościerało się na znacznym terenie. Wszystkie domy zbudowano w jednym miejscu; budynki publiczne w drugim, a dookoła leżały tereny uprawne – całe miejskie posiadłości podzielono na niewielkie działki należące do poszczególnych rodzin, a nie wspólne jak u Tubylców, choć Joseph przypuszczał, że podczas żniw mieszkańcy pracują

wspólnie, przemieszczając się z pola na pole.

Pewnie tak żył Lud, zanim się tu pojawiliśmy, pomyślał Joseph. Proste, ciche życie, uprawa roli, dogłądanie inwentarza, wychowanie dzieci i przekazanie wszystkiego następnym pokoleniom. Pewnie tak żył i Lud należący do Wielkich Rodów, ale wszystko robili w służbie swoich Panów, a choć dobry Pan traktował Lud dobrze, fakt faktem, że spędzali całe życie pracując dla Panów, a dla siebie tylko pośrednio.

Stendlingowie. Cała planeta stendlingów, i to my do tego doprowadziliśmy. Zostało tylko parę miasteczek kajlingów na pustkowiu. Joseph nie widział w tym nic złego. Wójt Stappin i obywatele Przystani Eysara mogli jednak mieć na ten temat inne zdanie.

Pomiędzy kilkoma budynkami użyteczności publicznej, które tworzyły centrum miasteczka, stał pomnik mężczyzny: człowiek w średnim wieku, wyglądający na pochodzącego z Ludu, o szczupłych udach i szerokiej piersi, z włosami opadającymi na czoło w formie grzywki, wyrzeźbiony z szarego granitu, na piedestale z czarnego kamienia. Nie przedstawiono go z dużą liczbą szczegółów, ale emanowała z niego jakaś mądrość i życzliwość oraz ciepło, gdy tak stał, patrząc na samo centrum miasteczka.

Joseph nie znalazł na podstawie statui żadnego napisu, który pozwoliłby określić tożsamość mężczyzny. Nie ośmielił się pytać przechodzących obok ludzi. Na pewno był to Eysar, gdyż nazwano miasteczko jego imieniem. Pewnie każdy wiedział, jak wyglądał Eysar; podpisywanie jego pomnika nie było konieczne. Joseph zastanawiał się, czy kiedykolwiek się dowie, kim był rzeczywiście.

Dni były ciepłe, a Joseph spędzał je głównie na lenistwie. Wydobrzył już na tyle, że mógł wyruszyć do domu, ale sama idea „domu” była już na tyle niewyraźna, że nie widział pilnej potrzeby wyruszenia w dalszą podróż. Któż mógł przewidzieć, jakie trudności oczekiwały na niego, gdy wyruszy z Przystani Eysara? Teraz już wiedział, co to znaczy głodować. Tu karmiono go dobrze, miał wygodne łóżko, czuł wdzięczność wobec Saban i jej rodziny. Uderzyło go, że zupełnie serio rozważa, czy nie zostać tu dłużej, pracując z Thayle, Velkiem, Simtothem na polach należących do rodziny, pomagając przy żniwach, żyjąc, jakby był naprawdę chłopcem z Ludu, Waerną z Domu Ludbrek, który teraz został obywatelem miasta Przyszań Eysara.

Jego dusza Pana wiedziała jednak, że to nonsens, że jego obowiązkiem jest odejść stąd jak najszybciej, gdy tylko będzie do tego zdolny, i ruszyć w stronę Helikis, w stronę Domu Keilloran, w stronę ojca, braci i siostr, którzy pewnie nadal go oplakują i niezmiernie ucieszą się jego widokiem. Przemawiała przez niego słabość, choroba, jakiej nabawił się jedząc korzonki i mrówki, i tylko ona skłaniała go, by tu zostać. Był to znak, że ciągle jeszcze nie wyzdrowiał.

Dni mijały, a on nie zmuszał się do tego, by znów stać się Josephem Panem Keilloranem. I nagle, pewnego ciepłego, wilgotnego, letniego wieczora, gdy spacerował po polach z Thayle, między dojrzewającymi kłosami zbóż, wszystko nagle spadło na niego ze zwiększoną

mocą jak piorun z jasnego nieba, jak trzęsienie ziemi, jak kataklizm lub wybuch wulkanu.

– Zobacz, Thayle, jakie są te kłosa – powiedział. – Jakie pełne. Jakie ciemne. Za jakiś miesiąc zniwa, prawda? Będę mógł wam wtedy pomóc.

– Zostaniesz z nami aż tak długo, Waerna? – odparła słodkim tonem. – Nie zaczynasz myśleć o tym, żeby wrócić do swoich?

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Своich? Nie mam już swoich. Lud Domu Ludbrek rozproszył się, jeśli w ogóle żyje. Nie wiem, gdzie są.

– Nie mówię o Ludzie Domu Ludbrek. Mówię o twojej rodzinie. Tej prawdziwej.

Ta wypowiedź wstrząsnęła nim. Czuł się jak mała łódka nagle rzucona na wzburzone wody.

– Co? – spytał pozornie obojętnym tonem. Nie mógł się zmusić, by na nią spojrzeć. – Chyba nie rozumiem...

– Wiem, kim jesteś – oznajmiła Thayle.

– Kim jestem?

– Tak, kim jesteś. – Złapała go za rękaw i przyciągnęła do siebie blisko. Uśmiechała się, a oczy dziwnie jej lśniły. – Jesteś Panem, prawda, Waerna?

Sam dźwięk słowa uderzył go jak młotem. Poczuł, że serce mu wali i zaczyna mu brakować oddechu. Josephowi udało się jednak doprowadzić do tego, że na jego twarzy pojawił się tylko wyraz łagodnego zaskoczenia.

– To jakaś bzdura, Thayle. Skąd ci przyszło do głowy...

Nadal się uśmiechała. Była całkowicie pewna prawdziwości swoich słów.

– Wyglądasz jak Pan. Widziałam już różnych Panów. Wiem, jak wyglądają. Jesteś wysoki i szczupły: widziałeś kogoś takiego, w Przystani Eysara? I masz ciemniejsze włosy niż my. Najciemniejsze, jakie widziałam. I ten kształt nosa... twoje usta...

Mówiła łagodnym tonem, jakby się z nim przekomarzała. Jakby to była jakaś zabawa. Może dla niej była. Ale nie dla niego.

– Mam w sobie trochę krwi Panów – Joseph mówił cicho, choć nie przychodziło mu to z łatwością. – Stappin coś o tym mówił, parę tygodni temu. Zauważył od razu. Pewnie to prawda. Takie rzeczy się zdarzają.

– Trochę krwi Panów, Waerna? Trochę?

– Tak, trochę.

– Umiesz czytać. Wiem, że tak. W sakwie, którą niosłeś, są książki i pewnej nocy, kiedy byłam przy domu, i było bardzo późno, zajrzałam przez okno, i zobaczyłam, że nie śpisz, tylko czytasz. To książka Panów. Jakaż inna mogłaby być? I ty ją czytałeś. Wyglądasz jak Pan, czytasz jak Pan i masz małą skrzynkę z narzędziami Panów. Obejrzałam je, jak sprzątałam ci pokój. Nigdy niczego podobnego nie widziałam. I twoje książki. Wzięłam książkę do ręki i nacisnęłam guzik, a na ekranie pokazały się słowa Panów.

– W Domu Ludbrek żyłem wśród Panów. Nauczyli mnie czytać, żebym lepiej im służył.

Zaśmiała się.

– Nauczyli chłopca stajennego czytać, żeby był lepszym chłopcem stajennym?

– Tak. A ten zestaw podręczny, który widziałaś – ukradłem go z Domu Ludbrek, kiedy uciekałem. Książki też. Przysięgam, Thayle, mogę przysiąc, na każdego boga, na którego każesz mi przysiąc...

– Nie – położyła mu rękę na ustach. – Nie kłam i nie krzywoprzysięgaj. To tylko pogorszy sprawę. Wiem, kim jesteś. To musi być prawda. Nigdy nie słyszałeś o Eysarze, nie znasz nazw naszych świąt, są tysiące innych rzeczy, które mi też nie pasują. Nie wiem, czy ktoś jeszcze to dostrzegł, ale ja tak.

Był to twardy orzech do zgryzienia. Mógł blefować ile chciał, ale i tak by mu nie uwierzyła. Myślała, że wie, kim Joseph jest, i była pewna, że ma rację, co gorsza – miała rację. Joseph wiedział, że musiałby być najlepszym aktorem na świecie, żeby ją przekonać, iż pochodzi z Ludu. Ale i to mogłoby nie wystarczyć. Wiedziała, kim jest. Jego życie było w jej rękach.

Zastanawiał się, co robić. Biec do domu, pozbierać rzeczy, uciekać jak najdalej od tego miejsca, kiedy jeszcze mógł to zrobić? Nie czuł się gotowy, nie teraz, nie tak nagle. Nadciągała noc. Nie miał pojęcia, dokąd iść. Znow musiałby żywić się tym, co znajdzie, kiedy jeszcze nie wrócił w pełni do sił po ostatniej próbie.

Jakby czytając w jego myślach, odezwała się Thayle:

– Nie musisz się mnie bać, Waerna. Nikomu o tobie nie powiem.

– Skąd mam o tym wiedzieć?

– Bo zaszkodziłoby ci to. Stappin nigdy by ci nie wybaczył, że go okłamałeś. I nie pozwoliłby zbiegłemu Panu mieszkać wśród nas. Musiałbyś odejść. A tego nie chcę. Lubię cię, Waerna.

– Lubisz? Nawet gdybym był Panem?

– Tak. Co za różnica, że jesteś Panem? – Dziwny błysk w jej oczach znowu się pojawił. – Nie powiem nikomu ani słowa. Przysięgam – uczyniła jakiś znak w powietrzu. Wypowiedziała kilka słów, których Joseph nie zrozumiał. – I co? – zapytała. – Teraz mi ufasz?

– Żałuję, ale chyba nie.

– Jak możesz coś takiego mówić, kiedy już usłyszałeś, jak przysięgam? Gdybyś był z Ludu, byłabym wściekła. Ale to, co powiedziałeś, tylko mnie upewniło, że jesteś Panem! Nie znasz nawet Przysięgi Przejścia! Aż dziw, że nikt cię dotąd na tym nie przyłapał. – Joseph uświadomił sobie, że w którymś momencie Thayle objęła jego rękę swoimi dłońmi. Stała na czubkach palców, więc ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

– Nie bój się mnie, Waerna – rzekła cicho. – Nie skrzywdzę cię. Może Przysięga Przejścia nic dla ciebie nie znaczy, ale dziś w nocy udowodnię ci, że to coś ważnego.

Poczekaj, a zobaczysz.

Joseph patrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Objęła go.

– Wracajmy, dobrze? Niedługo kolacja.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Bardzo chciał wierzyć, że dziewczyna go nie zdradzi, ale nie był tego pewien. Świadomość, że jego tajemnica jest całkowicie w jej rękach, była bardzo przygnębiająca.

Wieczorny posiłek był dla niego męką. Joseph jadł w milczeniu, większość czasu spoglądając w talerz, unikając spojrzeń tych ludzi, wśród których żył od tygodni, ludzi, którzy go przyjęli, dbali o niego, myli go, kiedy był na to za słaby, karmili, ubierali, traktowali jak swojego. Był przekonany, że już znali prawdę, i to od dawna, nie tylko Thayle, ale i jej brat, i Simtoth, i Saban. Musiał się zdradzać setki razy dziennie – kiedy nie rozpoznał jakiejś aluzji, która byłaby czytelna dla każdego przedstawiciela Ludu na Ojczyźnie, kiedy mówił coś, co jego zdaniem było występującym w języku Ludu idiomem, podczas gdy nikt z Ludu tak by tego nie sformułował.

Zatem wiedzieli. Musieli wiedzieć. I pewnie cały czas ich to niepokoiło, pewnie debatowali nad tym, czy poinformować Stappina, że udzielają schronienia przedstawicielowi wrogiej rasy. Nawet gdyby chcieli go chronić, mogli się obawiać, że podejmując decyzję o niezawiadomieniu wójta narażają na szwank własne bezpieczeństwo. A może Stappin już go rozpoznał i tylko czekał, aż gospodarze przyjdą i poinformują, że tak naprawdę udzielają schronienia zbiegłemu Panu? Im dłużej czekali, tym gorzej dla nich. A może po prostu czekają na właściwy moment, jakieś szczególne święto Ludu, kiedy idzie się i donosi na kłamców i oszustów...

Wieczorami Saban i Simtoth, a czasem i Velk, siadali na ganku i zabawiali się grą zwaną weriel, która polegała na układaniu wzorów z ząbających się kawałków rzeźbionej kości na malowanej desce. Joseph wyjaśnił dawno temu, że w Domu Ludbrek ta gra nie była znana i przyjęli to jako coś naturalnego. Velk nauczył go zasad i czasem Joseph grywał z nimi, choć nie miał jakichś szczególnych osiągnięć. Tego wieczoru nie dołączył do nich. Nie chciał im przypominać, jak kiepsko gra. Był pewien, że jego nieznanostwo zasad gry w weriel była kolejnym dowodem na to, że nie pochodzi z Ludu.

Thayle nigdy nie brała udziału w grze. Wieczorami przeważnie wychodziła – Joseph przypuszczał, że na spotkania ze swoim kochankiem, Grovinem. Naprawdę nie wiedział i czuł, że nie powinien o to pytać. Ostatnio zaczął sobie wyobrażać, jak idą do jakiegoś ustronnego gaju i rzucają się na ziemię w miłosnym uścisku. Była to myśl, która go nie zachwycała, ale im bardziej próbował pozbyć się jej z pamięci, tym natarczywiej wracała.

W letnie wieczory ciemność zapadała powoli i było jeszcze za wcześnie, by udać się na spoczynek, ale Joseph czuł się niepewnie w towarzystwie swoich gospodarzy, więc poszedł do swojego pokoju i rzucił się na łóżko. Patrzył w sufit z rękami splecionymi pod głową. Mógł spędzić tę noc na czytaniu, ale bał się, nie chciał, żeby Saban albo Velk nagle weszli do

pokoju, jak to czasem robili i zastali go z czytnikiem w dłoniach. Wystarczyło, że Thayle, podglądając go przez okno – a po co to robiła? – zobaczyła, że czyta. To byłby koniec, gdyby któreś z nich weszło i zastało go na czytaniu.

Joseph nie widział innego rozwiązania, jak najszybsze opuszczenie Przystani Eysara. Jutro albo pojutrze – spakuje swoje rzeczy, pożegna się z Saban i jej rodziną, podziękuje za gościnność i wyruszy w drogę. Nie musiał wymykać się chyłkiem jak od Tubylców. Nie był własnością tych ludzi. Był tylko gościem. A choć Joseph zgodził się, że odplaci im za gościnność pomagając przy żniwach, teraz sądził raczej, że będą szczęśliwi widząc jak odchodzi nie czekając na żniwa, skoro mieli jakieś podejrzenia co do jego tożsamości. To była jedyna rozsądna rzecz: odejść szybko, zanim taka anomalia, jak Pan żyjący pośród Ludu, stanie się nie do zniesienia dla wszystkich.

Wreszcie zrobiło się na tyle ciemno, że dało się zasnąć. Wszedł pod koc. Był jednak cały roztrzęsiony; leżał sztywno, nie mogąc zasnąć, przewracając się z boku na bok, próbując znaleźć sobie wygodną pozycję. Uznał, że tej nocy chyba nie zaśnie.

Musiał jednak w którymś momencie zasnąć; usłyszał nagle odgłos otwieranych drzwi i usiadł na łóżku, oszołomiony i zaniepokojony, jak człowiek nagle wyrwany ze snu, z resztkami marzeń sennych unoszącymi się gdzieś w głowie. Ktoś wszedł. Joseph nie widział zbyt wiele, jakąś postać w progu, sam zarys, ciemność na tle ciemności.

– Kto tam? – spytał.

– Ciii! Bądź cicho!

– Thayle?

– Ciii!

Odgłos kroków. Szmerzący dźwięk, jakby ktoś rzucił na podłogę ubranie. To niewiarygodne. To sen, pomyślał Joseph. To mi się śni. Wyczuwał jakiś ruch. Ktoś ściągnął z niego koc. Położyła się koło niego. Ciepłe ciało obok niego, zbyt ciepłe, zbyt prawdziwe, by było tylko nocną fantazją.

– Thayle, o co...

– Powiedziałam ci, że dziś w nocy udowodnię, że możesz mi ufać. Bądź cicho, dobrze? Proszę.

Jej ręce błądziły po jego ciele. Joseph leżał nieruchomo, zdumiony, zaszokowany. Więc w końcu się to stanie, pomyślał, to, o czym czytał w tylu książkach, sztukach, opowiadaniach i wierszach, coś, o czym wiedział, że w końcu się stanie, ale nie przypuszczał, że tak szybko, tutaj, dziś w nocy. Może to było nieuniknione: pierwszy raz z dziewczyną z Ludu. Nie dbał o to. Nie dbał o nic, z wyjątkiem tego, co czekało na niego w łóżku. Jej dotyk przyprawiał go o dreszcze. Żałował, że nic nie widzi, bo na niebie tej nocy nie było księżyców, nie świeciły nawet gwiazdy, a nie chciał zakłócać biegu wydarzeń zapaleniem jakiejś lampy; ona pewnie też nie chciała.

– Możesz mnie dotknąć – powiedziała. – To nie jest zabronione.

Joseph zawahał się przez chwilę, ale ta chwila była krótka. Jego dłoń przesunęła się w górę, potem w dół, aż ją znalazł. Udo. Noga. Krzepkie ciało, mocno, szeroko zbudowane ciało dziewczyny z Ludu, przy jego ciele, takie nagie i chętne. Zapach jej ciała, zachwycający, oszałamiający. Przesunął rękę wyżej, nie protestowała, aż dotknął jej piersi. Ostrożnie zamknął dłoń na jednej z nich. Była to jędrna, ciężka, podatna krągłość; wypełniała całą jego rękę. Czuł małą, twardą brodawkę uciskającą jego dłoń. Więc taki jest dotyk piersi, pomyślał Joseph. Dawniej myślał, że są bardziej miękkie, ale może miękkość przychodzi później, kiedy kobieta ma dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat i już ma dzieci. Przesunął się, by zająć bardziej wygodną pozycję i przesunął dłoń w dolinie między piersiami, po czym popieścił obie. Najwyraźniej lubiła, kiedy dotykał jej piersi. Jej wargi zaczęły szukać jego ust, i znalazły je, a on zdziwił się, czując jej język między wargami. Czy to właśnie robią ludzie, kiedy się całują? Językami? Czuł, że jest okropnie niedoświadczony. Na pewno ona też się zorientowała, że jest jeszcze niewinny. W porządku, pomyślał Joseph, żeby tylko się nie roześmiała, żeby poprowadziła mnie krok po kroku, żeby mnie nauczyła, co robić. I chyba właśnie tak robiła.

Z własnej inicjatywy przesunął rękę niżej, przesuając ją po całym jej ciele, aż do brzucha, w stronę głębokiego pępka, zatrzymał się tam, przesunął ręce na bok, od jednej twardej kości biodrowej do drugiej. Potem, ośmielony, posunął się dalej i znalazł miękką, gęstą kępkę włosów w zagłębieniu jej ud, dotknął, popieścił. Chwyciła jego dwa palce, wepchnęła je do środka. Poczł wilgoć. Ciepło.

Potem wszystko zdarzyło się bardzo szybko. Był na niej, szukając, pchając, nagle znalazł się w niej, otoczony miękką wilgocią, w delikatnym, aksamitnym, tajemnym miejscu między jej nogami, poruszając się. Wrażenie było niesamowite. Nic dziwnego, że namiętności poświęcono tyle miejsca w tych wszystkich książkach, sztukach, wierszach. Joseph zawsze przypuszczał, że będzie to coś niezwykłego, sam akt, ale nigdy nie był w stanie sobie wyobrazić – przecież to niemożliwe! – intensywności tego uczucia, wrażenia, że jest się we wnętrzu innej istoty ludzkiej, tak intymnego połączenia, tak niezwykłego poczucia ekstazy, rozchodzącego się z lędźwi na całe ciało. Narastało z niewiarygodną mocą, powalając go w ciągu sekund; chciał się powstrzymać, chciał posmakować tę chwilę dłużej, ale nie mógł, spazm zatrzęsł nim jak seria wybuchów, Joseph westchnął, zadrzał i ukrył twarz tuż poniżej jej policzka, przytulił się do jej krzepkiego ciała, aż wszystko zamarło, a on leżał obok niej, słaby, zalany potem, wycieńczony, drżący, zawstydzony.

Zawstydzony?

Tak. W pierwszej chwili, gdy oprzytomniał, zdumiało go, jak szybko przebył tę drogę, od niewypowiedzianej ekstazy, do mrocznej, pełnej wyczerpania i zakłopotania winy. Cała wspinaczka trwała chyba sekundy. Gdy Joseph odzyskał zdolność myślenia, wszystko, co przychodziło mu do głowy, było raczej mroczne. Tego się nie spodziewał. Nie miał szans, żeby się czegokolwiek spodziewać. Teraz jednak, leżąc w chłodzie, wspominając te szaleńcze

zmagania, był w stanie skupić się tylko na tym, jakiej przyjemności ona doznała. Czy w ogóle jakiejś? Posłużyła mu jako przedmiot do sprawiania sobie przyjemności. Po prostu w nią wszedł, poruszał się trochę, skorzystał z niej. Pan i chłopka, stara historia, obrzydliwa, wstrętna. Nigdy nie nienawidził siebie bardziej niż w tej chwili.

Poczuł, że musi coś powiedzieć, i nie mógł, aż wreszcie zdołał.

– Tak szybko poszło – rzekł Joseph w poduszkę, cichym i schrypniętym głosem, który nawet w jego uszach brzmiał dziwnie. – Przepraszam, Thayle. Przepraszam. Nie chciałem...

– Ciii. Było dobrze. Naprawdę, Waerna.

– Ale wolałbym... chciałem...

– Ciii! Leż spokojnie. Nie przejmuj się. Było dobrze. Dobrze. Leż koło mnie i odpręż się.

– Pogłaskała go po plecach uspokajającym gestem, potem po ramieniu, po ręce. – Za chwilę będziesz mógł znowu.

I tak było. Tym razem wszystko odbyło się o wiele bardziej spokojnie. Znikł gdzieś ten nieostrożny, szaleńczy pośpiech. Poczuł się prawie jak ekspert. Zawsze szybko się uczył. Wiedział, czego się spodziewać i rozumiał, jak narzucać sobie tempo, jak się powstrzymać. Thayle poruszała się z wprawą pod nim, w spokojnym, pompującym rytmie, zachwycającym, zdumiewającym. Potem rytm stał się bardziej nieregularny, zatopila palce w jego ramionach, przyciągnęła go do siebie, zakołysała biodrami, wygięła plecy, odrzuciła głowę do tyłu, i wiedział, że coś się z nią dzieje, coś porażającego, konwulsyjnego, choć nie był całkiem pewien, co to jest; dziwny, gardłowy dźwięk wydobył się z jej ust, prawie nieludzki i Joseph wiedział, że ten wielki moment musiał nadejść. Gdzieś pośrodku przeżył to sam, nie tak intensywnie jak za pierwszym razem, ale wrażenie było i tak potężne.

Tym razem nie czuł już winy ani wstydu, ani takiej pustki, jak za pierwszym razem. Czuł tylko spokój spełnienia, osiągnięcia, przyjemności, której doświadczył i którą dał. Josephowi wydało się, że w ciągu ostatniej godziny przekroczył jakąś granicę, wkraczając w cudowną i nową krainę, z której nie ma powrotu.

Leżeli splątani razem, zmęczeni i spoceni, oddychając chrapliwie, nie odzywając się przez dłuższą chwilę.

– To był mój pierwszy raz – odezwał się w końcu.

– Wiem.

– Aha. To było widać?

– Każdy kiedyś ma ten pierwszy raz. Nie ma się co tłumaczyć. Ani za co przepraszać.

– Chciałem ci podziękować – rzekł Joseph. – To było piękne.

– Dla mnie też. I nie zapomnę tego – zachichotała. – Grovin by mnie zabił, gdyby się dowiedział. Jemu się wydaje, że do niego należę, wiesz. A ja nie należę do nikogo. Do nikogo. I robię, co chcę.

Powiodła palcem wzdłuż szczęki Josepha.

– Teraz oboje znamy jakieś swoje tajemnice, widzisz? Ja mogłabym powiedzieć



Stappinowi, że jesteś Panem, ale nie powiem. A ty mógłbyś powiedzieć Grovinowi, że poszłam z tobą do łóżka.

– Ale nie powiem.

– Nie powiesz. Żadne z nas nic nikomu nie powie. Składamy swoje losy nawzajem w swoje ręce. Ale powiedz, jak masz naprawdę na imię. Nie możesz mieć na imię Waerna. To nie jest imię dla Pana.

– Joseph – odparł.

– Jakie dziwne imię. Joseph. Joseph. Nigdy przedtem nie słyszałam takiego imienia.

– To starożytne imię. Jeszcze ze Starej Ziemi. Mój ojciec też ma imię z Ziemi: Martin.

– Joseph. Martin.

– I nie pochodzę z Domu Ludbrek. W ogóle nie jestem z Manzy. Jestem Joseph Pan Keilloran z Domu Keilloran na Helikis.

Jakie to było dziwne, wygłosić swoje pełne imię na głos, w tym małym miasteczku zamieszkałym przez Lud, w domu Ludu, w ramionach nagiej dziewczyny z Ludu. Było to ostateczne obnażenie się, zdjęcie ostatniej maski. Thayle nigdy nie słyszała o Domu Keilloran, a ledwie o samym Helikis – wiedziała tylko, że to daleka kraina, gdzieś na południu planety – ale powtórzyła jego imię trzy albo cztery razy, Joseph Pan Keilloran z Domu Keilloran na Helikis, Joseph Pan Keilloran z Domu Keilloran na Helikis, jakby słowa miały dla niej jakieś magiczne znaczenie. Poprawne wymówienie nazwiska Josepha nie przychodziło jej łatwo, ale nie znajdował powodu, żeby ją poprawiać. Joseph poczuł senność i ogromne szczęście. Poglądził ją leniwie, w jakiś czuły, aseksualny sposób, jego ręka błądziła leniwie po jej bokach, brzuchu, policzkach, czysto estetyczna radość dotykania gładkiej, jędrnej skóry, naprężonego ciała, mięśni pod skórą, jakby gładził pięknie wykonaną rzeźbę, rasowego bandara wyścigowego, doskonałą porcelanową czarkę. Nie przypuszczał, by prędko zaczął odczuwać pożądanie, nie tak szybko po dwukrotnym dotarciu do szczytu. Jego ręce dotarły jednak do jej piersi, potem do ud, i ku jego zdumieniu i zachwytowi poczuł chęć, by przyciągnąć ją do siebie jeszcze raz, a ona wydała z siebie cichy chichot aprobaty i przyciągnęła go do siebie.

Potem pocałowała go delikatnie i życzyła mu przyjemnych snów, po czym zebrała swoje rozrzucone ubrania i wyszła. Gdy odeszła, Joseph leżał przez chwilę, przeżywając po raz kolejny wszystko co się stało, odtwarzając wydarzenia w umyśle ze zdumiewającą wyrazistością, patrząc w zdumieniu i zachwycie, z niedowierzaniem. Zapadł w sen jak w zagłębienie na zasypanym śniegiem zboczu, i zagubił się, śpiąc bez snów, niewzruszony, aż do rana.

Po doświadczeniach ostatniej nocy nie był już w stanie odejść z własnej woli z Przystani Eysara, bez względu na to, jakie ryzyko wiązało się z zostaniem tu. Thayle przywiązała go do siebie nierozzerwalnymi jedwabnymi więzami. Myślał tylko o tym, kiedy znów zagości w jego łóżku.

Nie stało się to szybko. W ciągu kolejnych dni Joseph często spoglądał w jej stronę by zauważyć, że ona też ukradkiem na niego patrzy, uśmiecha się ciepło w jego stronę, a czasem mruga czy posyła mu pocałunek; co noc leżał długo nie zasypiając, czekając na odgłos otwieranych drzwi, kroki zmierzające w stronę jego łóżka, szelest zdejmowanego ubrania; minęły aż cztery noce zanim wróciła i wydawały się wiecznością.

– Myślałem, że już nigdy do mnie nie przyjdiesz – rzekł sięgając do jej piersi.

Powiedziała coś o tym, że musi uważać, by jej rodzice nie odkryli, że coś się dzieje pod ich dachem. Pewnie tak było. Josephowi przyszło jednak do głowy, że Thayle pewnie spędzała kilka wieczorów w tygodniu z Grovinem, a nie chciała do niego przychodzić mając jeszcze na ciele pot innego mężczyzny. Próbował o tym nie myśleć, ale przychodziły na niego chwile rozpacz, gdy leżał całymi nocami, czekając na nią na próżno, wyobrażając sobie, że może być z Grovinem i robi z nim to, co tak bardzo chciał robić z nią on.

W tym czasie ścieżki Josepha i Grovina przecięły się dwukrotnie i za każdym razem Grovin obrzucał go ciężkim, skwaszonym spojrzeniem. Joseph spytał o to Thayle, zastanawiając się, czy Grovin coś podejrzewa, może w związku z prawdziwą tożsamością Josepha albo tym, że on i Thayle wykorzystują fakt mieszkania pod jednym dachem, żeby robić to, co robią. Zapewniła go jednak, że żadna z tych możliwości nie jest prawdziwa.

– Gdyby mu się tylko przyśniło, że jesteś Panem, od razu poleciałby do Stappina. A jeśli chodzi o podejrzewanie ciebie czy mnie – nie, on jest tak pewny siebie, że nigdy nie przysłoby mu to do głowy. Gdyby podejrzewał, że między nami coś jest, już by mi o tym powiedział.

– To dlaczego tak na mnie patrzy?

– On tak patrzy na każdego. Taki już jest.

Być może. Josephowi jednak coś się tu nie podobało.

Letnie dni płynęły w złotej mgiełce narastającego upału. Zbliżały się zniwa. Joseph żył tylko nocnymi wizytami Thayle. Helikis równie dobrze mogło być kontynentem na innej planecie.

Byli nie tylko kochankami, lecz także przyjaciółmi. W przerwach między kochaniem się rozmawiali, lub leżeli godzinami obok siebie, patrząc na sufit. Thayle okazała się błyskotliwą, inteligentną dziewczyną – zaskoczyło to Josepha. Thayle fascynowało, że Joseph jest Panem. W tej okolicy zamieszkałej przez kajlingów, dla których najbliższe Wielkie Domy znajdowały się aż za górami, Panowie byli czymś nieznanym i egzotycznym. Rozumiała, że reszta świata jest podzielona między wielkie, feudalne majątki, w których ludzie żyli przez setki lat – przynajmniej do wybuchu ostatniej rewolucji. W każdym razie o tym słyszała. Ale raczej nie miała pojęcia o tym, jak naprawdę to działa.

– Jesteście właścicielami Ludu, który żyje na waszej ziemi? – spytała. – Jak to możliwe, że jedna osoba może posiadać inną?

– Nie jesteśmy ich właścicielami. Troszczymy się o nich, pilnujemy, żeby każdy miał

gdzie mieszkać, żeby nikt nie był głodny, żeby była praca dla wszystkich, żeby wszyscy mieli dobrą opiekę medyczną. A w zamian za to uprawiają ziemię, opiekują się inwentarzem, pracują w fabrykach.

– Ale tutaj, w Przystani Eysara, wszyscy mają gdzie mieszkać, wszyscy mają pracę, nikt nie chodzi głodny, i w ogóle. Po co nam tutaj Panowie?

– Wam na nic, jak sądzę. Ale Lud gdzie indziej nie jest aż tak samowystarczalny jak wy, w miastach kajlingów.

– Chcesz mi powiedzieć, że przyszli do waszych przodków i powiedzieli: „Proszę, rządźcie nami, zostańcie naszymi Panami”? Chcieli żeby wasi ludzie zarządzili ich życiem?

– Cóż, jeśli o tym mówimy...

– Nie. Zostali podbici, prawda? Był Podbój, Panowie spadli z nieba, przejęli ziemię i zmusili wszystkich, żeby się im podporządkowali. Z wyjątkiem nielicznych, w miejscach takich, że nikt nie zadałby sobie trudu, żeby je podbić. Prawda, Josephie?

Nie mógł zaprzeczyć. Nawet nie próbował. O wydarzeniu tym nie mówiono by jako o Podboju, gdyby nie było podbojem. A mimo to – zawsze sądził, że Panowie narzucili Ludowi system Wielkich Domów dla dobra Ludu, nie tylko dla własnych korzyści, a Lud nauczył się dostrzegać mądrość w tym systemie. Był też przekonany, że Lud był z natury słabszą rasą, uległym, udomowionym gatunkiem, który tylko czekał, aż ktoś się nim zaopiekuje.

Nie mógł jej przecież nic takiego powiedzieć. Nie mógł pozwolić, by ta dziewczyna – a tak naprawdę kobieta – do której czuł pożądanie, tęsknotę, czy nawet miłość, która dawała mu tyle rozkoszy, a która miała mu dać jeszcze więcej – dowiedziała się, że postrzega ludzi jej rodzaju jak coś w stylu udomowionego zwierzęcia. Powiedzenie jej czegoś takiego byłoby obrzydliwą obelgą, tym gorszą, że nieprawdziwą. Najlepszym dowodem była ona sama. I wszystko inne w Przystani Eysara. Ci ludzie mogli funkcjonować samodzielnie. Być może dotyczyło to całego Ludu, dawno temu, przed Podbojem.

Zrozumiał, że Podbój był naprawdę podbojem, nie tylko z nazwy. Lud radził sobie przed przybyciem Panów na Ojczyznę całkiem dobrze. Nie miał energii i siły przebicia Panów, ale czy to grzech? Czy ci ludzie zasłużyli na to, żeby stracić kontrolę nad własnym życiem, nad własną planetą, za takie niedostatki? Panowie pobili Lud. To było najlepsze określenie. Nawet jeśli krwawy bunt, który zmusił Josepha do wędrówki po całej Manzie, nie nauczył go, jak nienawistna musiała być Ludowi władza Panów, pobyt w Przystani Eysara i nocne rozmowy z Thayle wyraźnie mu to pokazały. Teraz wydawało mu się to oczywiste; ale czuł się zdruzgotany tym, że tyle rzeczy dotąd przyjmował za coś naturalnego, on, ze swoim znakomitym umysłem Pana, z poszukującym intelektem.

Także w innych dziedzinach stawiała przed nim niełatwe wyzwania.

– Twój ojciec, Pan Domu Keilloran – jak to się stało, że został Panem Domu? – nadal nie potrafiła wymawiać tego nazwiska poprawnie, ale Joseph uznał to za nieistotne. – Został wybrany przez wszystkich, którzy tam żyją?

– Jego ojciec był Panem Domu jeszcze przed nim – odparł Joseph. – A jego ojciec jeszcze wcześniej, i tak aż do samego początku. Najstarszy syn dziedziczy tytuł.

– I to wszystko? – spytała Thayle. – Wolno mu rządzić tysiącami ludzi, Panami i Ludem, tylko dlatego, że jest synem swojego ojca? Jakie to dziwne. Wydaje mi się, że głupie. A jakby był ktoś, kto się lepiej nadaje do rządzenia, kto jest inteligentniejszy i bardziej utalentowany, na wiele sposobów. Wszyscy o tym wiedzą, ale nie pozwolą mu, tak? Bo nie jest najstarszym synem najstarszego syna. Myślę, że to głupi system.

Joseph nie odpowiedział, a i Thayle przez chwilę milczała. Po czym rzekła:

– A co się stanie, jeśli będzie więcej niż jeden syn? Przecież tak się zdarza?

– Najstarszy syn zawsze dziedziczy.

– Nawet jeśli drugi albo trzeci lepiej się do tego nadaje? Albo druga czy trzecia córka, jeśli już o tym mówimy. Tylko że pewnie córki się do tego nie nadają.

– Tylko najstarszy syn – odparł Joseph. – Od dzieciństwa jest szkolony do tego zadania. Wiedzą, że kiedyś wszystko odziedziczy, więc uczą go, żeby umiał wszystko, co potrzeba.

– Dobrze, ale jakby go nie uczyli, nie jest powiedziane, że jest najinteligentniejszym członkiem rodziny, tak? Nawet jeśli się ustali, że trzeba ograniczyć tytuł do jednej rodziny, tylko dlatego, że ta rodzina pierwsza doszła do władzy, będą całe pokolenia, gdzie nowy Pan nie jest nawet najlepszy wśród swoich ludzi. Josephie, uważasz, że tak jest dobrze?

I takie pytania zadaje mi dziewczyna z Ludu, pomyślał. To łagodne, niewykształcone stworzenie, chłopka, osoba niezdolna do głębszych refleksji.

Zapadło długie milczenie.

– Jesteś najstarszym synem, Josephie? – spytała w końcu.

– Tak. Jestem najstarszy.

– Więc odziedziczysz tytuł, i zostaniesz Panem Domu Keilloran. Tylko dzięki urodzeniu, niczemu innemu.

– Tak, jeśli uda mi się wrócić do domu. W przeciwnym razie zostanie nim mój brat Rickard. Nie będzie zachwycony, jeśli tak się stanie. Nie przypuszczał, że może się tak stać i nie jest dobrze do tego przygotowany.

– Ale i tak zostanie Panem, bo jest najstarszym żyjącym synem.

– Tak.

– Tylko z powodu urodzenia. Nie dlatego, że będzie dobrym Panem.

Miał dość tych zaczepek.

– Rickard będzie dobrym Panem, jeśli tytuł spadnie na niego – rzekł z naciskiem. – Jestem tego pewien. Wiem, że będzie dobry.

Nie zdołał jednak ukryć braku przekonania, jaki pobrzmiwał w jego głosie. Był zdumiony tym, jak w ciągu kwadransa Thayle udało się podkopać przekonania, jakie zawsze żywił na temat stosunku Panów do Ludu, metody, za pomocą której Wielkie Domy wybierały swoich przywódców, korzyści płynących z automatycznej sukcesji władzy w Wielkim Domu.

Czuł się, jakby łóżko, na którym oboje leżeli, stało się chybotałą tratwą, która unosi go po rwącej rzece, w stronę stromego wodospadu, tuż przed nim.

Joseph pozwolił, by cisza trwała, aż stała się prawie nieznośna, ale nadal nie potrafił zmusić się do mówienia. Wszystko, co mógł powiedzieć, było złe.

– Jesteś na mnie zły? – spytała wreszcie Thayle.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Obraziłam cię. Pewnie myślisz, że cię krytykuję.

– Ja na to wszystko inaczej patrzę, i tyle. Po prostu myślałem o tym, co mi powiedziałaś.

– Nie myśl tyle. Nie teraz.

Wyciągnęła do niego rękę, a on z wdzięcznością zatonął w jej objęciach. Zaczęli się poruszać w doskonale znany sobie sposób. Joseph był szczęśliwy, że może pograżyć się w niewymagających myślenia przyjemnościach, jakie oferowało jej chętne ciało.

Następnego dnia po śniadaniu, kiedy wszyscy udali się do swoich zajęć w polu i Joseph został w domu sam, zdumiał się, słysząc jej głos dobiegający z zewnątrz, niski, ostry szept:

– Joseph! Joseph!

Zdumiało go, że zwraca się do niego jego prawdziwym imieniem. O tej porze jednak w pobliżu nie było nikogo, kto by ją usłyszał, może poza starymi ludźmi i dziećmi.

Sam fakt, że Thayle pojawiła się o tej porze, sprawił, że podskoczyło mu serce. Pewnie wymknęła się z pola, by trochę z nim pobyc. Jakie to podniecające, że tak bardzo go pragnie. I jeszcze coś: nigdy nie kochali się przy świetle dziennym. To będzie coś nowego, innego, cudownego jak objawienie.

Pobiegł na ganek, by ją przywitać i poprowadzić do sypialni.

I wtedy ją zobaczył. Dostrzegł, jak wygląda.

– Thayle? – spytał cicho, przerażony. – Co się stało, Thayle? Jakiś wypadek?

– Och, Joseph... och... och, Joseph...

Wyglądała strasznie. Ubranie miała podarte i brudne. Jeden rękaw dyndał na paru nitkach. Thayle cała była w ranach i siniakach. Na dolnej wardze widać było krwawiące rozcięcie; zaczynało puchnąć. Wąski strumyk krwi ciekł z jej nosa. Lewe oko było tak spuchnięte, że nie mogła go otworzyć. Trzymała rękę przyciśniętą do policzka: też wyglądał na spuchnięty. Zgubiła jeden sandał. Spojrzenie miała straszne: puste, zimne, oglupiałe.

Joseph zaprowadził ją do środka nie zadając pytań, przytulił i zaczął delikatnie gładzić po plecach i ramionach. Zaczęła cicho szlochać. Przez chwilę szukała w tym uścisku ukojenia, po czym odsunęła się, spojrzała mu w oczy, szukając właściwych słów.

– Musisz odejść – rzekła. – I to zaraz. Nie ma czasu do stracenia.

– Ale co...

– Grovin. Wie o wszystkim. Wczoraj w nocy podsłuchiwał pod twoim oknem. Wszystko słyszał.

– I to on cię pobił? – spytał z niedowierzaniem Joseph. – On to zrobił?

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mężczyzna mógłby uderzyć kobietę, jakąkolwiek kobietę, a co dopiero swoją ukochaną. Przypomniał sobie jednak, że ma do czynienia z Ludem, a nie tak dawno temu Lud powstał i wymordował własnych Panów we dworach, i mnóstwo swoich.

– Tak, to on – powiedziała to takim tonem, jakby nie miało to znaczenia. – Rusz się! No, dalej. Pakuj się. Wzięłam ciężarówkę. Musimy stąd uciekać i to szybko. Mówiłam ci, że on mnie zabije, jak się dowie, że ze mną spałeś i to zrobi, jeśli tu zostaniesz. Ciebie też zabije.

Zrozumienie tego, co mówiła mu Thayle, przychodziło Josephowi z trudem. Czuł się jak lunatyk, którego gwałtownie obudzono.

– Mówisz, że nas podsłuchiwał? Jak się kochaliśmy, czy jak rozmawialiśmy? Czy on wie, że jestem Panem?

– Tak, wie. Nie dlatego, że nas podsłuchał. Powiedziałam mu. Wiesz, że i tak podejrzewał. Cały czas podejrzewał. Zapytał, co o tobie wiem, a potem bił mnie, aż powiedziałam mu prawdę. I znowu mnie bił. Joseph, proszę, nie stój jak jakiś głupek! Rusz się. Szybko. I to już! Zanim sprowadzi Stappina.

– Tak.

Paraliż, jaki go ogarnął na kilka chwil, już mijał. Joseph pobiegł do swojego pokoju, chwycił swoje rzeczy, zebrał je razem. Gdy wyszedł, zobaczył, że Thayle była na tyle przytomna, by przygotować mu małą paczkę zjedzeniem. Zaraz znowu zostanie sam i będzie wędrował przez nieznanne regiony tego nieprzyjaznego kontynentu, żywiąc się tym, co znajdzie.

Myśl o rozstaniu była nie do zniesienia.

Nie myślał wcale o niebezpieczeństwach, jakim będzie musiał stawić czoło, ani kłopotom, jakie ściągnie na niego Grovin, jeśli nie zdoła uciec, ale o ustach Thayle, piersiach Thayle, szerokich udach Thayle, uniesionych udach Thayle. Wszystko trwało tak krótko, a teraz musi odejść na zawsze.

Wyszli i z domu i zobaczyli Grovina. Stał na ścieżce i zagradzał im drogę. Miał zimny, wyrachowany wyraz twarzy, w jego oczach czaiła się furia i napięcie. Spojrzał na nich, przenosząc wzrok z Thayle na Josepha i z Josepha na Thayle, po czym odezwał się:

– A dokąd to?

– Przestań, Grovin. Puść nas. Odprowadzę go do drogi. Zignorował ją. Zwrócił się do Josepha z ukrytą, lodowatą furią:

– Myślałeś, że uwileś tu sobie gniazdko, co? Karmili cię, miałeś gdzie spać, dali ci nawet coś miękkiego, żebyś miał na czym spać, tak? Jakie to przyjemne. Ale co ty tu robisz, leniwa gnido? Czemu nie zdechłeś, jak reszta twoich?

Joseph gapił się na niego. To był jego rywal, człowiek, który pobił Thayle. Co miał mu zrobić, pobić go w rewanżu? Coś krzyczało w nim, że powinien tak zrobić, że powinien walić Grovina, aż ten padnie na kolana za to, że ośmielił się podnieść na nią rękę. Jego wychowanie

nie przygotowało go na nic podobnego. To nie było skarcenie nieposłusznego parobka, co każdy Pan zrobiłby bez zastanawiania; to było coś innego, prywatny spór o kobietę między ludźmi zupełnie odmiennych ras.

Jego wychowanie nie przygotowało go też na przedstawienie w wykonaniu wściekłego człowieka z Ludu, który stał przed nim i miotał wyzwiska. Coś takiego nie powinno się wydarzyć. Takie zjawisko można było porównać do wody płynącej pod górę albo słońca wschodzącego na zachodzie, czy śniegu w środku lata. Joseph nie wiedział, co powiedzieć czy zrobić. Thayle ruszyła do przodu i próbowała odepchnąć Grovina, ale ten się tylko uśmiechnął, złapał ją za nadgarstek i odepchnął, rzucając na ziemię.

Na coś takiego Joseph nie mógł pozwolić. Rzucił swoje rzeczy i ruszył na niego, nie wiedząc jeszcze, co robi, ale był pewien, że coś musi zrobić.

Oczywiście kiedyś już zdarzyło mu się bić, ale była to zabawa z innymi chłopcami z Rodu Panów w jego wieku, czy nawet z Ancephem czy Rollinem, ale wtedy było jasne, że nikomu nie stanie się krzywda. Teraz było inaczej. Joseph zacisnął pięści i skoczył na Grovina, który odepchnął jego pięść, jakby była uprzykrzoną muchą i przyłożył mu w żołądek. Joseph cofnął się, zdumiony. Grovin ruszył za nim, warcząc, naprawdę warcząc, i uderzył go ponownie, tym razem w lewe ramię, potem w pierś, potem w umięśnioną część prawego ramienia.

Obrywanie cięgu było równie zaskakującym doświadczeniem jak seks, ale w inny sposób. Latające w powietrzu pięści, nagły wybuch bólu, coś absolutnie niewłaściwego – Joseph nie rozumiał, co się dzieje. Rozumiał, że powinien się bronić. To potrafił. Grovin był niepokąźnej budowy, jak na człowieka z Ludu i niższy od Josepha. Joseph miał tę przewagę, że jego ciosy sięgały dalej. I był wściekły, myśląc o tym, co Grovin ośmielił się zrobić Thayle.

Uderzył dwa razy, z dużym zamachem, za pierwszym razem chybił, ale drugi cios wylądował prosto na kości policzkowej Grovina. Grovin mruknął i cofnął się, jakby poczuł ból, a Joseph, zagrzany do walki, ruszył za ciosem. I to był błąd. Zdołał trafić Grovina jeszcze raz, ale kiepsko wymierzony cios ześliznął się, tak samo następny; Grovin przykucnął jak zwinięta sprężyna, po czym ruszył na Josepha, zarzucając go gradem wściekłych ciosów, uderzając, tu i tam, obracając Josepha dookoła, by skopać go z drugiej strony, i znów atakując pięściami, gdy Joseph odwrócił się znów twarzą w jego stronę. Joseph zachwiał się. Poruszał rękami bez ładu i składu, mając nadzieję, że w końcu trafi, ale Grovin był wszędzie, uderzając, bijąc, waląc. Joseph był bezradny. Dałem się pobić człowiekowi z Ludu, pomyślał ze zdziwieniem. Jest szybszy ode mnie, silniejszy i pod każdym względem lepszy. Rozbije mnie na kawałki. Zniszczy mnie.

Bronił się jak mógł, ale najwyraźniej nie był dość dobry. Grovin tańczył wokół niego, syczał potępieńczo, śmiał się, walił go jak chciał, a Joseph ledwo odpowiadał na ciosy. Chwiał się na nogach, uchylał, kołysał, walcząc, by nie upaść. Grovin złapał go za ramiona i

obrócił. I nagle, gdy Joseph niepewnie odwrócił się w jego stronę, by zadać jeszcze jeden rozpaczliwy cios, Grovina tam nie było. Joseph nigdzie go nie widział. Stał i mrugał oczami ze zdumienia.

Przy Josephie pojawiła się Thayle.

– Pośpiesz się Joseph! Szybko!

Oczy miała dzikie i rozszerzone, twarz jej płonęła. W ręce trzymała grube, tępe polano, prawdziwą maczugę. Spojrzała na nie z triumfalnym uśmiechem i odrzuciła je na bok. Joseph zauważył Grovina po lewej. Klęczał, zwinięty w kłębek, obejmując głowę rękoma i jęcząc, kołysząc się z boku na bok. Przycisnął obie ręce do czoła. Spomiędzy palców płynęła krew.

Joseph nie mógł uwierzyć, że Thayle mogła zrobić coś takiego. Nie był w stanie wyobrazić sobie kobiety walącej mężczyznę polanem w głowę. W żadnych okolicznościach.

Ale oni są z Ludu, przypomniał sobie Joseph. Tak bardzo się od nas różnią.

Pozbierał szybko swoje rozrzucone rzeczy i pobiegł, pobity i obolały obok Thayle, do zaparkowanej na skraju przecinki ciężarówka, bardzo podobnej do tej, którą jego zbawcy przywieźli go do Przystani Eysara wiele tygodni wcześniej. Wskoczył do kabiny obok niej. Złapała za drążek sterowniczy i uruchomiła samochód.

Żadne z nich nie odzywało się, dopóki nie wyjechali z miasta. Grovin trochę go poranił. Będą siniaki. Będzie jeszcze bolało przez parę dni. Teraz dostrzegł, że jego dezorientacja i oszołomienie w ostatnich chwilach walki, cała ta bezradność, były bardziej skutkiem przerażenia, że oto osobiście wniósł się w bitkę i bierze udział w walce wręcz, niż skutkiem strachu przed ewentualnymi obrażeniami z ręki Grovina. Gdyby Grovinowi udało się go znokautować, gdyby Grovin zaczął go kopać i po nim deptać, gdyby skoczył na niego i zaczął go dusić...

Joseph uświadomił sobie, że interwencja Thayle ocaliła mu życie. Grovin mógł go zabić. Pewnie właśnie to próbował zrobić.

Ciężarówka toczyła się przed siebie. Joseph pierwszy przełamał milczenie, zadając pytanie, które dręczyło go odkąd znaleźli się w ciężarówce.

– Powiedz mi, Thayle, czy my będziemy razem?

– Co masz na myśli, Josephie? – jej głos dochodził jakby z oddali.

– To, co powiedziałem. Ty i ja. Razem. W drodze na południe. Do Przesmyku. Do Helikis, ty i ja, całą drogę – spojrzał na nią błagalnie. – Zostań ze mną Thayle. Proszę.

– Jak miałabym to zrobić? – Taki sam oddalony ton, aż Joseph miał wrażenie, że życie z niego uchodzi. Jego ręka powędrowała do ran i siniaków na jej twarzy, dotykając ich lekko, badając. – Mogę cię zawieźć do skrzyżowania. – Joseph dostrzegł, że już wyjechali z miasta. Byli znów w lesie, na dwupasmowej drodze o niezbyt dobrej nawierzchni. – Potem muszę wracać do Przystani Eysara.

– Nie, Thayle. Proszę.

– Muszę. Przystań Eysara to mój dom. Tam są moi. To moje miejsce.



– Chcesz wrócić do niego?

– Nie ośmieli się mnie tknąć. Postaram się o to.

– Chcę, żebyś pojechała ze mną – rzekł z naciskiem. – Proszę.

Zaśmiała się.

– Tak, pewnie. Do twojego majątku na południu. Do twojego wspaniałego domu. Do ojca, Pana Domu, do braci i siostr, Panów i całego Ludu, który do ciebie należy. Jak mogłabym to zrobić, Josephie? – mówiła teraz bardzo cicho. – Zapytaj sam siebie: jak miałabym to zrobić?

To było pytanie bez odpowiedzi. Joseph wiedział od początku, że jego prośba, jest szaleństwem. Wyobraźmy sobie, że wkracza do Domu Keilloran po długiej nieobecności, beztrąsko prowadząc za sobą dziewczynę z Ludu, towarzyszkę, kochankę – ukochaną? To było niemożliwością. Dostrzegła to o wiele wyraźniej niż on. Musiał jednak prosić. Było to coś szalonego, coś niemożliwego, ale musiał. Nienawidził myśli o tym, że musi ją opuścić.

Pojawiła się druga droga, równie wyboista jak ta, na której się znajdowali, przecinająca ją pod kątem prostym. Thayle gwałtownie zatrzymała ciężarówkę.

– Ta droga prowadzi na południe – rzekła. – Gdzieś tam żyją twoi ludzie. Mam nadzieję, że bezpiecznie dotrzesz do domu.

Jej głos był bardzo spokojny i opanowany, spowodował, że pograżył się w oceanie smutku.

Joseph otworzył drzwi i wyszedł z ciężarówki. Miał nadzieję, że ona też wysiądzie, że będzie mógł po raz ostatni ją objąć tu, na poboczu, poczuć w ramionach jej silne ciało, jej piersi, napierające na niego, ciepło jej skóry. Nie wyszła jednak z ciężarówki. Może właśnie tego chciała uniknąć: dać się wciągnąć w coś niezwykłego, pozwolić mu obudzić coś, co miało pozostać uspięcone. Wychyliła się, ujęła jego dłoń i ścisnęła ją po czym pochyliła się w jego stronę, by mogli się pocałować, krótki, nieporadny pocałunek, który utrudniała jej rozcięta warga, i to było już wszystko.

– Nigdy cię nie zapomnę – rzekł Joseph.

– Ja ciebie też nie zapomnę – powiedziała. I ruszyła, a Joseph był znów sam.

Stał, patrząc na ciężarówkę, która kołysała się na wertepach, aż znikła w oddali, modląc się, by zmieniła zdanie, zatrzymała się, wróciła i zaprosiła go do środka, a wtedy razem odjechaliby w stronę Helikis. Wiedział jednak, że tak się nie stanie.

Ciężarówce nie było już widać. Był sam pośród ciszy, przerażającej w tym samotnym miejscu.

## 5

Patrząc w stronę opustoszałego horyzontu, gdzie jeszcze przed chwilą było widać ciemną kropkę ciężarówki, Joseph poczuł, jakby obudził się z cudownego snu, z którego zostały tylko niewyraźne wspomnienia, a po chwili nawet po nich nie został ślad, jedynie delikatna poświata, jakby aura. Los doprowadził go do Przystani Eysara; los umieścił go w domu, gdzie mieszkała Thayle; los przysłał ją do jego łóżka, a teraz Joseph był zupełnie innym człowiekiem. Wszystko już minęło, poza wspomnieniami. Był znowu sam, w nieznanym terenie i czekała go wciąż podróż przez tysiące mil, mimo znacznej odległości pokonanej od Domu Getfen.

Ocecił szybko sytuację, w której się znalazł: gęsty bór, późne lato, powietrze gorące i duszne, nigdzie śladu obecności ludzi, żadnych domów, żadnych pól uprawnych ani nic, co by je przypominało, nic poza kiepsko utrzymaną drogą, którą szedł. Czy w pobliżu były inne miasta kajlingów? Powinien był zapytać, kiedy była okazja. Jak daleko stąd do Przesmyku? Do najbliższego Wielkiego Domu? Czy po drodze natknie się na posterunki buntowników? Czy rebelia nadal trwa, czy została stłumiona przez wojska z Helikis, kiedy on wracał do sił w Przystani Eysara, przez całe lato? Nic nie wiedział, całkiem nic.

Cóż, będzie się uczył po drodze, tak jak robił to dotąd. Najważniejsze, żeby znowu nie doprowadzić się do zagłodzenia. Za dobrze wiedział, jak to jest.

Zapasy, które dała mu Thayle, starczą pewnie na dzień albo dwa. Potem będzie musiał opanować umiejętności myśliwego albo znaleźć nowych przyjaznych gospodarzy, w przeciwnym razie znów czeka go jedzenie mrówek, żuków i kawałków roślin.

Zaczął iść dość szybko, ale zaraz uświadomił sobie, że długo tego tempa nie wytrzyma. Choć podczas pobytu w Przystani Eysar odzyskał siły, z powodu bezczynności stracił formę. Jego nogi, które podczas samotnego marszu przez góry zmieniły się w żelazne patyki, teraz znów składały się z mięśni i kości, i czuł, jak protestują. Wytrenowanie mięśni zajmie trochę czasu. Poza tym Joseph czuł ból i sztywność od ciosów Grovina.

Joseph maszerował na południe, a krajobraz szybko zmieniał się wokół niego. Znajdował się w odległości niecałego dnia marszu od miejsca, gdzie zostawiła go Thayle i nie były to już tereny rolnicze, a nowe otoczenie nie zapewniało też takich możliwości ukrycia się jak las. Zarośla przerzedziły się i Joseph wędrował teraz po niskim płaskowzgórzu, gorącym i

suchym, gdzie z jałowej gleby sterczały tylko małe, poskręcane krzaczki i chude, czarne pieńki. Ze wschodu i zachodu płaskowyż otaczały długie, czarne pagórki o szczytach przypominających ostrza, z pasmami czegoś białego i jasnego na górze, słabo odbijającego południowe słońce; wyglądało to na wykwity soli i prawdopodobnie istotnie nimi było. Niebo było nagą, połyskującą płachtą błękitu. Strumieni było niewiele, a większość z tych, które spotykał, miało słoną wodę. Napełnił swoją butelkę w jednym strumieniu o czystej wodzie, ale zdawał sobie sprawę z tego, że w tej okolicy z wody należy korzystać oszczędnie.

Cała okolica była niewyobrażalnie odludna. Łatwo było sobie wyobrazić, że jest sam na świecie. Żadnej rodziny, przyjaciół, czy nawet wrogów; żadnych Panów, Ludu, Tubylców, noktambulów, niczego; tylko Joseph, Joseph, Joseph, zupełnie sam, maszerujący przez pustą okolicę. Samotnicze życie było dla niego czymś nowym i nie mógł powiedzieć, że mu się nie podoba. Była w tym jakaś dziwna muzyka, jakaś poezja, która go fascynowała. Taka całkowita izolacja miała w sobie tajemniczą czystość i prostotę formy.

Choć krajobraz stawał się coraz bardziej ponury, Joseph w ciągu pierwszych godzin przemieszczał się szybko, niemal automatycznie. Prawie nie zwracał uwagi na coraz większą niewygodę i ból nóg; jego myśli nadal krążyły wokół Thayle. Myślał nie tylko o jej ciepłych objęciach, gładkości jej skóry, smaku jej warg na ustach, cudownym uczuciu, które go ogarniało, gdy wbijał się w nią, ale także o ich nocnych dyskusjach, o tym, co mu powiedziała, o tym, o czym po raz pierwszy w życiu musiał pomyśleć, dzięki niej.

Zawsze zakładał – bez jakichkolwiek wątpliwości – że przynależność do klasy rządzącej z racji samego urodzenia nie jest niczym szczególnym. Tak już był urządzony świat: rodziłeś się Panem albo i nie, a jeśli miałeś szczęście, zostawałeś Panem pośród Panów, dziedzicem jednego z Wielkich Rodów. „Dlaczego jesteś Panem?” – spytała raz Thayle. „Jakie prawo, poza Podbojem, zezwala wam rządzić innymi ludźmi?”. To nie były pytania, które sobie zadawał na co dzień. Pewne rzeczy przyjmowało się jako coś zupełnie naturalnego. Pozycję życiową traktowało się jako dar losu związany z pewnymi przywilejami, w zamian za które trzeba było wziąć sobie na barki pewne obowiązki i tu rozmyślania się kończyły. „Jesteś Joseph Pan Keilloran” – powiedziano mu, gdy tylko był na tyle duży, by zrozumieć takie pojęcia jak imię i ranga. „Ci ludzie to Lud. Ty jesteś Panem”. A potem, w kolejnych latach swego chłopięctwa, poświęcił się studiowaniu rzeczy, które będzie musiał poznać, gdy nadejdą – samemu dziedzictwu, związanemu z jego urodzeniem i obowiązkiem związanym z rangą, którą wyznaczył mu los.

Tutaj wszystko było inne. Tożsamość, którą automatycznie uznał za swoją od przyjścia na świat, została mu odebrana. Przez ostatnie kilka miesięcy był tylko tym, kim zdołał być sam – zbiegłym chłopcem, rozpaczliwie poszukującym bezpieczeństwa i ochoczo przyjmującym pomoc, jaką oferował mu noktambulo; potem cenionym szamanem plemiennym i przyjacielem tubylczego wodza; potem znów uciekinierem, żalospną istotą, która o mało nie doprowadziła się do śmierci głodowej; potem mile widzianym gościem wywodzącej się z

Ludu rodziny, która pielęgnowała go, aż wyzdrowiał, jakby był ich własnym synem, a potem – był kochankiem dziewczyny z tej rodziny. A teraz znów jest uciekinierem. Każdego dnia rodził się na nowo.

Jakie to wszystko stało się poplątane, rozmyślał Joseph. W domu nigdy nie musiał się martwić o to, skąd dostanie następny posiłek, ale był cały czas świadom tego, że kiedy dorośnie, będzie musiał przejąć ogromne obowiązki, jakie teraz piastuje jego ojciec – zarządzanie Wielkim Domem – wydawanie nadzorcom poleceń, w kwestii tego, co ma być zrobione i przez kogo, sprawdzanie ksiąg rachunkowych, troszczenie się o potrzeby Ludu swego Domu, i wiele podobnych rzeczy. Tutaj nie ma żadnych obowiązków, jakie musiałbym na siebie przyjąć, ale też nie mam pewności, że pojutrze będę miał jeszcze co jeść.

Czuł się niepewnie. Kiedyś był taki okres w jego życiu, kiedy był wszystkiego pewien; teraz wszystko się zmieniało. Nie żałował jednak przemian, których doznał. Pewnie niewielu Panom dane było doświadczyć takich rzeczy, które jego spotkały podczas podróży. Musiał sobie poradzić z nieoczekiwanym bólem fizycznym i poważnym nadszarpnięciem zdrowia. Jego pobyt wśród Tubylców i rozmowy z Ardardinem nauczyły go wielu rzeczy na temat tej rasy i jej związków z Panami, a to dobrze mu zrobi, kiedy uda mu się wrócić do cywilizacji. Podobnie czas spędzony w Przystani Eysara, zarówno to, czego nauczył się w chętnych ramionach Thayle, jak i podczas rozmów, które prowadzili leżąc koło siebie w łóżku. Wszystko to było niezmiernie cenne. Ale pójdzie na marne, pomyślał, jeśli nie dożyje powrotu do Domu Keilloran.

Zapadły ciemności. Znalazł miejsce do spania, jamę wygrzebaną w stoku wzgórza. Będzie musiała wystarczyć. Zaczął wspominać z nostalgią swoje łóżko w Przystani Eysara, ale zdumiał się, gdy spostrzegł, jak szybko można się przyzwyczaić do spania na otwartej przestrzeni. Położył się w najmniejszym miejscu, jakie da się znaleźć, choć wcale nie tak miękkim, zwinąć się w ulubionej pozycji, zamknąć oczy, poczekać, aż nadejdzie sen – i to wszystko. Po całym dniu ciężkiego marszu sen przyszedł natychmiast.

Rano bolały go wszystkie mięśnie, od stóp do głów, poza tym odczuwał ból po ciosach Grovina. Pewnie będzie go jeszcze bolało przez parę dni – po tym czasie dopiero mięśnie odzyskają dawną sprawność. Joseph zauważył już jednak, że mięśnie zaczynają odzyskiwać twardość i miał wrażenie, że jeśli trzeba będzie, pomaszeruje choćby do Helikis i dalej, na kraniec świata, albo do któregoś z księżyców.

Droga, którą szedł, skręcała ostro w lewo i znikła gdzieś na wschodzie, ciemna, wijąca się linia. Opuszczam ją. Idę na południe, pomyślał Joseph. Nie obchodziło go, co leży na wschodzie. I nie potrzebował drogi: krok za krokiem, przez polanę i dolinę, koło wzgórza i kotliny, dojdę tam, gdzie chcę dojść.

Jedzenie, które dała mu Thayle, prawie się skończyło, zaczął więc poważnie myśleć o kolejnej metamorfozie, kolejnym wcieleniu: przeobrażeniu się w myśliwego, który żywi się tym, co sam upoluje i musi zabijać, by się wyżywić.

Choć szło mu się teraz zdecydowanie trudniej, bo teren był niełatwy, okolica wcale nie była pusta. Gdziekolwiek spojrzeł, czaiło się mnóstwo dzikich zwierząt, dziwnych bestii, dużych i małych, żyjących tak, jak żyły przed milionami lat w tej nieprzyjaznej krainie, gdzie nie było Panów, Ludu ani Tubylców. Na polanie między spiczastymi szarymi drzewami zobaczył stado długoszyich węszących zwierząt w czerwone pasy, które musiały osiągać wysokość jakichś trzydziestu metrów; żuły cierniste liście. Spojrzały na niego smutnymi, łagodnymi oczami, w których czaiły się ślady inteligencji. W zamulonym jeziorku żyły pękate, włochate brodzące zwierzęta, które, gdy je mijał, waliły rytmicznie w powierzchnię wody płaskimi, tępo zakończonymi, pozbawionymi sierści ogonami; może jego obecność działała na nie drażniąco. Była ciężka, kanciasta, podobna do ganuja bestia, z niezgrabnym wieńcem tępych rogów tuż powyżej nozdrzy, oraz małe, ruchliwe, płowe stworzenia o sztywnych ogonach i cienkich, patykowatych nogach oraz powolne, wielkogłowe przeżuwacze, żujące czerwonawą trawę o wystrzępionych brzegach, i włochate zwierzęta z kolcami wzdłuż kręgosłupa, o pękatych brzuchach i obwisłym podgardlu, stworzenia, które chodziły wyprostowane i – osądzając na podstawie ich reakcji na przybysza – prawdopodobnie były na tym samym etapie mentalnego rozwoju, co poryfary.

Joseph wiedział, że będzie musiał zabić któreś z tych stworzeń, by przeżyć. Nie było tu noktambula, żeby za niego polował. Nie było też strumieni, w których można było wygodnie zaopatrzyć się w pelzacze, ani smacznych białych bulw, które pamiętał z pierwszych dni ucieczki, i pewnie też nie znajdzie małych, pelzających stworzeń, które noktambulo tak łatwo łapał swoimi przypominającymi szufle łapami.

Będzie więc musiał zrobić to sam. Nie miał wyboru. Idea zabicia czegokolwiek większego od błotnego pelzacza wydała mu się odrażająca i zastanawiał się, dlaczego tak jest. W domu i w Getfen polował na różne zwierzęta, duże i małe, wyłącznie dla przyjemności, i nigdy nie rozpatrywał tego w kategoriach dobra ani zła; tu będzie musiał polować z konieczności, a jednak czuł jakiś wewnętrzny opór. Może dlatego, że to nie był rezerwat myśliwski, ale naturalna kraina dzikich stworzeń, do której przyszedł nieproszony, i z zamiarem popełnienia morderstwa. Cóż, nie znalazł się tu z własnej woli. Poza tym, jak wiele zwierząt żywiących się mięsem innych, on też musiał jeść.

Tej nocy, śpiąc między drzewami o krzywych pniach, które zaścieliły ziemię gęstą masą zrzuconych liści, Joseph śnił o Thayle. Stała przed nim, w świetle księżyca, dającego białe światło Keviel, cudownie naga; jej skóra lśniła jak satyna; księżyc rzucał też chłodny blask na ciężkie kopyły jej piersi i tajemniczy trójkąt złotych włosów pad brzuchem; uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ręce, a on sięgnął i przyciągnął ją do siebie, całując ją i głaszcząc, aż jej oddech stał się głęboki i chrapliwy, aż krzyknęła, by w nią wszedł, co też uczynił. Czekał na napływającą rozkosz; zamiast tego obudził się nagle, przerażony, a Thayle znikła jak pryskająca mydlana bańka.

– Nie! – krzyknął, ciągle na granicy między snem a jawą. – Wróć!

Otworzył oczy i usiadł. Biały Kewiel żeglował po niebie i w jego świetle Joseph zobaczył, że nie jest sam. Nie towarzyszyła mu jednak Thayle. Usłyszał niskie fuknięcie i poczuł ostry, stęchły zapach. Wydłużone, czerwono-zielone oczy patrzyły na niego w ciemności rozjaśnionej tylko światłem księżyca. Dostrzegł długie, ciężko zbudowane ciało, płaski, pokryty szczecina pysk, długie, szpiczaste uszy. Stworzenie znajdowało się jakieś siedem czy osiem stóp od niego i szło w jego stronę.

Joseph zerwał się szybko na równe nogi i zaczął wykonywać uspokajające gesty. Stworzenie zatrzymało się natychmiast, z niepewnością przekrzywiając pysk z jednej strony na drugą. Oczy Josepha przystosowały się do ciemności, więc dostrzegł, że gość jest zwierzęciem z gatunku, który już wcześniej widywał, sporym, powoli się przemieszczającym przeżuwaczem o grubym futrze jak u poryfara, czarnym z białymi, szerokimi pasami. W przeciwieństwie do poryfarów, te wyglądały na niegroźne, jak to roślinożerne, i nie wyglądały jakby miały czym zrobić krzywdę – jedyne zagrożenie mogły stanowić silne pazury, ale były pewnie używane głównie do wygrzebywania jedzenia spod ziemi.

Łapiąc swój podręczny zestaw Joseph znalazł latarkę kieszonkową i zapalił ją. Zwierzę przysiadło na zadzie i patrzyło na niego ze zdziwieniem, jakby było zaskoczone widokiem Josepha w tym miejscu. Nie wyglądało na szczególnie inteligentne.

– Nie jesteś przypadkiem jakąś inteligentną formą życia? – zapytał Joseph w języku Tubylców. Stworzenie nie przestawało się na niego gapić. – Nie. Naprawdę cię o to nie podejrzewałem. Ale pomyślałem, że warto się upewnić.

Pewnie było to jakieś ulubione miejsce, gdzie się pasło, miejsce, gdzie nocą ryło w poszukiwaniu orzechów skrytych pod opadłymi igłami albo owadów żyjących pod ziemią, albo innego łatwego łupu.

– Wszedłem ci w drogę? – spytał Joseph. – Przepraszam. Chciałem się tylko gdzieś przespać. Jeśli to twoje miejsce, zaraz sobie idę, dobrze?

Nie spodziewał się odpowiedzi i nie otrzymał jej. Zwierzę jednak nie odchodziło i zaczęło węszyć za swoją kolacją i Joseph uznał, że będzie musiał znaleźć sobie inne miejsce do spania. I tak nie byłby w stanie zasnąć z czymś takim dużym, choćby nawet nieszkodliwym, grasującym tuż obok niego. Zebrał swoje rzeczy, przeszedł kilkanaście jardów i znów się ułożył, ale to nie pomogło: zwierzę szybko przytuptało za nim.

– Idź sobie – rzekł Joseph. – Nie chcę być twoim przyjacielem. W każdym razie nie teraz.

Wykonał kilka uspokajających gestów, ale to nie pomogło. Zwierzę nie chciało odejść. Joseph był już całkiem obudzony i wyglądało na to, że już nie zaśnie. Przesiedział, niezadowolony, resztę nocy, patrząc, jak bestia niespiesznie grzebie pośród igieł.

Miał wrażenie, że świt nigdy nie nadejdzie. Od czasu do czasu udało mu się przez chwilę zdrzemnąć, ale nie był to prawdziwy sen. W pewnej chwili, jeszcze nocą, uświadomił sobie, że bestia gdzieś odeszła. Joseph zmówił poranną modlitwę – nadal to robił, choć sam nie wiedział, dlaczego – i przeszukał swoją sakwę z zapasami, obliczając, ile może zjeść na

śniadanie. Uznał, że niewiele. A resztę zje w porze obiadowej. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy będzie musiał zacząć polować, albo grzebać w igłach na ziemi, czy co tam robiło to pasiaste stworzenie, albo przygotować się na następną głódówkę.

Trzeba więc polować. Kraina wyglądała na dość jałową, ale widywało się niemało zwierząt. Nie miał jednak niczego, co przypominałoby prawdziwą broń. Co robili rozbitkowie bez broni, gdy chcieli złapać coś do jedzenia?

Zaostrzony pał w jamie, pomyślał. Trzeba zakryć gałęziami i czekać, aż zwierzyna do niej wpadnie.

Wydało się to Josephowi dość absurdalne nawet jako czysto abstrakcyjny pomysł, a rozpatrywane od strony praktycznej wydawało się jeszcze bardziej głupie. Zaostrzony pał? Czym zaostrzony? Wykopanie jamy? Jak, gołymi rękami? I jeszcze nadzieja, że coś godnego zjedzenia posłusznie tam wpadnie i jeszcze zgrabnie nadzieje się na patyk? Już samo rozglądanie się za czymś, czego mógł użyć jako pała, spowodowało, że zaczął się śmiać z własnej głupoty.

W tej chwili nie miał jednak lepszych pomysłów, a pał znalazł się po długim szukaniu: smukła gałąź, długa na pięć stóp, która oderwała się od pobliskiego drzewa. Z jednego końca, tam, gdzie się odłamała, była poszarpana i ostra. Gdyby tylko zdołał ją solidnie osadzić w gruncie, może rzeczywiście by się udało. Najpierw jednak musiał wykopać dziurę o głębokości z grubsza równej swojemu wzrostowi, na tyle szeroką, by zwierzę, jakie miał nadzieję złapać, nie wydostało się z niej. Joseph zaczął grzebać w ziemi sandałem na próbę. Zdołał zrobić ledwo płytkie zagłębienie. Sucha, twarda ziemia nie nadawała się do kopania. Być może zdoła znaleźć jakiś kamień, który będzie się nadawał do kopania, ale pewnie i tak wykopanie takiej dziury zajmie mu jakiś miesiąc. Zagłodzi się na śmierć zanim mu się to uda. Poza tym stracił cały ranek na zajmowanie się tym absurdalnym pomysłem i nie przemieścił ani o cal w stronę celu.

Resztkę jedzenia zjadł w porze obiadowej – wiedział, że tak będzie. Długie poszukiwanie jadalnych orzechów czy choćby owadów nie dało rezultatów.

Co dalej? Znów sięgnął pamięcią do swoich ksiązek przygodowych dla chłopców. Sznurek rozciągnięty między drzewami w nadziei, że coś się w niego zaplącze. Miał szpulkę drutu w swoim zestawie podręcznym i spędził godzinę próbując go rozciągnąć między dwoma młodymi drzewkami tuż nad ziemią. Gdy pracował, pojawiło się, węsząc dookoła, czarno-białe zwierzę, które wystraszyło go w nocy. Joseph był raczej pewien, że to ten sam okaz. W świetle dziennym wyglądało na większe niż w nocy, miało krótkie nogi, było umięśnione, dobrze zbudowane, ważyło co najmniej tyle samo co on. Jego pasiaste futro było całkiem ładne. Zwierzę najwyraźniej w ogóle się go nie bało, podchodziło bardzo blisko, a czasem dotykało porośniętym szczecinią pyskiem drutu, który Joseph próbował przywiązać do drzewek, co utrudniało mu pracę.

– Co jest? – spytał Joseph. – Chcesz mi pomóc? Nie potrzebuję pomocy.

Musiał je odpychać. Odeszło o parę kroków i spojrzało na niego smutno szklistymi oczami.

– Chcesz zostać moim przyjacielem? – spytał Joseph. – Moim ulubionym zwierzątkiem? Nie wyglądasz.

Wreszcie sidła były gotowe. Joseph cofnął się i podziwiał swoje dzieło. Każde zwierzę, które w to wpadnie z wystarczającą prędkością, znajdzie się w pułapce. A przynajmniej taką miał nadzieję. Może te żwawe, małe płowe zwierzątka, które kręciły się tu i ówdzie w stadach liczących pięć albo sześć sztuk; jeśli tylko będą nieostrożne, żeby aż tak dać się podejść.

Tak się jednak nie stało. Joseph ukrył się za wielkim, trójbocznym głazem i czekał, godzinę, dwie. Zbliżał się wieczór. W ciemnościach sidła na pewno będą niewidoczne. Już teraz sam ledwo je widział, a przecież patrzył prosto na nie i wiedział gdzie są. Ze swojej czatowni za głazem zauważył swojego pasiastego przyjaciela, który szperał w pobliżu, wykopując z ziemi duże, okrągłe nasiona i żując je z głośnym chrzęstem. Wątpił, czy odstraszy to małe, płowe zwierzęta. W końcu nadeszły, swawoląc, całkiem solidne stadko, kilkanaście sztuk; ogony miały sztywno postawione, uszy – nadstawione, wydymające się nozdrza, małe kopyta stukwały, gdy podskakiwały na kamienistej glebie. Szły ścieżką, która mogła je zaprowadzić prosto do pułapki Josepha. I tak się stało. Jedno po drugim podeszły do niej tanecznym krokiem, a kiedy się do niej zbliżyły, wybiły się w powietrze eleganckimi wyskokami, żeglując prosto nad rozciągniętym drutem, z zapasem dwóch albo trzech stóp, kpiąco machając ogonami, gdy biegly. Przeskoczyły na drugą stronę jak grupa plotkarzy. Joseph prawie nie wierzył własnym oczom, obserwując je, jak przechodzą i oddalają się, brykając.

Odczekał jeszcze pół godziny, mając nadzieję, że jakieś mniej uważne zwierzę zbliży się i padnie ofiarą sideł, jedna z wielu bestii wędrujących po tej nieprzyjaznej krainie. Tak się jednak nie stało. Zapadał zmrok, a on nadal nie miał nic do jedzenia. Rankiem sytuacja wcale się nie poprawiła. Wkrótce głód zajrzy mu w oczy. Żadna z tych wysuszonych, zdeformowanych roślin nie wyglądała na jadalną – przynajmniej dla niego, bo zwierzęta się tym nie przejmowały. Nie mógł się zmusić do jedzenia trójstronnych liści czerwonej, twardej trawy o wystrzępionych brzegach, które rosły w rzadko rozsianych kępach wszędzie dookoła. Nie było tu korzeni ani bulw, ślimaków czy nawet mrówek. Gdzieś za tymi białymi wzgórzami może będzie kraina smakowitych owoców i słodkich, soczystych, powoli przemierzających się krabów, ale może nie żyć na tyle długo, żeby ją zobaczyć – jeśli w ogóle istniała. Nie miał też nadziei na to, że zjawią się zbawcy z Ludu i uratują go właśnie wtedy, gdy zemdleje tuż przy drodze z wyczerpania, na pograniczu halucynacji.

Muszę znaleźć coś, co mogę zabić i zjeść, pomyślał Joseph, i to szybko.

Z lewej strony rozległo się znajome pochrząkiwanie.

Och, nie, pomyślał Joseph, osłupiały. Nie mogę. I natychmiast pojawiła się myśl: tak. Muszę.



Jego nowy przyjaciel, samozwańczy kompan. Powolne zwierzę o ostrym zapachu, amator nasion, taki ufny, taki niegroźny. To nie było po prostu zwierzę; pewnego dnia stanie się zwierzęciem, które zna. To całkowity nonsens, skarcił się. Zwierzę to zwierzę, nic więcej. A on był w poważnych tarapatach. Jak jednak może je zabić, to nieszkodliwe, przyjazne stworzenie? Musi. Nie ma wyboru. Nic. Nic. Nic. Ta myśl przerażała go, ale głód wydawał się równie okropny. Już raz omal nie zagłodził się na śmierć i ten raz wystarczy: powolne zanikanie ciała, wysychanie mięśni, osłabienie kości, kłopoty ze wzrokiem, opuchnięty język, smak miedzi w ustach, drżące nogi, bóle głowy, zawroty głowy, szaleństwo.

Znalazł klinowaty kamień, duży, największy, jaki mógł utrzymać. Zwierzę spoglądało na niego w dziwny, pozbawiony zainteresowania sposób. Najwyraźniej nie miało pojęcia o zamiarach Josepha. Joseph modlił się, żeby w tych tępo patrzących oczach nie pojawił się ślad inteligencji. Ale skąd naprawdę można się dowiedzieć, jak inteligentne jest zwierzę? Nie można. Nigdy się to nie udaje. Pomyślał o poryfarach, które podzieliły się z nim jedzeniem, tam, przy strumieniu, cudowną wiosną, tuż za górami. Nikt nie wątpił w to, że były inteligentnymi stworzeniami. Gdyby to stworzenie postawić na tylnych nogach, wyglądałoby jak poryfar, może daleki krewny, pomyślał Joseph. Miał nadzieję, że podobieństwo jest przypadkowe.

– Wybacz mi – rzekł bezsensownie, wziął głęboki oddech i uniósł kamień obiema rękami, po czym z całej siły uderzył w płaskie, szerokie czoło zwierzęcia.

Uderzenie nie zrobiło na nim większego wrażenia. Nadal gapiło się tępo na Josepha i zaczęło się cofać, ale nie można było tego uznać za ucieczkę. Joseph uderzył jeszcze raz. I jeszcze. Najwyraźniej niewiele to dawało. Zwierzę zakołysało się i wydało niski, pełen żalości odgłos. Muszę być nieustępliwy, powtarzał sobie Joseph, muszę być bezlitosny, już za późno, żeby się powstrzymać. Muszę to doprowadzić do końca. Uderzył ponownie i zwierzę upadło ciężko, lądując na jednym boku; jego nogi zataczały koła w powietrzu. Wycie nie ustawało. Potem przeszło w żalony pisk. Czerwono-zielone oczy nadal zostały otwarte, gapiąc się na niego z wyrzutem – a przynajmniej tak mu się wydawało.

Poczuł mdłości. Polowanie dżentelmenów, z bronią, która niosła śmierć czysto i szybko, na odległość, było czymś zupełnie innym od zabijania jak dzikus, waląc bezlitośnie kamieniem po łbie.

Odszukał swój zestaw podręczny i znalazł mały nóż, ukląkł, po czym usiadł okrakiem na zwierzęciu, czując dziwne skurcze pleców i ramion, i szlochając z całej siły zatopił nóż w szyi zwierzęcia. Zaczęło młócić tylnymi nogami. Nóż był całkowicie nieodpowiedni do tego zadania i zajęło ono Josephowi o wiele więcej czasu niż pierwotnie zakładał. Muszę być bezlitosny, powtórzył Joseph w duchu, złapał zwierzę i przytrzymał, aż młócenie ustało.

Wstał, zakrwawiony, szlochający.

Po chwili zaczął się uspokajać. Najgorsze mam za sobą, pomyślał. Mylił się jednak, bo czekało go jeszcze oprawianie, zdarcie skóry za pomocą noża, który w ogóle się do tego nie

nadawał, bo był praktycznie zabawką, rozplatanie brzucha, wyjęcie lśniących organów wewnętrznych, czerwonych, różowych, niebieskich. Zwierzęta należało patroszyć – Anceph nauczył go tego dawno temu – bo psują się bardzo szybko i od nich psuje się mięso. Przerażało go to zadanie. Widok wnętrza zwierzęcia głęboko nim wstrząsnął – cała ta wilgotna, lśniąca maszyna wewnętrzna działała, dopóki nie wziął do rąk kamienia i nie zakończył jej żywota. A teraz te wszystkie tajemnicze rzeczy zostały obnażone. Wylały się ze środka, organy, których nawet nie potrafił zidentyfikować, święte prywatne zakątki zwierzęcia, które zabił. Joseph dławił się, targany mdłościami, odwrócił się na chwilę, zalany potem, a następnie wrócił i podjął pracę na nowo. Dwa razy musiał przerwać, żeby wymiotować, a za drugim razem mdłości były tak intensywne, że musiał odpocząć jakieś pięć czy dziesięć minut, roztrzęsiony, spocony, oszołomiony. Potem zmusił się, by dokończyć dzieła. Przekonywał się, że miał prawo odebrać zwierzęciu życie; teraz musiał się postarać, żeby ta śmierć nie poszła na marne.

Kiedy skończył, był cały umazany zakrzepłą krwią, a w pobliżu nie było strumienia, w którym można by się wykąpać. Nie chcąc marnować swoich zapasów wody z butelki, Joseph wytarł się piaszczystą ziemią, aż jego ręce i ramiona wyglądały na prawie czyste. Potem znalazł w sakwie krzesiwo; od dawna go nie używał, nie był więc pewien, czy w ogóle działa. Pomyślał, że może konieczne okaże się spożycie mięsa na surowo i ta myśl znów wywołała u niego falę mdłości. Krzesiwko jednak działało; ustawił małe ognisko z gałązek i liści, po czym piekł na nim stek, aż przestały z niego wyciekać soki, aż wreszcie, na zakończenie tego potwornego aktu, ugryzł pierwszy kęs. Mięso miało w sobie trochę ostrego i stęchłego aromatu, który wyczuwał w sierści zwierzęcia i połknięcie go wymagało poważnej walki ze sobą. Ale musiał jeść. Jadł powoli, ze smutkiem, żując mechanicznie, aż poczuł sytość.

Było już ciemno; nadeszła pora na sen. Nie chciał jednak spać drugą noc z rzędu w tym samym miejscu. Przywołałoby to zbyt wiele wspomnień związanych ze zwierzęciem, które go nawiedziło. Ułożył się niedaleko dogasającego ognia, choć grunt był tam nagi i nierówny. Gdy leżał i czekał, aż nadejdzie sen, przypomniał sobie, jak wybrał się z Ancephem na trzydniową wyprawę myśliwską do lasu Gayrona, on, Rickard i paru przyjaciół, a drugiego dnia, gdy obudzili się o świcie, zobaczyli Ancepha kucającego przy popiele z ogniska, jak patrzy na małe, pulchne zwierzęta o jaskrawym ubarwieniu, które skakały dookoła nich. „Ropuchy niedopałki” – wyjaśnił Anceph. „Widuje się całe ich stada tam, gdzie wieczorem paliło się ognisko. Chyba lubią ciepło”. W ręce trzymał małą siatkę, którą machał w powietrzu, aż złapał kilkanaście takich stworzeń. „Na nogach mają sporo dobrego, słodkiego mięsa” – rzekł Anceph. „Upieczemy je na śniadanie. Będą wam smakowały”. Miał rację. Rickard odmówił nawet skosztowania, ale Joseph objadł się nimi do syta i teraz przypominał sobie, jakie były smaczne. Zastanawiał się, czy tu też pojawią się wokół resztek jego ogniska, ale nie przypuszczał, by tak się miało stać – pewnie występowały tylko na Helikis, o ile było mu wiadomo, i rzeczywiście rankiem została tylko kupka szarego popiołu. Nie było ropuch

niedopałków, nie tutaj, nie było jowialnego Ancepha, który tyle wiedział o polowaniu i o różnych innych rzeczach, pewnie leży w jakimś nieoznaczonym grobie, daleko na północy, koło Domu Getfen.

Najważniejszym zadaniem na ten ranek było pokrojenie i zapakowanie mięsa pasiastego zwierzęcia, tyle, ile tylko zdoła unieść, kiedy podejmie marsz. Joseph nie był w stanie określić, jak długo utrzyma się mięso, ale chciał zminimalizować straty, a może w tym suchym klimacie będzie się wolniej psuło.

Przystąpił do pracy szybko i zdecydowanie. Nie było to aż tak nieprzyjemne, jak zabicie zwierzęcia i wypatroszenie go; teraz było to po prostu dużo pracy: nieprzyjemnej, brudnej, nic poza tym. Poczul wielką ulgę, że przestał już odczuwać wyrzuty sumienia i żal z powodu zabicia przyjaznego, nieszkodliwego zwierzęcia. Wszystko musi umrzeć, prędzej czy później, powiedział sobie. Przyspieszył nadejście śmierci dla tego stworzenia, ale dlatego, że jego własne życie było zagrożone i gdyby szybko nie znalazł czegoś do zjedzenia, sam by zginął, a tak już jest urządzone świat, że szybsi, mocniejsi i sprytniejsi zjadają tych mniej sprawnych; takie było prawo, niewzruszone prawo niewzruszonego świata. Nawet Thayle, która uważała, że Panowie nie powinni rządzić Ludem, nie widziała nic niewłaściwego w zjedaniu mięsa. Było to coś absolutnie naturalnego. On sam zjadł w życiu mnóstwo mięsa, jak wszyscy inni i nie szlochał nad nim; jedyna różnica polegała na tym, że tym razem on sam zabił zwierzę, a czynności rzeźnika pozwoliły mu zrozumieć, co to znaczy być mięsożernym, i na chwilę poczucie samotności ustąpiło wyrzutom sumienia. Jakaś część niego samego, część Pana, która tak rzadko ostatnio dochodziła do głosu, uznała, że jest to nie do przyjęcia. Wyrzuty sumienia były luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić w tej kompletnej dziczy. Musi je stłumić.

Joseph spędził pół dnia krojąc mięso na płaskie paski, odsączając krew i zawijając je starannie w grube, skórzaste liście, które rosły w pobliżu. Miał nadzieję, że przez parę dni się nie zepsuje. Kiedy załadował swą sakwę ładunkiem, który ledwo mógł unieść, upiekł to, co zostało i zjadł na południowy posiłek, po czym znów ruszył na południe. Po kilkudziesięciu krokach coś zmusiło go, by się obejrzał i ostatni raz rzucił okiem na obozowisko; dostrzegł tam dwie wychudzone bestie o żółtym umaszczeniu, które zawzięcie grzebały we wnętrznościach zwierzęcia, które zabił. Nic się nie zmarnuje, pomyślał Joseph, przynajmniej w przyrodzie. Człowiek jest jedynym zwierzęciem, które popiera marnotrawstwo.

Dzień minął bez większych wydarzeń, po nim kolejny. Choć nie prowadziła go żadna ścieżka, teren był łatwy i poruszanie się w nim nie było trudne. Daleko na horyzoncie dostrzegł góry o znacznej wysokości i zastanawiał się, czy będzie musiał je pokonać. Teraz jednak nie musiał się nad tym zastanawiać. Teren, po którym się poruszał, był łatwy. Nogi Josepha pokonały już sztywność sprzed kilku dni i Joseph nie widział powodu, dla którego nie miałyby pokonywać dwadzieścia mil dziennie, albo nawet trzydzieści, skoro już wpadł w rytm.

Zauważył z zadowoleniem, że okolica, którą przemierza, staje się coraz bardziej zachęcająca w miarę posuwania się do przodu; ziemia stała się ciemniejsza i czarniejsza, roślinność bardziej bujna. Wkrótce wzgórza o ostrych kształtach, z solnymi wykwitami, zostały daleko za nim. W powietrzu było więcej wilgoci, pokrywa chmur także była większa, więc nie musiał znosić nieustannej, męczącej obecności letniego słońca, choć w południe nadal bywało upalnie. Znalazł też wodę – cienka strużka wypływała z upstrzonej ziarnami miki skały na szczycie wzgórza i zbierała się w płytkim basenie u jego stóp; rozebrał się ochoczo i umył od stóp do głów, napił i napełnił swoją butelkę, w której zostało już tak mało wody, że pozwalał sobie tylko na malutkie łyeczki w najdłuższych możliwych odstępach czasu. Rosnący w pobliżu krzew uginał się pod ciężarem masywnych gron dużych, lśniących i błyszczących, złocistych jagód, które wyglądały tak kusząco, że nie mogły być niejadalne. Joseph spróbował jednej i odkrył, że jest pełna słodkiego soku, smacznego jak miód. Zaryzykował więc drugą, a potem trzecią, zgodnie ze swoją zasadą przeżycia w puszczy – trzy jagody, nie więcej, i zobaczymy, co się potem stanie. Do chwili, gdy skończył układać drewno na ognisko, nie wystąpiły żadne niepożądane skutki, więc pozwolił sobie na spożycie jeszcze tuzina na deser. Wyruszając w drogę po śniadaniu zabrał trzy wielkie grona, ale potem dostrzegł, że krzew ten występuje w tej okolicy dość często, wszędzie, gdzie znajdowały się źródła wody, więc nie zadał sobie trudu zabierania większej ilości. Po kilku dniach krzewy znikły, a kiedy skosztował mniejszej, twardszej jagody z innego krzewu, zaczęła piec go w usta – wypluł natychmiast. Jej posmak nie pozwolił mu zasnąć przez pół nocy, razem z nieprzyjemnym uciskiem w żołądku, ale rano czuł się już dobrze.

Po godzinie marszu Joseph dotarł do niewielkiego wzniesienia i zobaczył drogę wcinającą się w dolinę poniżej, biegnącą pętlą z północnego wschodu, a potem obierającą kierunek, jakim miał podążać – a przynajmniej tak mówiło mu słońce. Niewykluczone, że była to ta sama droga, na której zostawiła go Thayle – zszedł z drogi, gdy skrzyła na wschód. Wyglądała podobnie, wyboista, wąska i kiepsko utrzymana. Nie było na niej widać żadnych pojazdów. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy z tego, jak słabo jest zaludniony północny kontynent.

Minęło zaledwie parę dni marszu przez dzikie tereny, a już Joseph poczuł dziwną niechęć do spaceru po czymś tak nienaturalnym jak asfaltowa droga. Wyglądało jednak na to, że droga biegnie dokładnie na południe, a może nawet do samego Przesmyku. Uznał, że podążanie nią za dnia nie jest niebezpieczne. Mógł ukrywać się w krzakach co wieczór, gdy nadszedł czas na wieczorny odpoczynek.

Marsz po asfalcie wcale nie był wygodny. Pod obutymi w sandały stopami droga była nierówna i szło się nieprzyjemnie. Odczuł pokusę, by zdjąć sandały i iść bosy. Staje się dzieckiem natury, pomyślał, dzikusiem, bestią z lasu. Tożsamość cywilizowanego człowieka odpada ze mnie z każdym dniem. Stałem się niechlujnym zwierzęciem. Czy będę znów w stanie zamienić się w Pana, jeśli w ogóle dotrę do domu? Albo ucieknę z Domu Keilloran,

kiedy nikt nie będzie patrzył, i będę żył w głuszy leśnej, żywiąc się jagodami i korzonkami w lasach majątku?

W tym regionie istniały jakieś ślady osadnictwa; małe, drewniane domki, rozproszone, podobne do tego, w jakim mieszkał w Przystani Eysara, ale bardziej odludne, rozmieszczone wzdłuż drogi w sporej odległości od siebie. Podejrzał, że to domy rolników z Ludu, którzy nie chcieli mieszkać w wiosce – nawet jeśli była to wioska kajlingów. Żaden z nich nie był zamieszkały, choć nie było widać śladów zniszczeń; najwyraźniej ich właściciele po prostu je opuścili, nie wiadomo jak dawno temu. Może przetoczyła się tędy wojna, może ci, którzy tu mieszkali, po prostu odeszli; trudno było stwierdzić.

Joseph pomyszkował trochę przy jednym z domów; była przy nim drucziana klatka dla ptaków, taka, w których trzymano testryny i hejsiry. Miał nadzieję, że w domostwie rolnika ostała się choć sztuka z jego stada. Zapasy mięsa kończyły się i z wielką chęcią spożyłby dziś na kolację pieczonego hejsira, czy choćby omlet z jego jajek. Niestety, w klatkach nie znalazł niczego, jeśli nie liczyć pustych gniazd i piór. W domu wszystko było pokryte grubą warstwą kurzu. Budynek opróżniono praktycznie ze wszystkiego, z wyjątkiem paru starych, bezkształtnych mebli. Joseph odkrył jedną porzuconą butelkę wina na skraju kuchennego blatu. Nie miał jej czym otworzyć, więc ubił szyjkę o brzeg pokrytego rdzą zlewu. Wino było kiepskie, kwaśne i ledwo je skosztował.

Zaczął padać lekki deszcz. Joseph zdecydował, że będzie spał w domu, ale w środku czuł się jak w zamknięciu, poza tym chmury kurzu, jakie wzniecał, były denerwujące. Wolał więc spać na werandzie i ułożył się na starych, zniszczonych poduszkach, które znalazł, słuchając cichego szumu deszczu, aż zasnął.

Poranek był jasny, słoneczny i ciepły. Joseph zjadł niewielkie śniadanie, wyruszył wczesnie i niebawem minął ostatnie z porzuconych gospodarstw. Poruszał się teraz w terenie, który nie był ani lasem, ani łąką; dominowały tam dostojne drzewa z ostro skierowanymi w górę gałęziami, każde w dumnej izolacji od pozostałych, pośrodku pola gęstej trawy o gumowatych, różowych źdźbłach. Na drzewach uwijały się niezliczone, skaczące zwierzęta o puszystej szarej sierści i okrągłym ciele; pewnie szukały nasion.

Ich widok wywołał u Josepha, który zdawał sobie sprawę z konieczności uzupełnienia zapasów pożywienia, jaka miała przed nim stanać za dzień czy dwa, nagły wybuch głodu. Żałował, że nie ma ze sobą strzelby. Mógł co najwyżej próbować strącić któreś dobrze wycelowanym kamieniem. Gdy podpełzł do jednego ze stad, jak sądził – bezszelestnie, zwierzęta natychmiast rozproszyły się jak zimowa mgła w porannym słońcu, sprawnie i niespiesznie przenosząc się na drugi koniec pola. Następne stado zrobiło to samo. Joseph zrezygnował, nie rzuciwszy kamieniem ani raz.

Mimo to był w dobrym nastroju. Okolica była gościnna i nie wątpił, że znajdzie tu coś do jedzenia, prędzej czy później, a jego ciało odzyskało sprawność i spisywało się tak świetnie, że szybki marsz pustą drogą był czystą przyjemnością. Słońce stało wysoko na niebie,

wskazując mu drogę do Helikis. Joseph czuł, że nie ma żadnego znaczenia, czy droga do domu zajmie mu rok, trzy lata, czy dziesięć lat: to była największa przygoda jego życia, nieoczekiwana epicka podróż, która ukształtuje go na zawsze, bez względu na to, ile czasu przeznaczenie każe mu na niej spędzić.

Pokonał zakręt drogi, przemieszczając się długimi krokami; Joseph pogwizdywał i pograżył się w przyjemnych myślach o nocach z Thayle, by nagle zauważyć, że droga przed nim pełna jest pojazdów wyglądających na wojskowe. Było ich może pół tuzina i koło nich stała grupa uzbrojonych mężczyzn.

Blokada drogowa, pomyślał. Jakiś punkt kontrolny. A on wyszedł prawie na niego.

Zauważyli go? Nie był w stanie tego określić. Zatrzymał się szybko i odwrócił, z zamiarem cofnięcia się, ukrycia w lesie aż sobie pójdą, lub – gdyby nadal tam tkwili – obejść ich przez las. Udało mu się przejść jakieś dziesięć kroków.

Wtedy rozległ się chrapliwy, płaski, nosowy głos przemawiający w języku Ludu:

– Zostań tam gdzie jesteś. Podnieś ręce nad głowę.

Joseph uniósł wzrok. Potężny mężczyzna w hełmie i brązowym mundurze stał na wzgórzu obserwując drogę. W rękach trzymał karabin wymierzony prosto w pierś Josepha. Kilku innych mężczyzn w tych samych mundurach wybiegło zza zakrętu w ich stronę. Oni także byli uzbrojeni.

Joseph zrozumiał, że uczynienie jakiegokolwiek gestu innego niż poddanie się byłoby samobójstwem. Skinął głową w stronę mężczyzny na wzgórzu i uniósł ręce.

Podeszli do niego i otoczyli go. Jak przypuszczał, byli to żołnierze buntowników, w sumie pięciu. Żaden z nich nie sięgał mu wyżej niż do ramion. Cała piątka miała takie same płaskie, szerokie nosy, wąskie szare oczy, żółtawe włosy, które wyglądały, jakby przycięto je od nałożonego na głowę garnka. Równie dobrze mogli być piątką braci.

Słyszał szybką wymianę zdań w języku Ludu; próbowali ustalić, kim albo czym jest. Dominował pogląd, że jest szpiegiem, choć nie próbowali nawet określić, dla kogo miałby szpiegować. Jeden z nich sądził, że Joseph jest wędrującym dzikim człowiekiem, niegroźnym, stukniętym prostaczkiem.

– Tylko wariat chodziłby teraz tą drogą – rzekł. – Widzicie, jaki jest brudny? Widzieliście kiedyś tak brudnego człowieka?

Joseph poczuł się nieco urażony. Wprawdzie minęło już kilka tygodni od chwili, gdy przycinał sobie brodę i włosy, a zaledwie kilka dni od ostatniego mycia. Pomyślał, że wygląda dość przyzwoicie – oczywiście jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Mimo to żołnierze, a przynajmniej ten, który przemówił ostatni, najwyraźniej postrzegali go inaczej. Ostatni marsz przez las musiał nadać mu bardzo niechlujny wygląd.

Milczał. To wydawało się najrozsądniejsze. A oni nie próbowali go wypytywać. Może na ich poziomie uprawnień nie mogli przesłuchiwać więźniów. Zamiast tego zapakowali go bezceremonialnie do jednego z pojazdów zaparkowanych przy drodze i ruszyli na południe.

Po dziesięciu minutach zobaczył spory obóz: ogrodzenie z drutu kolczastego otaczające dziesiątki ruder-chatek, zbudowanych naprędce, a wśród nich uwijające się tłumy żołnierzy w mundurach buntowników. Przy bramie pięciu wartowników przekazało Josepha, wymrukując jakieś wyjaśnienia, których nie słyszał, dwóm oficerom, najwyraźniej starszym stopniem, a ci nakazali Josephowi, by szedł za nimi.

W milczeniu wykonał polecenie. Wszelki opór, czy nawet niechęć współpracy mogły okazać się bardzo nierozsądne. Poprowadzili go wewnętrzną aleją między rzędami chat i wprowadzili do większego budynku, do którego przylegał ogrodzony plac o znacznych rozmiarach: zapewne spacerniak dla więźniów. Nie mówiąc ani słowa wskazali mu drogę.

Była to pozbawiona okien budowla, rodzaj pomieszczenia sypialnego; w środku panował półmrok, paliło się tylko kilka słabych lamp. Powietrze w środku było duszne i stęchłe. Pod ścianami ustawiono proste prycze na żelaznych ramach. Większość z nich była wolna, tylko na jakichś sześciu siedzieli mężczyźni, wszyscy z Ludu. Przysiedli na brzegach prycz i gapili się w przestrzeń przed sobą. Joseph nie dostrzegł nikogo, kto mógłby być Panem. Drzwi po prawej prowadziły do ogrodzonego spacerniaka.

– Ta będzie twoja – oświadczył jeden ze strażników, wskazując na pustą prycę. Bez słów wyciągnął rękę po sakwę Josepha i ten oddał ją bez sprzeciwu, choć gorzko żałował utraty swojego zestawu podręcznego i wszystkiego innego, co towarzyszyło mu przez długie miesiące wędrówki. Miał tak niewiele, że wszystko mieściło się w jednej sakwie, a teraz i to mu odebrano.

Oficer powąchał sakwę i skrzywił się: resztki zawiniętego w liście mięsa zaczynały się psuć.

– Zaraz przyjdą z tobą porozmawiać – oświadczył strażnik, po czym obaj odwrócili się i wyszli zabierając sakwę ze sobą.

Żaden z tych siedzących na pryczach ludzi o krępych ramionach nawet na niego nie spojrzał. Nie byli nim bardziej zainteresowani niż same prycze. Joseph zastanawiał się, od jak dawna tkwią w tym odosobnieniu i co się z nimi działo podczas tego pobytu.

Po chwili zdecydował się wyjść na dziedziniec. Było to wielkie, jałowe, puste miejsce, gdzie nie było nic poza pylistym, spieczonym przez słońce gruntem, ani jednego źdźbła trawy. Po drugiej stronie Joseph dostrzegł zbudowaną z czerwonej cegły umywalnię i latryny. Na dziedzińcu było kilku mężczyzn, każdy z nich wolał się izolować i trzymał się z dala od pozostałych, bez ruchu, patrząc w przestrzeń, jakby był nieświadomy, że jest tam ktokolwiek poza nim. Wszyscy stali w pozycjach, które nadawały im dziwny, niechlujny wygląd ludzi przegranych, podobnie jak w przypadku mężczyzn w środku. Joseph ze zdumieniem zauważył tam również trzech Tubylców: milcząca grupa siedząca skulona w rogu. Zastanawiał się, jak to się stało, że w tę niezrozumiałą wojnę domową wmieszali się Tubylcy. Nic z tego nie rozumiał. Obliczył jednak, że wędruje już od ponad roku: od środka lata w Górnej Manzie do późnego lata, czy nawet wczesnej jesieni tu, gdzie był teraz. W tym czasie

musiało się sporo wydarzyć, a nikt chyba nie zamierzał mu tego wyjaśniać.

Ale próba dowiedzenia się czegoś nie zaszkodzi. Podszedł do najbliższego mężczyzny, który nie zwrócił na zbliżającego się Josepha większej uwagi, niż uczyniłby to ślepiec, i odezwał się cicho:

– Przepraszam...

Mężczyzna spojrział na Josepha tylko przez ułamek sekundy, ale było to spojrzenie pełne wściekłości, intensywne. Potem odwrócił się.

– Przepraszam – bąknął Joseph. Nie wydało mu się dziwne, że przeprasza człowieka z Ludu. – Jestem tu nowy. Chciałem tylko spytać o parę rzeczy...

Mężczyzna potrząsnął głową. Wyglądał na równocześnie przestraszonego i rozżłoszczonego. Odszedł.

Tak samo zareagowało dwóch innych mężczyzn, do których podszedł. Gdy szedł w stronę trójki Tubylców, oddalili się w taki sposób, jak te małe stworzenia w polu. Wtedy zrezygnował. Tego się tu nie robi, pomyślał Joseph, po prostu nie rozmawia się z innymi więźniami. Może rozmowa jest zakazana; może tylko ryzykowna. Nigdy nie wiadomo, kto okaże się szpiegiem. I znów zaczął się zastanawiać: czym szpiegiem? Dla kogo tu można szpiegować?

Minęło południe. Wczesnym popołudniem wkroczyło trzech dyżurnych niosąc jedzenie dla więźniów, w wielkich metalowych wiadrach, które wnieśli zawieszony na dwóch kijach: zimny papkowaty kleik, jakieś nierozpoznawalne duszone mięso, które miało smak starej tektury i chropowaty, kwaśny chleb, który składał się głównie ze skórki. Więźniowie ustawili się w kolejce i wydano im niewielkie porcje na cynowych talerzach. Joseph był głodny, ale odkrył, że jedzenie idzie mu z trudem. Wmusił je w siebie.

Godziny mijały. Słońce świeciło mocno, a powietrze było wilgotne. Uzbrojone straże maszerowały po drugiej stronie drucianego ogrodzenia. Na spacerunku nikt nie odezwał się ani słowem. O zachodzie słońca jeden ze strażników zagwizdał i wszyscy znajdujący się na dziedzińcu weszli do środka powłócząc nogami i podeszli każdy do swojej pryczy. Joseph zapomniał, która należała do niego, więc wybrał losowo jedną z niezajętych, mając nadzieję, że ktoś się sprzeciwi, jeśli wybór będzie błędny, co pozwoli mu przynajmniej usłyszeć dźwięk ludzkiego głosu, ale nikt się nawet nie odezwał. Ułożył się na niej, po czym, uznając, że leżenie na cienkim, twardym materacu jest niewygodne, przysiadł na brzegu pryczy jak pozostali. Gdy się ściemniło, dyżurni wrócili z kolejnym posiłkiem, który składał się z tych samych potraw co wcześniejszy, tylko w mniejszych porcjach. Joseph nie mógł się zmusić do jedzenia. Ledwo udało mu się zasnąć.

Drugi dzień wyglądał prawie tak samo jak pierwszy. Jedzenie było, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze gorsze i było go jeszcze mniej. Cisza na dziedzińcu była tak intensywna, że Josephowi zaczęło dzwonić w uszach. Godzina po godzinie przechadzał się wzdłuż ogrodzenia, mierząc rozmiary dziedzińca krokami. Wyobraził sobie, że spędza tu kolejne



trzydzieści albo pięćdziesiąt lat, nic nie robiąc. Oczywiście nie byłby w stanie przeżyć pięćdziesięciu lat na jedzeniu, jakie podawano tu więźniom.

Ciekawe, czy zagłodzę się na śmierć, rozmyślał Joseph, zanim zwariuję, czy na odwrót?

Myślenie o podejmowaniu próby ucieczki wydawało się pozbawione sensu. A domaganie się poszanowania swoich praw Pana było jeszcze gorsze – jako Pan nie miał żadnych praw, na pewno nie tutaj. Było dość prawdopodobne, że zabiją go od razu, gdy tylko dowiedzą się, kim naprawdę jest. Niech lepiej myślą, że jestem wariatem włóczęgą, niż potomkiem jednego z Wielkich Rodów Helikis. Ale dlaczego go tu zamknęli? Jaki sens miało łapanie stukniętych włóczęgów? Może mieli zwyczaj izolowania więźniów bez specjalnego celu, tylko po to, żeby nie przeszkadzali w działaniach wojennych, jakie mogły być prowadzone w tej części kontynentu? Czemu nas po prostu nie zastrzelą, zastanawiał się. Może tak zrobią; może po prostu czekają na rozkaz z innego obozu. Josephowi przyszło do głowy, że bycie zastrzelonym może być lepsze niż siedzenie tu nie wiadomo jak długo.

Trzeciego ranka strażnik wkroczył do karceru i dał mu do zrozumienia, żeby poszedł za nim – w zwykły tutaj sposób używany do komunikacji z więźniami, bez słów.

Strażnik pomaszerował następnie do środka obozu, skręcił w lewo między jakimiś budynkami wyglądającymi, jakby mieściło się w nich coś ważnego, gdyż pilnowali ich strażnicy; wyglądały też na bardziej solidne od innych, które Joseph dotąd widział, i zaprowadził go do małego budynku na końcu szeregu.

Za biurkiem, na którym rozłożono zawartość należącej do Josepha sakwy: zestaw podręczny, książki, butelka i cała reszta, siedział wywodzący się z Ludu oficer, wokół którego unosiła się atmosfera powagi i władzy. Ramiona miał bardzo szerokie nawet jak na człowieka z Ludu; z powodu upału rozpiął koszulę aż do pasa, ukazując gęste, kręcone rudozłote włosy na piersi. Włosy na głowie oficera miały tę samą barwę i były równie kręcone, ale występowały tylko z boku i z tyłu; środek głowy zajmowała wielka, lśniąca łysina.

– Tak – rzekł, przenosząc wzrok z Josepha na kolekcję przedmiotów porozkładanych na biurku. – Te rzeczy są bardzo ciekawe. Skąd je masz?

– Dostałem – odparł Joseph.

– Od kogo?

– Od różnych ludzi. Nie pamiętam. Podróżuję od dawna.

– Skąd?

– Z północy – Joseph zawahał się na chwilę, po czym dodał: – Z Górnej Manzy.

Oficer obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– A dokładnie skąd?

– Z miejsca zwanego Dom Getfen. – Joseph miał zamiar niekłamania, jeśli nie było to absolutnie konieczne, a zarazem ujawniania jak najmniej.

– Pochodzisz z Domu Getfen?

– Byłem tam przez jakiś czas. Nie należę do Domu Getfen.

– Rozumiem.

Oficer bawił się przedmiotami na biurku, z roztargnieniem biorąc do ręki latarkę Josepha, jego nóż, czytnik. Joseph patrzył z odrazą na to, że ktoś obcy dotyka jego ulubionych rzeczy.

– Jak cię zwa? – spytał po chwili oficer.

– Joseph – odparł Joseph. Nie dodał tytułu ani nazwiska. Nie próbował też udawać Waerny z Domu Ludbrek, gdyż nie było to specjalnie skuteczne w Przystani Eysara i wołał użyć swego prawdziwego imienia zamiast znów coś wymyślać. Pomyślał, że wcale nie muszą uznać tego za imię Panów, skoro nie dodał do niego „Pan” i „Keilloran”.

Imię wydało się jednak oficerowi dziwne, i nie było to dla Josepha zaskoczeniem. Powtórzył je kilka razy, marszcząc brwi i zauważył, że nigdy takiego imienia nie spotkał. Joseph wzruszył ramionami i nie powiedział nic. Oficer znów podniósł wzrok i zapytał:

– Czy brałeś udział w walkach, Josephie?

– Nie.

– Nie? W ogóle?

– Nie biorę udziału w wojnie. Oficer zaśmiał się.

– Jak możesz mówić coś takiego! Wszyscy biorą udział w wojnie. Wszyscy! Ty, ja, Tubylcy, poryfary, wszyscy. Zwierzęta na polach biorą udział w wojnie. Przed wojną nie można się ukryć. Naprawdę nie walczyłeś?

– Nie. Wcale.

– To gdzie w takim razie byłeś?

– Głównie w lesie.

– Tak, widzę. Jest w tobie coś dzikiego. I dziko pachniesz.

Oficer znów zaczął się bawić przedmiotami z sakwy. Dotykał ich końcami palców, prawie z uczuciem, po czym uśmiechnął się.

– To są rzeczy Panów, przynajmniej niektóre. Wiesz o tym, prawda, Josephie?

Joseph milczał. Wtedy oficer przeszedł nagle z mowy Ludu na język Panów i rzekł ze srogością w głosie:

– Jesteś szpiegiem, prawda, Josephie? Przyznaj się. Przyznaj!

– Nieprawda – odparł Joseph w języku Ludu. Przyznanie się do tego, że rozumie ten język, nie mogło mu zaszkodzić – cały Lud rozumiał język Panów – ale nie chciał mówić tym językiem. – To nie jest prawda!

– To kim ty jesteś, jak nie szpiegiem?

– To nieprawda – odparł Joseph spokojniej. – Nie jestem żadnym szpiegiem. Już powiedziałem, że nie brałem udziału w wojnie. Nic nie wiem o tym, co się dzieje. Byłem w lesie.

– Czyli zwykły podróżnik.

– Tak, podróżnik. Dom Getfen został zaatakowany, kiedy tam byłem, więc uciekłem do lasu. Nie mam pojęcia, co się w tym czasie działo na świecie.

– Nie walczyłeś i nie jesteś szpiegiem – rzekł oficer kpiąco. Pobębnił po biurku palcami jednej ręki, po czym wstał i obszedł biurko tam, gdzie siedział Joseph. Był zdumiewająco wysoki jak na człowieka z Ludu, zaledwie o parę cali niższy od Josepha, a szerokie ramiona sprawiały, że wyglądał na bardzo silnego, wręcz onieśmielającego. Gapił się na Josepha przez dłuższą chwilę. Potem niedbałym gestem położył prawą rękę na ramieniu Josepha i silnym pchnięciem zmusił go, by ukląkł. Joseph poddał się bez oporu, choć wszystko się w nim gotowało. I tak wątpił, czy byłby w stanie się oprzeć takiej sile. Oficer złapał go lekko za ucho.

– Powiedz mi wreszcie, dla kogo szpiegowałeś.

– Dla nikogo – odparł Joseph.

Oficer ścisnął mocniej, po czym zmusił Josepha do pochylenia się tak daleko do przodu, że jego nos prawie dotknął podłogi.

– Mam dziś jeszcze tyle roboty – oświadczył oficer – a ty marnujesz mój czas. Powiedz mi, dla kogo pracujesz, to przejdziemy do następnych pytań.

– Nie mogę powiedzieć, bo dla nikogo nie pracuję.

– Nie pracujesz dla zdrajców, którzy przychodzą w nocy i atakują obozy patriotów, którzy chcą przywrócić stary porządek, z którym tak długo walczyliśmy?

– Nic o tym nie wiem.

– Oczywiście. Niewinny podróżny w lesie.

– Nie chciałem brać udziału w wojnie. Kiedy spalili Dom Getfen, uciekłem. Odtąd cały czas uciekam.

– Aha – oficer wydał z siebie odgłos pomiędzy rozzłoszczeniem a niesmakiem. – Marnujesz mój czas.

Wykręcił Josephowi ucho. Ból był straszny. Joseph przygryzł wargę, ale nie krzyknął.

– Dalej, możesz je urwać, jak masz ochotę – rzekł. – Ale nic nie powiem, bo nie mam nic do powiedzenia.

– Aha – powtórzył oficer jeszcze raz i puścił ucho Josepha, jednym ostrym pchnięciem, które sprawiło, że Joseph upadł na twarz. Cekał – na kopnięcie? Cios? Nic takiego się nie wydarzyło. Mężczyzna cofnął się i kazał Josephowi wstać, co ten uczynił, nieco niepewnie. Cały drżał. Oficer patrzył na niego, marszcząc brwi i poruszał ustami, jakby wymyślał następne pytania, straszne, na myśl o których Joseph drżał i czekał, aż go zapyta, co robił w Domu Getfen, albo do jakiego klanu Ludu należy, albo przez jakie miasta i wioski przechodził po drodze z Górnej Manzy tutaj. Joseph nie ośmieliłby się odpowiedzieć na pierwsze, nie znał odpowiedzi na drugie i nie chciał odpowiadać na trzecie, bo cokolwiek, co zdradziłby na temat Przystani Eysara albo wioski Tubylców, mogłoby doprowadzić do zdemaskowania go jako Pana. Oczywiście, ten człowiek mógł go zapytać bezpośrednio, czy jest Panem, bo wyglądał mniej więcej jak każdy inny człowiek z Ludu. Nie zadał jednak tego pytania; nie pytał o nic oczywistego. Zapewne pytania, które były oczywiste dla Josepha, nie

były takimi dla oficera.

– Cóż, nie będziemy cię tu torturować – rzekł w końcu. – Nie chcesz mówić, możemy poczekać, aż zachcesz. Potrzymamy cię, aż będziesz błagał, żebyśmy cię o coś zapytali, a potem powiesz nam wszystko. A teraz idź i gnij dalej – po czym zwrócił się do strażnika: – Zabrać go z powrotem do karceru.

Joseph nie zadał sobie trudu liczenia dni. Minał może tydzień, może dwa. Przez jakiś czas miał gorączkę i dreszcze, czasem nie wiedział, gdzie się znajduje. Potem gorączka przeszła, ale nadal czuł się chory i słaby. Siły, jakie odzyskał w Przystani Eysara, znów zaczęły go opuszczać – jedzenie w tym nieszczęsnym obozie więziennym było naprawdę podłe. Stracił trochę na wadze, której nabrał przez kilka ostatnich tygodni. Wróciły znajome objawy: zawroty głowy, zaburzenia widzenia, dezorientacja. Pewnego popołudnia przyłapał się na zupełnie poważnym roztrząsaniu pewnej kwestii: myślał, że głodząc się dalej pozbawi się masy i będzie mógł odlecieć – w niebo i do domu. Wtedy przypomniał sobie, że już miał takie przywidzenia podczas tej wędrówki i zaczął przekonywać sam siebie, że nic takiego nie jest możliwe – w przeciwnym razie próbowałby to zrobić już dawno temu. A kiedy poczuł się trochę lepiej, był zły na siebie, że pozwolił sobie na tak idiotyczne spekulacje.

Czasami, kiedy czuł się lepiej, próbował rozmawiać z innymi pozostającymi w odosobnieniu i pytać ich, kim są, kto ich schwytał, co się dzieje na wojnie. Za każdym razem odwracali się od niego z niechęcią, jakby złożył im obsceniczną propozycję. W karcerze nikt z nikim nie rozmawiał. Próbował mówić trzem Tubylcom, że jest przyjacielem Ardardina i pracował jako doktor wśród ludzi gór, ale oni też go zignorowali, a pewnego dnia zabrano ich i już nigdy nie wrócili.

Umrę tutaj, pomyślał.

Co za absurdalny koniec podróży. To nie ma sensu. Ale co mogę zrobić? Zeznać, że jestem szpiegiem? Nie jestem żadnym szpiegiem. Nie mogę im przekazać żadnych informacji o moim szpiegowaniu, nawet gdybym chciał.

Załóżmy, że im powiem: jestem Panem. Wtedy mnie wyprowadzą i zastrzelą, i tak się to skończy. Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Pewnego ranka przyszedł strażnik, pewnie ten sam, który przybył po niego poprzednim razem i wykonał taki sam przyzywający gest, po czym poprowadził go wzdłuż budynków o przyzwoitym wyglądzie do biura krzepkiego mężczyzny o rudozłotych włosach, który wtedy go przesłuchiwał. Tym razem biurko było puste. Joseph zaczął się zastanawiać, co się stało z jego rzeczami. Pewnie nie miało to żadnego znaczenia, bo tym razem pytania będą zgubne, a Joseph zginie.

– Czy nazywasz się Joseph Pan Kilran? – odezwał się oficer.

Joseph gapił się na niego. Nie był w stanie powiedzieć ani słowa.

– Czyż nie? Możesz potwierdzić. Wiemy, że jesteś Joseph Pan Kilran.

Joseph potrząsnął głową zdezorientowany, nie dlatego, że chciał zaprzeczyć czemuś, co

było prawdą, czy też – prawie prawdą, ale dlatego, że po prostu nie wiedział jak zareagować.

– Tak się nazywasz. Po co to ukrywasz?

– Zamierzacie mnie teraz zastrzelić?

– Dlaczego mielibyśmy cię zastrzelić? Odpowiedz na pytanie. Jesteś Joseph Pan Kilran? Tak czy nie?

Łatwo byłoby odpowiedzieć „nie” z kamienną twarzą – niewątpliwie nie nazywał się Joseph Pan Kilran. Nie ulegało jednak wątpliwości, że byli na tropie jego prawdziwej tożsamości, więc Joseph nie dostrzegając żadnych korzyści z prowadzenia takiej gry.

Zastanawiał się, jakim sposobem się dowiedzieli. Czy rozesłano opisy wszystkich Panów, którym udało się uniknąć strasznego losu, gdy niszczone Wielkie Domy Manzy? Trudno było w to uwierzyć. Wtedy jednak zrozumiał. Kluczem okazało się słowo „Kilran”. Thayle nigdy nie nauczyła się poprawnie wymawiać jego nazwiska. Ten człowiek musiał poznać, że Joseph jest Panem. Pewnie w ciągu ostatnich kilku dni rozesłali posłańców do okolicznych miasteczek, także Przystani Eysara, rozpytując, czy jakiś zbiegły Pan przebywał ostatnio w tej okolicy. W taki sposób poznali jego nazwisko, czy raczej coś zbliżonego do jego nazwiska: od Thayle. Co za zasmucająca myśl. Thayle nigdy by go nie zdradziła, ale łatwo mógł sobie wyobrazić, że Grovin zdradził ją, albo że wójt Stappin wymusił na niej zeznania, także przemocą.

Tak czy inaczej – to był koniec.

– Keilloran – odparł Joseph.

– Co?

– Keilloran. Moje nazwisko. To nie „Kilran”. Jestem Joseph Pan Keilloran, z Domu Keilloran na Helikis.

Oficer podał Josephowi tabliczkę.

– Napisz to.

Joseph napisał. Oficer patrzył przez długą chwilę na słowa na tabliczce, wymawiając je bezgłośnie, samymi ruchami warg.

– Gdzie jest Dom Keilloran? – spytał wreszcie.

– W środku południowej części Helikis.

– A co Pan z południowej części Helikis robił w Górnej Manzie?

– Byłem gościem w Domu Getfen. Getfenowie są moimi dalekimi krewnymi. Byli.

– A po zniszczeniu Domu Getfen: co robiłeś, gdzie poszedłeś?

Joseph opowiedział mu krótko o ucieczce do lasu, pomocy, jakiej udzielił mu noktambulo, odgrywaniu roli uzdrowiciela wśród Tubylców. Nie obchodziło go, czy oficer w to wierzy, czy też nie. Opowiedział o swojej ucieczce przez góry, wędrowce po nizinach i głodowaniu, o tym, jak uratowali go mieszkańcy przyjaznego miasta kajlingów. Nie wymienił miasta i oficer nie pytał go o nazwę.

– Wtedy ich zostawiłem i ruszyłem na południe, mając nadzieję, że odnajdę drogę do

Helikis i zostałem schwytyany przez waszych ludzi – zakończył. – I to cała historia.

Szarpiąc obsesyjnie swoje loki nad czołem oficer słuchał, nie wykazując zainteresowania tym, co Joseph ma do powiedzenia, wciąż marszcząc brwi. Notował przez cały czas. Gdy Joseph zamilkł, uniósł wzrok i oświadczył:

– Mówisz, że jesteś gościem z dalekiego kraju, który przez przypadek znalazł się w Manzie, gdy wybuchło powstanie Ruchu Oswobodzenia. – Joseph prawie usłyszał wielkie litery w ostatnim zwrocie. – Dlaczego miałbym ci uwierzyć? A jeśli należysz do jednego z Wielkich Rodów Manzy, szpiegujesz dla swoich i okłamałeś mnie co do swojego miejsca pochodzenia? Przecież szpiedzy zawsze kłamią.

– Jeśli pochodzę z któregoś z Wielkich Rodów Manzy, to powiedz, z którego – rzekł Joseph. Nie zastanawiając się, zaczął mówić w języku Panów. – Jeśli jestem szpiegiem, co takiego mogłem szpiegować? Co takiego zobaczyłem, poza kilkoma wioskami Tubylców i jednym miastem wolnego Ludu, który nigdy nie miał nic wspólnego z Ruchem Oswobodzenia? Gdzie są dowody na moją szpiegowską działalność? – Joseph wskazał na biurko, gdzie kiedyś leżały jego rzeczy. – Skonfiskowaliście moją sakwę i pewnie ją dokładnie przejrzeście. Znaleźliście jakieś notatki szpiegowskie? Zapisy ruchów wojsk, tajne plany strategiczne? Pewnie znaleźliście moje podręczniki. I parę rzeczy, które napisałem o przekonaniach filozoficznych Tubylców. Nic podejrzanego tam nie było, prawda? Prawda?

Oficer patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Joseph uświadomił sobie, że chwieje się na nogach i zaraz upadnie. Był tak osłabiony, że taki atak stanowił dla niego znaczny wysiłek. W ostatniej chwili złapał się biurka oficera i mocno chwycił, ze zwieszoną głową, cały drżący.

– Jesteś chory? – spytał oficer.

– Pewnie tak. Od nie wiem jak długo żyję tym więziennym jedzeniem. Przedtem żywiłem się tym, co znalazłem w puszczy. To cud, że jeszcze mogę ustać na nogach. – Joseph zmusił się, by unieść wzrok. Ich oczy spotkały się. – Udowodnijcie mi, że jestem szpiegiem. Powiedzcie, z którego Wielkiego Rodu Manzy pochodzę. A potem możecie mnie zabrać i zastrzelić. Ale najpierw pokażcie dowody.

Oficer nie śpieszył się z odpowiedzią. Szarpał się za włosy, przygryzł dolną wargę. Wreszcie rzekł:

– Będę musiał to omówić z moimi przełożonymi – po czym zwrócił się do strażnika, który przyprowadził Josepha – Odprowadzić do karceru.

Wkrótce po południu, zanim Joseph miał ponownie okazję skosztować nieapetycznej breji, którą podano więźniom na południowy posiłek, znów zaprowadzono go do biura kwatery głównej. Było tam jeszcze dwóch innych oficerów w mundurach, z wyglądu sądząc – starszych rangą.

Jeden z nich, o wyglądzie twardziela, z paskudną blizną, długą i zagojoną, ale nadal wyraźną, biegnącą od wystającej kości policzkowej do kącika ust, podsunął Josephowi kartkę

papieru i rzekł w języku Panów:

– Narysuj mi mapę Helikis. Zaznacz miejsce, z którego jesteś.

Joseph wykonał szkic kontynentu i narysował krzyżyk w miejscu w połowie zaznaczając położenie Domu Keilloran.

– Jak nazywa się twój ojciec?

– Martin Pan Keilloran.

– A jego ojciec?

– Eirik Pan Keilloran.

– Imię twojej matki?

– Wireille. Już nie żyje.

Oficer z blizną rzucił spojrzenie pozostałej dwójce. Coś wydarzyło się między nimi, jakiś znak, sygnał bez słów, którego Joseph nie mógł zinterpretować. Oficer, który przesłuchiwał go dwa razy, skinął głową. Wtedy trzeci z nich, najstarszy, zwrócił się do Josepha i rzekł:

– Wolny Lud Manzy nie szuka swarów z Panami Helikis i nie jest zainteresowany wszczynaniem konfliktu. Kiedy tylko będzie to możliwe, zostaniesz przetransportowany do granicy, Josephie Panie Keilloran, i przekazany swoim ludziom.

Joseph patrzył. Wreszcie wyrzucił z siebie:

– Mówicie serio?

Dostrzegł błysk gniewu w oku oficera z blizną. Brzydka blizna zaczerwieniła się.

– Ruch Oswobodzenia nie ma czasu na żarty – te słowa padły w języku Ludu.

– Proszę więc o wybaczenie – rzekł Joseph w tym samym języku. – Dużo przeszedłem przez ostatni rok, niewiele dobra mnie spotkało. I sądziłem, że skażecie mnie na śmierć.

– Być może powinniśmy tak zrobić – rzekł mężczyzna z blizną. – Ale nie zrobimy. Jak powiedziałem: zostaniesz przewieziony do granicy.

Joseph nadal nie mógł w to uwierzyć. To jakieś większe oszustwo, pomyślał, spisek, który ma go zmiękczyć, żeby mogli go podejść od najmniej spodziewanej strony i wyciągnąć z niego prawdę o jego działalności szpiegowskiej. Jeśli tak było w istocie, robili to w bardzo dziwny sposób. Przeniesiono go z karceru do koszar po drugiej stronie obozu, gdzie miał mały pokój dla siebie – choć nadal trzymano go pod strażą. Oddano mu sakwę z całą zawartością. Zaczęto też dostarczać posiłki znacznie różniące się od tego, co serwowano więźniom – może nie były to delicje, ale przyzwoite i pożywne. Jakość jedzenia skłoniła Josepha do wyciągnięcia wniosku, że to wcale nie jest sztuczka. Pewnie nie chcieli go odsyłać na Helikis w obecnej kondycji. Najpierw go trochę podtuczają, żeby pokazać Panom z Helikis, że wolny Lud Manzy to humanitarni i troskliwi ludzie. Może nawet przyślą obozowego golibrodę, żeby obciął mu włosy i przystrzygł brodę, i dadzą jakieś ubranie odpowiednie dla młodego Pana. Josepha wręcz kusilo, żeby coś takiego zasugerować, w niezbyt poważnej formie, młodemu, sympatycznemu strażnikowi, który najwyraźniej go polubił. Wiedział jednak, że takie drażnienie się z tymi, którzy go pojмали, nie było najlepszym pomysłem.

Taka zarozumiałość mogłaby ich wcale nie rozbawić.

Fakt określania buntu jako Oswobodzenia był dla Josepha cenną wskazówką na temat ich rzeczywistej opinii na jego temat. Nienawidzili Panów; postrzegali ich jako rasę wrogów. To, co mu zaproponowali, było nie tyle pomocą w dotarciu do domu, co pozbyciem się go. Nie interesował ich ten zabłąkany Pan z innego kontynentu. Gdyby go schwytali jakieś sześć czy osiem miesięcy temu, zastrzeliliby go, zanim by się zorientował gdzie jest. Tylko jakiś splot okoliczności politycznych pozwolił mu żyć – jakaś równowaga sił między wolnym Ludem a Panami, którzy muszą nadal rządzić na Helikis. Nawet teraz Joseph nie był wszakże całkiem przekonany o szczerości intencji człowieka z blizną. Nie miał zamiaru poddawać ich próbie wchodząc w bliższe układy z tymi, którzy go pilnowali.

Tak minęły cztery dni. Przez ten czas widywał tylko swoich nadzorców.

Piątego dnia rano powiedziano mu, że ma się szykować do drogi, a półtorej godziny później weszło dwóch żołnierzy, niesympatycznych i bezceremonialnych; odprowadzili go do podstawionego samochodu, którym kierował trzeci w mundurze Ruchu Oswobodzenia. Strażnicy usiedli obok niego. Tym razem nie jechał trzęsącym się wozem, ani drewnianym wózkiem czy rolniczą ciężarówką. Pojazd był elegancki i wygodny, jak dla Pana – pewnie takie było jego pierwotne przeznaczenie.

Droga wiła się na zachód, potem skręciła na południe. Joseph nie mógł wyzbyć się nawyku określania kierunku na podstawie pozycji słońca. Żaden z jego strażników nie odezwał się, ani do niego, ani do siebie nawzajem. Po kilku godzinach zatrzymali się na posiłek w zwykłej przydrożnej gospodzie: koniec świata puszczy, wjeżdżał znów do krainy, którą świetnie znał, krainy zasobnych farm, pól czekających na żniwa, pojazdów rolniczych poruszających się po drogach – wszystko wyglądało z grubsza tak, jak powinno, ale bez obecności Panów. Milczący strażnicy obserwowali go uważnie, gdy jadł; kiedy chciał udać się do toalety, jeden poszedł z nim. Joseph rozumiał, że otrzymali rozkaz, by uniemożliwić mu ucieczkę, gdyby przyszło mu to do głowy, i pewnie po prostu by go zastrzelili, gdyby próbował. Tak jak on do końca nie wierzył, że wkrótce będzie wolny, tak i oni nie wierzyli, że nie jest szpiegiem.

Po kolejnej godzinie jazdy dotarli do małego lotniska – musiało być ważnym lotniskiem komercyjnym przed rewolucją, ale teraz wyglądało na zapuszczone. Na pasie startowym czekał jeden samolot; znaki na nim zamalowano niewyraźnym emblematem Ruchu Oswobodzenia. Ten widok przypomniał Josephowi, że gdzieś tam jest nowoczesna cywilizacja, świat, w którym kiedyś żył, i do którego teraz ma wrócić. Zastanawiał się, czy przyzwyczajenie się do tego od nowa przyjdzie mu łatwo. Jego strażnicy zaprowadzili go na pokład, wskazali mu fotel z przodu kabiny, skąd nie widział innych pasażerów.

Joseph zastanawiał się, czy rzeczywiście będzie to lot na Helikis. Czy to możliwe? Czy wszyscy na Ojczyźnie zaakceptowali już nowy porządek w oswobodzonej Manzie na tyle, że wznowiono połączenia lotnicze między kontynentami?



Wkrótce poznał odpowiedź. Samolot wystartował, szybko osiągnął wysokość przelotową i poleciał na południe. Siedząc pośrodku rzędu trzech siedzeń Joseph pochylił się do przodu i usiłował wyrzeć przez okno, mają nadzieję, że zobaczy przewężenie łądu, które powie mu, że zbliżają się do morza oddzielającego oba kontynenty. Nie zobaczył jednak linii brzegowej, ale rozległą płaszczyznę, w większości podzieloną na pola uprawne, sięgającą ze wszystkich stron po horyzont. Byli nadal nad Manzą. Samolot zaczął podchodzić do lądowania. Lot trwał jakieś dwie i pół godziny, najwyżej trzy. Pokonali więc stosunkowo krótki dystans jak na podróże lotnicze, choć Joseph wiedział, że na pokonanie go na piechotę pewnie nie starczyłoby mu życia, mimo że pierwotnie miał taki zamiar. I nadal był daleko od domu.

– Gdzie lądujemy? – spytał Joseph jednego ze strażników.

– Eivoya – odparł. Ta nazwa nic Josephowi nie mówiła. – Tam jest granica.

Prośenie o bardziej szczegółowe objaśnienia nie wydawało się warte zachodu. Samolot wylądował gładko. Na końcu pasa startowego czekał następny samochód. Znow strażnicy usiedli po obu jego stronach. Tym razem jazda zajęła im około godziny; robiło się późno, a Joseph był coraz bardziej zmęczony, zmęczony całodzienną podróżą, zmęczony siedzeniem między tymi dwoma niekomunikatywnymi ludźmi, zmęczony tym wszystkim, co się z nim działo. Uświadomił sobie, że tak blisko domu nie był od roku, a tego dnia pokonał większą odległość dzielącą go od celu niż cała droga jaką zdołał przejść od nocy, gdy spłonął Dom Getfen. Nie widział jednak powodu do świętowania. Nadal nie wiedział, jakie przeszkody mogą czekać go na drodze do Domu Keilloran. Może nigdy tam nie dotrze. Był śmiertelnie zmęczony. Tak czuje się człowiek, gdy jest stary, pomyślał. Przestaje się przejmować nawet rzeczami, o które walczył. Przez te kilka miesięcy postarzał się o siedemdziesiąt lat.

Samochód zatrzymał się w miejscu, które wyglądało jak nieuprawiane pole. Wokół nie było widać niczego, żadnych gospodarstw, żadnych budynków. Zobaczył tylko kilka drzew w oddali. Na niebie płynęły szare chmury.

– Tu wysiadasz – odezwał się strażnik z lewej. Otworzył drzwi, wysiadł, czekał.

– Tu? – upewnił się Joseph.

Strażnik skinął głową. Zmarszczył brwi i wykonał niecierpliwy gest.

To nie miało sensu. Tu, na tym pustkowiu? Zapomniane pole chwastów wyglądało na znakomite miejsce na egzekucję więźnia, ale po co w takim razie wieźli go aż tak daleko, najpierw samochodem, potem samolotem i wreszcie znow samochodem? O wiele łatwiej byłoby strzelić mu w plecy w obozie. Nie wywołałoby to żadnego zamieszania. Dziesiątki tysięcy Panów w Manzie już zginęło; śmierć jeszcze jednego, zagubionego gościa z Helikis nie miała znaczenia w ogólnym bilansie.

– Wychodź – rzekł strażnik. – Marnujemy czas.

Bardzo dobrze, pomyślał Joseph. Co tylko zechcą. Był zbyt zmęczony, by się wyklócać, a błaganie o życie na pewno do niczego dobrego nie prowadzi. Żołnierz wskazał w kierunku pola.

– Tam jest znak graniczny, przed tobą. Teraz biegnij. W tym kierunku, który pokazuję. Najszybciej jak możesz. Ostrzegam – w żadnym innym kierunku. Biegnij! Już!

Joseph zaczął biec.

Strzelą mi w plecy nim przebiegnę dwadzieścia kroków, pomyślał. Pocisk przejdzie przez moją sakwę, wejdzie w moje ciało, potem przebije płuca i serce, a ja upadnę na twarz pośrodku pola, i to będzie koniec.

– Biegnij! – krzyczał żołnierz. – Biegnij!

Joseph nie oglądał się; nie chciał się przekonać, czy w niego nie celują, choć był pewien, że tak jest. Biegł, biegł szybko, z całą determinacją, na jaką mógł się zdobyć, ale nie był to łatwy bieg. Grunt był nierówny, a te parę dni przyzwoitych posiłków nie przywróciło mu do końca sił. Biegł z otwartymi ustami, ciężko łapiąc powietrze. Serce biło mu za szybko i buntowało się. Parę razy niemal się przewrócił, potykając się na sznurowatej łądźce jakiejś zdradliwej rośliny, zachwiał się, zakołysał, z trudem utrzymał się na nogach. Przypomniawsobie, jak chwiał się, potykał i odyskiwał równowagę w lesie koło Getfen i jak zranił się w nogę. Nie chciał, żeby coś takiego przytrafiło mu się ponownie, choć dziwne były te obawy przed zranieniem się w nogę w obliczu faktu, że dwóch mężczyzn może właśnie celować mu w plecy.

Strzał, którego się cały czas spodziewał, jednak nie padł. Po chwili wspiął się na niewielkie wzniesienie, a po jego drugiej stronie zobaczył palisadę z solidnych pni wbitych ciasno w ziemię i zrozumiał, że oto dotarł do punktu, który dzielił te dwa światy, granicy między terytoriami Ruchu Oswobodzenia a lądem pozostającym pod kontrolą jego ludzi.

W palisadzie była furtka, a nad nią posterunek straży. Spojrzało na niego czterech czy pięciu mężczyzn o ponurych twarzach. Josephowi wydało się też, że zobaczył wymierzony w niego karabin.

Zatrzymując się o kilkadziesiąt jardów przed palisadą uniósł ręce pokazując, że nie ma złych zamiarów. Miał nadzieję, że zostali uprzedzeni.

– Panowie! – krzyknął we własnym języku, tracąc oddech. – Pomóżcie! Pomocy! Pomocy!

Wtedy grunt runął na niego, a Joseph złapał się go i trzymał, bo wszystko wokół wirowało. Słyszał nad sobą jakieś głosy, zobaczył obok siebie obutą stopę. Podnieśli go i przeszli przez bramę.

– Gdzie ja jestem? – spytał, na skraju wyczerpania.

– Dom Eivoya – odpowiedział ktoś.

– Jesteście Panami?

– Tak, Panami.

Nagle zauważył, że leży w łóżku. Nad nim świeciły jakieś jasne światła. Myli go. Ktoś robił coś z jego ręką, przyczepiał coś do niej. Ktoś inny wkładał mu na kostkę coś w rodzaju kołnierza. Joseph odniósł wrażenie, że objaśniają mu, co z nim robią, krok po kroku, ale nie

miało to żadnego sensu, a po jakimś czasie przestał próbować ich zrozumieć. Łatwiej było zasnąć i tak też zrobił. Kiedy się obudził, sen nadal wydawał się łatwiejszym wyborem, więc znów weń zapadł. Gdy się obudził po raz kolejny, w pokoju były dwie osoby, kobieta i mężczyzna, starsi ludzie; obserwowali go.

Doszedł do wniosku, że kobieta jest lekarką. Mężczyzna przedstawił się jako Federigo Pan Eivoya z Rodu Eivoya.

– A ciebie jak zwać? – spytał.

– Joseph. Joseph Pan Keilloran. Czy to jeszcze Manza?

– Tak, Południowa Manza. Na północ od Przesmyku. Czy możesz mi powiedzieć, Josephie, jak ma na imię twój ojciec?

– Nie wierzycie mi? Czy próbujecie sprawdzić, czy nie zwariowałem?

– Proszę.

– Ma na imię Martin. Martin Pan Keilloran. Moją matką była Pani Wireille, ale już nie żyje. Moi bracia mają na imię...

– Nie musisz mówić dalej.

– Wierzycie mi?

– Oczywiście, że ci wierzymy. Musieliśmy tylko wiedzieć, to wszystko.

– Musisz trochę odpocząć – odezwała się kobieta. – Jesteś solidnie zagłodzony. Czy w tym obozie źle cię traktowali?

Joseph wzruszył ramionami.

– Byłem już w kiepskim stanie, kiedy tam dotarłem. Inna rzecz, że mi się tam nie poprawiło.

– Tak. Oczywiście.

Dała mu coś, żeby mógł znowu zasnąć. Śnił o Thayle, że wchodzi do jego pokoju, wchodzi naga do jego łóżka i bierze jego wychudzone ciało w ramiona, ogrzewając go własnym ciepłem, własnym obfitym ciałem. Śnił, że znowu jest w wiosce Ardardina i dyskutuje o różnicach między światem widzialnym a niewidzialnym. Wreszcie pojął różnicę. Zrozumiał, czym była oś światów, wokół której wszystko się obracało i jaką rolę pełniło miejsce, gdzie spotykał się czas pospolity i czas mityczny. Wcześniej nie był w stanie tego pojąć. Potem wrócił do lasu z noktambulem, który recytował mu poezję tworzoną przez swój gatunek, niskim monotonnym głosem, a potem znalazł się we własnym pokoju w Domu Keilloran, gdzie przy jego łóżku stali ojciec i matka.

Kiedy się obudził, jego umysł znów pracował normalnie; dostrzegł jakąś rurkę przyczepioną do ramienia i drugą – do uda, i domyślił się, że jest w szpitalu, gdzie lekarze próbują naprawić szkody, jakie spowodowała długa podróż. Był przy nim młody mężczyzna, który przedstawił się jako Reynaldo.

– Jestem synem Federiga – wyjaśnił. – Jeśli chcesz o coś zapytać, jestem do dyspozycji.

Miał jakieś trzydzieści lat, ciemne włosy, gładką skórę, był przystojny jak jakiś aktor.

Joseph miał mnóstwo pytań, ale nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

– Czy Lud podbił całą Manzę? – spytał po chwili wahania. Wydawało się to dobrym punktem zaczepienia.

– Tak, większość – rzekł Reynaldo. – Całą Manzę z wyjątkiem tego miejsca.

Wyjaśnił, że Panowie zatrzymali Lud na granicy w Eivoyi, a siły buntowników na dalekim południu nie były na tyle mocne, by się przez nią przedrzeć, i wreszcie zrezygnowały z tego zamiaru, aż wreszcie wynegocjowano rozejm, zgodnie z którym Panowie zachowali niepodległość na południowym skraju Manzy. Reszta północnego kontynentu została w rękach Ludu i prawdopodobnie większość Wielkich Domów została zniszczona. Walki zakończyły się. Nieliczni Panowie, którzy przeżyli na północy, nadal wędrowali na południe, wyjaśnił Reynaldo, ale teraz było ich już bardzo mało. Nie wspomniał nic o planach odzyskania podbitego terytorium, a Joseph wołał nie pytać.

– A Helikis? – spytał Joseph. – Co tam się stało?

– Na Helikis nie było rewolucji – odparł Reynaldo. – Na Helikis nic się nie zmieniło.

– To prawda, czy mówisz tak, żebym poczuł się lepiej?

– Nie powinieneś mieć powodów, żeby mi nie ufać – odparł Reynaldo i choć Joseph zrozumiał, że nie jest to do końca odpowiedź na jego pytanie, wołał nie kontynuować tematu.

Wiedział, że jest poważnie chory. Podczas walki o przeżycie kilkakrotnie doprowadził się na skraj śmierci głodowej i zużył większość zasobów swojego ciała. Od opuszczenia Przystani Eysara pewnie działał już głównie siłą woli. W jego wieku młody organizm jeszcze rośnie; jego ciało potrzebowało stałego, obfitego dopływu paliwa, a tymczasem przez większość czasu było pozbawione podstawowych składników odżywczych. Na szczęście tutaj wszyscy byli dla niego dobrzy. Umieli go leczyć. Poza tym znów był wśród swoich. Joseph nigdy nie słyszał o Domu Eivoya, ale to nie miało znaczenia: nigdy nie słyszał o większości Domów w Manzie. Był mu wdzięczny już za to, że istnieje, i że może tu przebywać. Gdyby tu nie dotarł, pewnie by długo nie pociągnął. Wyglądało na to, że schwytanie przez oddział buntowników było najlepszą rzeczą, jaka mu się przytrafiła w podróży.

Zaczął powoli wracać do zdrowia. Przekonał się, że wewnętrzna siła jego organizmu jest olbrzymia. Wyjęto mu rurki i zaczął jeść normalne jedzenie. Wkrótce wstał i zaczął chodzić, wychodził z pokoju i siedział na balkonie. Wyglądało na to, że szpital znajduje się na skraju lasu, a właściwie starej puszczy, ciemnej, przedwiecznej, z ogromnymi drzewami, których korzenie sięgały pewnie prehistorii Ojczyzny, stojących jedno przy drugim, z siecią splątanych pnączy owijających potężne pnie tak, że powstała nieprzenikniona bariera. Josephowi zdawało się przez chwilę, że kiedy stąd odejdzie, będzie musiał wejść do lasu i jakoś go przejść, rozwiązać wszystkie straszne zagadki, jakie mu zada, co będzie kolejnym, niełatwym etapem jego podróży, i ta myśl przerażała go i zarazem zachwycała. Potem jednak przypomniał sobie, że wreszcie dotarł do sanktuarium i nie będzie musiał już wędrować po ciemnym lesie.

– Ktoś przyszedł cię odwiedzić – oznajmił Reynaldo, dzień czy dwa dni później.

Weszła do pokoju, młoda wysoka kobieta o ciemnych włosach, elegancko ubrana, piękna. Była zdumiewająco podobna do jego matki, tak bardzo, że przez sekundę pomyślał, że to jego matka, a on znowu ma halucynacje. Jego matka jednak nie żyła, a ta kobieta była zbyt młoda. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat, a może mniej. Dopiero wtedy Joseph zrozumiał, że to jego siostra.

– Cailin? – spytał niepewnie, na co ona odparła równie niepewnym tonem:

– Joseph?

– Nie poznałaś mnie, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Tak przystojnie wyglądasz z brodą! Ale tak się zmieniłeś. Wszystko się zmieniło. Och, Joseph, Joseph, Joseph, Joseph...

Wyciągnął ramiona i podeszła do niego, rzucając mu się w objęcia, po czym cofnęła się, jakby w obawie, że jeszcze jest zbyt delikatny i uścisk może mu uczynić krzywdę. Chwyił ją mocno i przyciągnął do siebie. Potem puścił i patrzył. Choć tego nie powiedziała, Joseph czuł, że rozpaczliwie szuka potwierdzenia, że ten wymizerowany brodaty nieznajomy przed nią jest naprawdę jej bratem.

On też szukał w pamięci jej obrazu. Nie ulegało wątpliwości, że to Cailin. Ale Cailin, którą zapamiętał, była dziewczynką, wysoką i niezgrabną, jakby składającą się wyłącznie z nóg i chudych ramion, z niewyraźnym zarysem piersi, z nie całkiem ukształtowaną twarzą. A to – półtora roku, dwa lata później? – była kobieta. Jej ramiona, cała górna część ciała, stały się pełniejsze. Podobnie twarz. Ścięła swoje długie, cudowne włosy, i teraz sięgały jej zaledwie do ramion. Miała mocniej zarysowany podbródek, wyraźniejszy nos, a obie te zmiany przydawały jej uroku.

Różnica między nimi była większa niż rok. Joseph zawsze ją uwielbiał i przedkładał nad resztę rodzeństwa, choć często okazywał swe uwielbienie w głupi, szczeniacki sposób: psikusy, gburowate akty okrucieństwa, różne rzeczy, których człowiek żałuje, kiedy jest już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić. Cieszył się, to ona, a nie Rickard, czy ktoś ze sług, przyjechała po niego. Mimo to nie przestawał się zastanawiać, dlaczego wysłano akurat ją. Rickard jest już na tyle duży, żeby odbywać takie podróże, a dziewczęta – a przecież nadal była dziewczyną – nie były często wysyłane z taką misją.

– Czy w Keilloran wszystko w porządku? Nie miałem żadnych wieści...

Na sekundę odwróciła wzrok, ale nawet ta sekunda wystarczyła, by Joseph zauważył zmianę w jej oczach. Oblizła usta nim przemówiła.

– Było parę problemów... ale możemy o tym porozmawiać później. Teraz chcę porozmawiać o tobie. Och, Josephie, byliśmy pewni, że nie żyjesz.!

– Komunikator przestał działać. Próbowałem się skontaktować, od razu, kiedy zaatakowali Dom Getfen, ale nie udało się. Ani wtedy, ani później, a potem go straciłem.

Zabrał mi go jeden Tubylec. Chciał go, a ja wolałem mu go zostawić, bo byłem ich własnością, kimś w rodzaju niewolnika, wiejskiego uzdrowiacza...

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Zakrył usta dłonią. Chyba zaczął jej to opowiadać trochę za wcześnie.

– Łączność została przerwana na jakiś czas – rzekła. – Przywrócono ją, ale nie w tej części Manzy, gdzie byłeś. Zaatakowali Dom Getfen – ale ty uciekłeś, i co się potem stało? Gdzie poszedłeś? Co robiłeś?

– To długa historia – odparł. – Trochę czasu mi zajmie, zanim ją opowiem.

– A teraz już wszystko w porządku?

– Och, tak. Tak. Trochę schudłem. Zarobiłem parę blizn. Trochę rzeczy się zmieniło. Nie było mi łatwo. A jak Rickard? Eitan? Dziewczynki?

– Dobrze. Wszystko w absolutnym porządku. Rickardowi też nie było łatwo, bo kiedy myśleliśmy, że nie żyjesz, on zrozumiał, że musi zająć twoje miejsce i zostać Panem Domu. Wiesz, jaki jest Rickard.

– Tak. Wiem.

– Ale jakoś to przeżył. Przyzwyczał się do tej myśli. Prawie ją polubił.

– Przykro mi, że go rozczaruję. A ojciec? – Joseph zadał wreszcie pytanie, które dręczyło go od dłuższej chwili. – Co z nim? Jak przyjął nowinę, że prawdopodobnie zginąłem?

– Kiepsko.

Joseph uświadomił sobie, że zadał dwa pytania naraz, a Cailin udzieliła mu jednej odpowiedzi.

– Ale wyszedł już z szoku? Jak wtedy, kiedy zmarła mama? Jak sam nas uczył?

Kiwnęła głową, ale wyglądała, jakby była daleko stąd.

Coś jest nie tak, pomyślał. Te „problemy”, o których wspomniała, a o których nie chciała mówić. Bał się zapytać.

Ona chciała z nim rozmawiać – o tym, gdzie był, co się z nim działo. Szybko opowiedział jej ile mógł, omijając wszakże parę ważnych miejsc. Że mieszkał u rodziny z Ludu jako gość, na ich łasce, nie jako Pan, ale zagubiony wędrowiec, którego przyjęli, i dowiedział się o Ludzie rzeczy, z których dotąd nie zdawał sobie sprawy. Że przyjmował pomoc od ostatnich ras, noktambulów, Tubylców, poryfarów, i że zaczął je postrzegać inaczej. Że jadał owady i robaki, że nie raz znalazł się na skraju obłędu, czy nawet śmierci. I że spał z dziewczyną z Ludu. Nie był gotowy, żeby jej o tym opowiedzieć. Opisywał barwnie swoje przygody w lesie, zagrożenia i ucieczki, niektóre kłopoty i rany, dziwną nową karierę plemiennego szamana i schwywanie przez buntowników. Cailin słuchała z otwartymi ustami, przerażona i zdumiona tym wszystkim, co przeszedł. Widział, że nadal uważnie się w niego wpatruje, jakby ciągle nie była do końca przekonana, że ten nieznajomy za gęstą czarną brodą jest jej bratem, którego zapamiętała.

– Pewnie rozmowa cię męczy – rzekła, kiedy zamilkł, powiedziawszy o wszystkich

łatwych rzeczach, o których mógł jej powiedzieć, a nie chcąc mówić o tych trudnych. – Odpocznij. Mówią, że za jakieś dwa albo trzy dni będzie można cię stąd zabrać.

Chciał odlecieć jak najszybciej i powiedział o tym Reynaldowi. Upierał się, że odzyskał już siły na tyle, by podróżować. Lekarze byli tego samego zdania. Ale samolot, którym Cailin przyleciała z Helikis, już odleciał i miał wrócić za dwa albo trzy dni, nikt nie wiedział tego na pewno. Joseph dostrzegł, że życie Panów z Helikis musi być teraz o wiele bardziej ograniczone niż przed rewolucją – choć ta podobno nie dotarła na Helikis, pewne ograniczenia stały się konieczne. Być może wiele samolotów, które kiedyś latały między kontynentami, wpadło w ręce buntowników i teraz służyło wyłącznie Ruchowi Oswobodzenia. Nie mógł jednak zrobić nic, tylko czekać.

Okazało się w końcu, że samolot z Helikis przybędzie dopiero za pięć dni. Joseph mógł się już swobodnie poruszać; wraz z Cailin wychodził z budynku i spacerował po szerokich, bujnych trawnikach, do miejsca, gdzie zaczynał się nagle las. Stali tam w milczeniu, trzymając się za ręce, wpatrując się w ten mroczny, przedwieczny świat, medytując nad jego dziwną niegościnnością, obcością prawie nie z tego świata. Nie dało się tam wejść. Pnącza wyrastające z każdego drzewa były tak gęste, że przejście było niemożliwe. Przenikało przez nie słabe, szare światło. Jaskrawo upierzone ptaki latały na granicy lasu. Z głębin puszczy dobiegały ostre odgłosy, jakby drapania, a od czasu do czasu porykiwanie jakiejś nieznannej bestii brodzącej w błotnistym jeziorze. Josephowi przyszło do głowy, że ten gigantyczny, bujny, odwieczny las, gdzie nigdy nie stanęła i nie mogła stanąć ludzka stopa, sprawiał, że wszystkie małe nieporozumienia ludzkiego świata, Panów i Ludu, Ludu i Panów, stawały się nieistotne.

Nie ponowił pytania, co się stało w Domu Keilloran podczas jego nieobecności. Prawie nie chciał wiedzieć. Sama Cailin nie podejmowała rozmowy, a on nie pytał. Opowiedział jej trochę więcej o całej podróży, dzień po dniu, aż doszedł do punktu, w którym powinien był jej opowiedzieć o Thayle; streścił całą historię szybko i bez szczegółów, ale nie pozostawiając wątpliwości co do tego, co się naprawdę wydarzyło. Cailin zaczerwieniła się, ale w jej oczach dostrzegł aprobatę. Chyba nie była w żaden sposób zgorszona tym, że stracił niewinność, ani że stało się to z dziewczyną z Ludu. Wyglądała na zadowoloną, a może lekko rozbawioną. Może wiedziała, że wśród Panów często się to zdarza: chłopcy zaliczają swój pierwszy raz z dziewczętami z Ludu. Nie miał pojęcia, co Cailin może na ten temat wiedzieć, ani czy miała już jakieś doświadczenia. Nigdy z nią o tym nie rozmawiał. Nie sądził, żeby potrafił.

Przybył samolot z Helikis. Przez noc uzupełniono paliwo, a rankiem Joseph i Cailin weszli na pokład, by rozpocząć podróż powrotną.

Joseph niósł swoją sakwę.

– Co to jest? – spytała Cailin, a on wyjaśnił, że dostał to od starej kobiety z Ludu, która go uratowała tej nocy, gdy uciekał z Domu Getfen, i że od tego czasu nosi to ze sobą wszędzie, jak talizman, przez całą podróż.

– Strasznie śmierdzi – zauważyła, marszcząc nos. Przytaknął.

Lot na południe trwał dłużej, niż Joseph przypuszczał. Szybko pokonali Przesmyk – jak Joseph zauważył, Eivoya znajdowała się w ostatniej szerokiej części Manzy, tuż przy zwięzieniu – bardzo niewielka część kontynentu pozostała w rękach Panów. Wkrótce znaleźli się nad wielkim, brązowym ramieniem północnego Helikis, wysuszonej słońcem górnej części, która przechodziła stopniowo w zielony i żyzny kontynent południowy. Choć wiedział, że Panu szlochać nie przystoi, może jedynie w obliczu wielkiej tragedii, poczuł łzy w oczach na widok swojej ojczystej ziemi, a tyle już razy obawiał się, że nigdy nie zobaczy tego kontynentu.

Potem jednak zaczęły się międzylądowania: w Tuileme, w Ghenzarze, w Kem, w Dannias. Ledwo samolot oderwał się od ziemi i osiągnął wysokość przelotową, znów zaczynał schodzić do lądowania. Pasażerowie wsiadali i wysiadali; ładowano nowe towary; posiłki podawano tak często, że Joseph stracił rachubę, która może być godzina. Niebo pociemniało i Joseph zasnął, po czym obudził się o świcie. Nastąpiło kolejne lądowanie; wsiedli nowi pasażerowie i wystartowali. Kiedy zaczynał już sądzić, że będzie musiał spędzić resztę życia na pokładzie, ogłoszono, że zaraz wylądują na lotnisku Toroniel, położonym najbliżej Domu Keilloran i Joseph wiedział, że zaraz zacznie się ostatnia, być może najtrudniejsza faza podróży.

Rickard czekał na lotnisku z samochodem i jednym z kierowców, mężczyzną o szpiczastym nosie; Joseph nie pamiętał go. Był zdumiony widząc, jak bardzo jego brat urosł. Zapamiętał Rickarda jako dwunastolatka, przysadzystego, o okrągłej twarzy, krótkich nogach – jeszcze dziecko, choć było to niezmiernie inteligentne dziecko. Podczas nieobecności Josepha wyrósł na nastolatka. Był wyższy o pół stopy, zaledwie o parę cali niższy od samego Josepha; rosnąc zgubił gdzieś cały ten niemowlęcy tłuszcz. Rickard był teraz niezgrabny, wręcz jakiś wyciągnięty, jak Cailin przed nim. Jego twarz także wyglądała inaczej. Był szczuplejszy, ale wyraz jego oczu i ust był o wiele poważniejszy, jakby nieobecność Josepha i pogłoska o jego śmierci wycisnęła na nim piętno świadomości, że zostanie kolejnym Panem Domu Keilloran. Widząc nowego, zmienionego Rickarda, Joseph poczuł dreszcz w dole kręgosłupa.

Objęli się ostrożnie w braterskim uścisku.

– Joseph.

– Rickard.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

– A ja nigdy nie wątpiłem w to, że wrócę – rzekł Joseph. – Nigdy. Rickardzie, jak ty urosłeś!

– Urosłem? Tak, pewnie tak. Ty też wyglądasz inaczej. Minęły prawie dwa lata. Ta broda...

– Podoba ci się?



– Nie – odparł Rickard. Wskazał gestem na samochód. – Powinniśmy wracać. Czeka nas długa droga.

Tak. Joseph już zapomniał, jak to daleko. To jeszcze nie było terytorium Keilloranów. Lotnisko znajdowało się na terenach należących do Domu Van Rhyn. Pojechali na zachód, przez szerokie sawanny porośnięte gęsto purpurową drżącą trawą, którą Joseph tak uwielbiał dotykać, i przez wielki gaj palm o czarnych liściach, które wyznaczały granicę między włościami Keilloranów i Van Rhynów, i obok wzgórz bladego piasku w kolorze lawendy, który wyznaczał miejsce, gdzie kiedyś było dno morza, a Joseph i Cailin szukali skamielin. Potem pojawiły się pierwsze pola uprawne, o tej porze roku puste, szereg schludnych, zaoranych kwadratów, czekających na wysiew oziminy. Nawet stąd do Włości Wewnętrznych i dworu było dość daleko. Podczas jazdy Rickard zadał Josephowi kilka pytań, najbardziej podstawowych, o rewolucję, jego wędrowkę, aktualny stan jego zdrowia. Joseph odpowiadał pobieżnie. Wyczuwał, że Rickard jeszcze nie chce wysłuchiwać całej opowieści, on też nie był w nastroju, żeby opowiadać wszystko od nowa. Dłuższa pogawędka wydawała się nie na miejscu. Kiedy już wsiedli do samochodu, zapadł nastrój rezerwy, czy nawet melancholii; który najwyraźniej był związany z Rickardem; Joseph nie rozumiał go i nie podobało mu się to. To samo dotyczyło Cailin; praktycznie się nie odzywała.

Znaleźli się we Włościach Wewnętrznych; przejechali obok Błękitnego Ogrodu, Białego Ogrodu i Ogrodu Zapachów, obok boisk do gry i stajni, obok laguny, obok parku rzeźb i ptaszarni; w oddali ukazały się zwiewne pochyłości i arabski Domu Keilloran, wznoszącego się dumnie na pochyłej grani, która stanowiła podstawę wielkiego budynku. Joseph zobaczył, że Lud Domu wyszedł, by go powitać; stali w w dwóch długich, równoległych szeregach, które zaczynały się przy werandzie i ciągnęły aż do trawnika przy wjeździe, całe setki ludzi, wiernych sług klanu. Od jak dawna tu czekają? Może kwadrans temu przesłano jakiś sygnał, że Pan Joseph wjechał do Wewnętrznych Włości, a może ustawiono ich tu dwie godziny temu i z właściwą Ludowi cierpliwością czekają na jego przybycie?

Samochód zatrzymał się na wysypanej żwirem alejce, przy brzegu trawnika. Joseph, w towarzystwie Rickarda i Cailin, wysiadł tuż obok długich szeregów Ludu czekającego przy domu.

Machali, uśmiechali się, wiwatowali. Joseph uśmiechnął się, uklonił, pomachał obiema rękami. Niektórych rozpoznawał i na tych zatrzymywał wzrok na dłużej, większość zapomniał albo nigdy nie znał, ale też się do nich uśmiechał przechodząc.

Jego uśmiechy były jednak wymuszone. Gdzieś w środku nie czuł ani odrobiny radości, jakiej się spodziewał. W swoich fantazjach w lasach Manzy, kiedy tylko wyobrażał sobie ten od dawna wyczekiwany moment powrotu do domu, roiło mu się, że podskakuje na tej ścieżce, śpiewa, posyła pocałunki krzewom, rzeźbom i zwierzętom. Nigdy nie przypuszczał, że wracając do domu będzie czuł taki smutek i będzie tak zamknięty w sobie. Częściowo należało przypisać to uczucie temu, że osiągnął coś, do czego tęsknił od tyłu miesięcy, i co

często wydawało się tak niemożliwe. Było w tym jednak coś jeszcze: nastrój Rickarda i Cailin, ich milczenie podczas jazdy, pytania, na które nie odpowiedzieli, bo Joseph nie miał odwagi ich zadać.

Przy drzwiach czekał jego najmłodszy brat i dwie siostry, Bevan i Rheena. Eitan był jeszcze małym chłopcem; Joseph sądził, że ma teraz około dziesięciu lat; był korpulentny i miał okrągłą twarz. Patrzył na Josepha z takim samym uwielbieniem co zawsze, aż wybuchnął łzami. Joseph złapał go, przytulił, pocałował, postawił na ziemi. Potem zaczął się witać z dziewczętami: prawie ich nie znał zanim wyruszył do Górnej Manzy, jedna miała wtedy pięć lat, druga siedem, zawsze były zajęte swoimi lalkami i zwierzętami. Powitały go uściskami i pocałunkami, ale podejrzewał, że niespecjalnie wiedzą, kim jest. Na pewno nie były szczególnie podekscytowane jego powrotem.

Gdzie jest ojciec, zastanawiał się. Dlaczego go tu nie ma?

Cailin i Rickard poprowadzili go do środka. Gdy cała trójka wkroczyła do domu, Rickard złapał Josepha za nadgarstek i rzekł cicho, jakby nie chciał, by Cailin usłyszała, co mówi:

– Josephie, tak się cieszę, że wróciłeś.

– Tak. Teraz nie będziesz musiał zostać Panem Domu, prawda?

Było to okrutne i Joseph zobaczył, że Rickard aż się wzdrygnął. Szybko jednak przybrał normalny wyraz twarzy i zraniona mina równie szybko znikła, co się pojawiła. Zastąpiło ją spojrzenie twarde jak stal.

– Tak – odparł. – To prawda. Nie będę musiał. I bardzo się cieszę, że nie zostanę, choć byłbym gotów przejąć te obowiązki, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale nie to miałem na myśli.

– Wiem. Rozumiem. Przepraszam, że to powiedziałem.

– Nic nie szkodzi. Wszyscy wiemy, że nigdy tego nie chciałem. Ale tęskniłem za tobą. Byłem pewien, że zginąłeś w czasie rewolucji i to było straszne – że już cię nigdy nie zobaczę, straszne, najpierw mama, potem ty...

– Tak. Tak. Wyobrażam sobie – Joseph ścisnął Rickarda za rękę i spytał bezceremonialnie: – A gdzie ojciec? Nigdzie go nie widzę. Wyjechał gdzieś?

– Jest w środku. Właśnie do niego idziemy. Zabrzmiało to dziwnie. Nie prosił o wyjaśnienia. Wiedział, że wszystkiego się dowie.

Nie nastąpiło to jednak od razu: najpierw musiał się przywitać z ważnymi sługami, którzy czekali w wewnętrznym hallu, by go powitać: szambelanami, klucznikami, rządcami, starym Marajenem, który pomagał ojcu prowadzić księgi i potężną Sempirą, która przybyła tu z włości matki Josepha, by prowadzić dom i nadal rządziła wszystkim jak tyran, i wieloma innymi. Wszyscy chcieli go objąć i wiedział, że wywiązanie się z tego obowiązku zajmie mu całe godziny; przywołał jednak pewną sztuczkę, której nauczył się od Balbusa: z uśmiechem przechodził koło nich, wołał ich po imieniu, mrugał, machał, przejawiał wszelkie objawy absolutnego zachwyty faktem, że znowu jest wśród nich, ale nie zatrzymując się, aż minął ich wszystkich.

– Ojciec? – Joseph zwrócił się z naciskiem do Rickarda i Cailin.

– Na górze. W Wielkiej Sali.

Dziwne. Wielka Sala była miejscem przeznaczonym na bardzo formalne okazje, salą sądu, miejscem oficjalnym, prawie salą tronową, ciemną halą, gdzie odbijało się echo. Joseph nie sądził, że ojciec będzie chciał właśnie tam przywitać swojego dawno zaginionego syna. Cóż, ojciec to wszak Martin Pan Keilloran, pan tego majątku od wielu lat i może te wiele lat panowania nauczyło go jakichś zachowań, których Joseph nie był w stanie zrozumieć.

Joseph, jego brat i siostra, wspięli się na górę wielką klatką schodową. Myśli kłębiły się Josephowi w głowie: myślał o wszystkim, o co zapyta, kiedy już opowie ojcu o swoich przygodach i wszystkim, co chciał mu powiedzieć.

Chciał mu powiedzieć, że nie chce odziedziczyć Domu Keilloran. Ta idea czaiła się w jego mózgu od wielu dni i był jej świadom tylko częściowo; wybuchła z całą mocą, gdy przechodził przez dwa szeregi uśmiechających się, machających, wiwatujących sług. Tak, abdykuje. Woli żyć wśród Tubylców albo wieśniaków-rolników, kajlingów Górnej Manzy, niż rządzić jako Pan Domu, rządzić Ludem Keilloran jak król, który stracił ochotę na bycie królem. Jakim prawem tu rządzimy? Kto powiedział, że mamy być Panami, poza nami samymi, i jakim prawem to powiedzieliśmy? Niech Rickard rządzi. Jasne, nie będzie zachwycony. Ale Rickard nie kwestionuje tego prawa i jest gotowy podjąć ten obowiązek: sam to powiedział, kilka minut temu. Wszystko będzie jego, gdy nadejdzie czas. Niech on będzie następnym Panem, następcą ojca, następnym z długiej linii istniejącej od stuleci, gdy nadejdzie czas.

– Tutaj – rzekł Rickard.

Joseph spojrzał na niego, potem na Cailin, która stała ze spuszczoneymi oczami i zaciśniętymi ustami.

W Wielkiej Sali panował półmrok. Ciężkie adamszkowe zasłony były zasunięte, pośrodku słonecznego popołudnia; paliło się kilka lamp. Joseph dostrzegł ojca siedzącego na drugim końcu sali na wielkim, ozdobnym krześle przypominającym tron. Siedział jakoś dziwnie i nie ruszał się, jak rzeźba. Joseph podszedł do niego. Gdy się zbliżył, dostrzegł, że prawa strona twarzy ojca dziwnie opada, a prawe ramię dynda bezwładnie jak ramię manekina. Wyglądał na starszego o dwadzieścia lat niż Joseph pamiętał: stary człowiek. Joseph zatrzymał się, przerażony, onieśmielony, dwadzieścia stóp od tronu.

– Joseph? – doleciał głos od tronu. Głos ojca był cichy, niewyraźny, prawie niezrozumiały, zupełnie inny, niż Joseph zapamiętał. – Josephie, czy to naprawdę ty?

To był więc problem, o jakim wspomniała Cailin w szpitalu w Eivoyi.

– Od jak dawna tak to wygląda? – spytał Joseph szeptem.

– To się stało jakiś miesiąc albo dwa po tym, jak dotarły wieści o ataku na Dom Getfen – odszepnęła. – Idź do niego. Weź go za rękę. Prawą.

Joseph podszedł do tronu. Ujął ojca za rękę. Była bezwładna. Robiła wrażenie czegoś

sztucznego, co przypadkiem przyczepiono do ciała ojca.

– Ojciec...

– Joseph... Joseph...

Znów ten szeleszczący dźwięk. Strasznie było słuchać czegoś takiego. I ten wyraz oczu ojca: zmrożony, obcy, odległy. Ale się uśmiechał, przynajmniej tym kącikiem ust, którym jeszcze władał. Podniósł lewą rękę, tę zdrową położył ją na dłoni Josepha i uścisnął. To ramię było całkiem silne.

– Broda? – rzekł ojciec. – Wyglądał, jakby próbował się uśmiechnąć. – Zapaściłeś brodę, co? – Mówił tak niewyraźnie, że Joseph ledwo go rozumiał. – Taki młody i już broda. Twój dziadek nosił brodę. Ale ja nigdy.

– Tak naprawdę to nie chciałem. Ale tam, gdzie byłem, golenie się nie było łatwe. Więc tak zostało. A ja ją polubiłem.

Myśli, że nadal jestem małym chłopcem, pomyślał Joseph. W jakim stopniu jest jeszcze sobą? Josepha ogarnął nagle wielki smutek z powodu wszystkiego, co tu zobaczył i wciągnął powietrze z sykiem.

– Ojciec, ojciec, tak mi przykro...

Poczuł, jak Rickard kopie go w kostkę z tyłu. Rickard syknął cicho i Joseph zrozumiał. Litość nie jest tu mile widziana. Mój młodszy brat uczy mnie właściwego zachowania, pomyślał.

– Podoba mi się – rzekł ojciec, bardzo wolno. Znów ten krzywy uśmiech. Chyba zauważył, że Josephowi coś się wysnęło. – Broda. Jakaś nowa moda. Albo stara wróciła. – Josephowi przyszło do głowy, że umysł ojca mógł nie ucierpieć wcale albo ucierpieć nieznacznie. Tylko stracił kontrolę nad ciałem. – Nie było cię od tak dawna, chłopcze. Twój wygląd się zmienił. Pewnie ty też się zmieniłeś, co?

– Byłem w różnych niezwykłych miejscach, ojciec. Nauczyłem się dziwnych rzeczy.

Martin pokiwał wolno głową. To musiał być wielki wysiłek, ten ruch głowy.

– Ja też bywałem ostatnio w niezwykłych miejscach. Nie opuszczając Domu Keilloran. – Wypowiedzenie tych słów przyszło mu z dużym trudem. – I ja też inaczej wyglądam. Prawda?

– Dobrze wyglądasz, ojciec.

– Nie. Nieprawda. – Ciemne, półprzymknięte oczy wwierały się w niego. – Nie wyglądam dobrze. Ale wróciłeś. Wreszcie. Mogę odpocząć. I ty będziesz Panem, Josephie.

– Tak. Jeśli tylko chcesz.

– Tak. Tak musi być. Jesteś gotowy, prawda?

– Będę – odparł Joseph.

– Już jesteś.

Wiedział, że tak jest. Wiedział także, że powinien porzucić myśli o abdykacji: nie teraz, gdy zobaczył, co stało się z ojcem. Wszystkie myśli o tym ulotniły się. Zaczęły już zniknąć z

chwilą, gdy wkroczył do sali i spojrzał na twarz ojca. Teraz znikły już całkiem. Wróciłeś. Mogę odpocząć. Tak powiedział ojciec. Takiego życzenia nie można zignorować ani odrzucić. Niepewność i wątpliwości, jakie zaległy się w nim podczas wielomiesięcznej wędrówki, nadal istniały; istniało w nim jednak wrodzone poczucie obowiązku wobec rodziny i ludu Domu Keilloran, a teraz stojąc przed tym, komu zawdzięczał swoje istnienie, wiedział, że nie może odrzucić tego obowiązku w obliczu tego stieranego człowieka. Rickard nie był do tego przygotowany. On tak. Potrzebowali go. Nie mógł odmówić. Kiedy nadejdzie czas, zostanie Panem, choć Joseph wiedział, że będzie pełnił obowiązki Pana w zupełnie inny sposób niż jego ojciec.

Ręka, która trzymała jego dłoń, nacisnęła mocniej, a Joseph dostrzegł, że w tym co zostało z Martina Pana Keilloran nadal czaiło się sporo siły. Nie na tyle, żeby wypełniać obowiązki Pana Domu – te spadną na niego, za miesiąc, za pół roku.

– Musimy porozmawiać, ojczu. Kiedy już trochę pobędę w domu i ty będziesz się czuł silniejszy. O tyle rzeczy muszę cię spytać. O tylu rzeczach muszę ci powiedzieć.

– Tak, porozmawiamy – rzekł ojciec.

Cailin trąciła Josepha. Dała mu sygnał mrugnięciem, że czas odejść, że ojciec jest już zmęczony. Joseph ledwo zauważalnie skinął głową. Odezwał się do Martina:

– Muszę iść, ojczu. Odbyłem daleką podróż i muszę trochę odpocząć. Przyjdę do ciebie wieczorem.

Uściskał bezwładną, prawą dłoń, uniósł ją i pocałował, po czym ostrożnie opuścił. On, Cailin i Rickard opuścili salę i zeszli do hallu, a potem do rodzinnego skrzydła, do apartamentu, który należał do Josepha przed jego podróżą do Getfen, i gdzie wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy stamtąd wyjeżdżał.

– Zostawimy cię, żebyś odpoczął – rzekła Cailin. – Zadzwoń, kiedy będziesz gotowy. Porozmawiamy.

– Dobrze.

– Ciężko było, co?

– Tak – odparł cicho Joseph. – Tak, ciężko.

Patrzył, jak jego brat i siostra oddalają się w stronę hallu. Zamknął drzwi i został sam w swojej sypialni. Usiadł na brzegu łóżka, jego starego łóżka, które wydawało się takie małe, takie chłopiące. Siadł i rozmyślał o tym, co się stało po jego powrocie, a łóżko zaczęło się zmieniać we wszystkie miejsca, które odwiedził podczas podróży z Manzy; było na przemian niewygodnymi jamami w leśnym poszyciu, gdzie sypiał na suchych liściach, stosem stęchłych futer w wiosce Ardardina, twardą pryczą w obozowym więzieniu, miejscem pod krzakiem, gdzie opadły go halucynacje z głodu, że aż był przekonany, że nadchodzi jego koniec, małym łóżkiem w Przystani Eysara, które zachowało zapach ciepłych piersi i miękkich ud Thayle, i całą resztą miejsc, aż wszystkie zlały się w jedno, jego łóżko, małe łóżko z dzieciństwa, z dzieciństwa, za którym właśnie zamknął drzwi.

Pomyślał, że rano pójdzie i obejdzie cały majątek, odnowi znajomość z ziemią i ludźmi. Wciągnie głęboko powietrze w płuca. Schyli się i nabierze garść ziemi. Odwiedzi gospodarstwa, fabryki i stajnie. Obejrzy wszystko; wiedział, że będzie to jak oglądanie wszystkiego po raz pierwszy, nie tylko dlatego, że tak długo go tu nie było, ale dlatego, że będzie to oglądał oczami innego człowieka, który wiele doświadczył i zobaczył. Ale to wszystko zrobi dopiero jutro i w nadchodzących dniach. Teraz chciał tylko leżeć we własnym łóżku, we własnym pokoju i rozmyślać o wszystkim, co przeżył.

*Odbyłem daleką podróż i muszę trochę odpocząć.*

Długą podróż, tak, podróż, która zaczęła się grzmotem, po którym nie spadł deszcz, tylko nastąpiły niekończące się grzmoty. A teraz wszystko się skończyło, a on wrócił do domu i zaczynała się jakaś nowa podróż. Nie był już tym Josephem, który stąd wyruszył i nie był pewien, kim się stał, ani nie był pewien, kim się stanie. Dręczyły go różne pytania, a pewnie na niektóre z nich nigdy nie znajdzie odpowiedzi, choć myślał, że przynajmniej będzie je zadawał, coraz to nowe. Cóż, czas pokaże. A może nie. W każdym razie był w domu. Przebył najdłuższą z możliwych dróg, podróż do głębin własnej duszy, która zaprowadziła go w dziwne nowe miejsce. Wiedział, że odkrycie natury tego miejsca zajmie mu trochę czasu. Ale nie musiał się spieszyć. Wreszcie był w domu. W domu. W domu.